

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 3/221**

**1966**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**WYROK NA A. TERCA I M. ARŻAKA  
ŚMIERĆ STANISŁAWA MACKIEWICZA**

**OMÓWIENIE ANKIETY "KULTURY"**

(M. CHMIELOWIEC, A. WOŹNICKI, J. MACKIEWICZ, Cz.  
MIŁOŚZ, J. CZAPSKI, A. JĘDRKIEWICZ, J. HORZELSKI,  
E. GIERATOWA, W. JEDLICKI, J. PŁOSKI, W. GNIATCZYŃ-  
SKI, Z. S. SIEMASZKO, B. MIECZKOWSKI, J. KUTA, WYPO-  
WIEDŹ Z PARYŻA oraz DYSKUSJA Z MIERÓSZEWSKIM)

## SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Wyrok</i> .....	3
◆		
Kazimierz Okulicz:	<i>Stanisław Mackiewicz</i> .....	10
Stanisław Mackiewicz:	<i>Zapiski z kraju niewoli</i> .....	13
Stanisław Mackiewicz:	<i>List do Redakcji</i> .....	18

### OMÓWIENIE ANKIETY „KULTURY”

Michał Chmielowiec:	<i>Wyniki Ankiety</i> .....	21
---------------------	-----------------------------	----

### ODPOWIEDZI OGÓLNE

Andrzej Woźnicki:	<i>Sytuacja religijna świata</i> .....	76
Józef Mackiewicz:	<i>Dla „dobra Kościoła”?</i> .....	82
Czesław Miłosz:	<i>Na marginesie Ankiety</i> .....	97
Józef Czapski:	<i>Moja odpowiedź</i> .....	107
Andrzej Jędrkiewicz:	<i>Zmiany w polityce Kościoła</i> .....	109

### ODPOWIEDZI SZCZEGÓŁOWE

Jerzy Horzelski:	.....	114
Niepodpisana wypowiedź z Paryża:	.....	120
Ewa Gieratowa:	.....	126
Witold Jedlicki:	.....	136
Józef Płoski:	.....	154
Wojciech Gniateczyński:	.....	159
Z. S. Siemaszko:	.....	165
B. Mieczkowski:	.....	176
Jan Kuta:	.....	177

### DYSKUSJA Z MIEROSZEWSKIM

Antoni Pospieszalski:	.....	179
Marian Krzyżaniak:	.....	182
Ewa Gieratowa:	.....	184
Juliusz Mieroszewski:	<i>Odpowiedź krytykom</i> .....	185

Redakcja:	<i>Komunikat w sprawie p. Józefa Wulfa</i> .....	190
-----------	--	-----

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Marzec - Mars

1966

INSTYTUT



LITERACKI



## WPLATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria), po raz jedenasty	F. 24,00
Anonimowo, Hobart (Australia)	F. 54,00
Edward Holub, Irvington, N.J. (USA), po raz trzeci	F. 9,00
Stefan i Wanda Krasuscy, Sao Paulo (Brazylia), po raz trzeci	F. 44,00
Dr Bohdan J. Koszewski, Omaha, Neb. (USA), po raz drugi	F. 9,00
Mr. Jan, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 31,50
Mieczysław Błaszkiwicz, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz piąty	F. 14,00
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz czwarty	F. 100,00
Bogusław Wądołkowski, Lyndhurst, N.J. (USA), po raz szósty	F. 24,00
Bezimiennie, Milwaukee, Wis. (USA), po raz trzeci	F. 38,50
Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 13,50
E. Baczymalski, Reading, Berks (W. Brytania), po raz piąty	F. 27,50
L. Demby, Nomansland, Wilts (W. Brytania), po raz siódmy	F. 14,50
A. M. Podhalec, Londyn, po raz drugi	F. 13,75
G. Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 31,50
Stan Czerski, Ste-Foy, Que. (Kanada), po raz drugi	F. 18,00
J. i B. Szarlak, Monachium (Niemcy), po raz trzeci	F. 5,00
W. Kinastowski, Welland, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 18,00
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz siódmy	F. 49,00
Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela), po raz szósty	F. 39,00
Nina Sereda, Montreal (Kanada), po raz dwudziesty	F. 49,00
Dr M. Turski, Ste-Anne- de- Bellevue, Que. (Kanada), po raz trzynasty	F. 31,50
Bezimiennie, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 49,00
F. Korczak, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 18,00
Jan Wasilowski, Paryż	F. 10,00
Kazimierz Zdziarski, Caracas (Wenezuela), po raz dziewiąty	F. 49,00
Janina Surynt-Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 40,50
Zygmunt Gabryszewski, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 5,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France

## Wyrok

14-go lutego zapadł w Moskwie wyrok w procesie dwóch młodych pisarzy sowieckich: Andrej Siniawskij (Abram Terc) został skazany na siedem lat zaś Julij Daniel (Nikołaj Arżak) na pięć lat łagrów. Sędziowie moskiewscy wydali wyrok na reprezentowany przez siebie ustrój.

Z punktu widzenia normalnej, przyjętej w świecie cywilizowanym praworządności proces Siniawskiego i Daniela był ponurą i okrutną farsą. Żaden kodeks świata, nie wyłączając sowieckiego, nie przewiduje wymiaru kary za przesyłanie manuskryptów zagranicę. Odwołano się zatem do paragrafu 70 sowieckiego kodeksu karnego, w którym mowa o „propagandzie i agitacji przeciw władzy sowieckiej” oraz o „szkalowaniu państwa sowieckiego”. Gdyby podobny paragraf miał zastosowanie wobec literatury w Ameryce, w Anglii, we Francji czy we Włoszech, większość pisarzy tych krajów znajdowałaby się od dawna w więzieniu. I byłiby to przeważnie pisarze reklamowani, komplementowani i od czasu do czasu fetowani z honorami w ZSSR.

Teoretycznie rozprawa odbywała się przy drzwiach otwartych. W praktyce nie dopuszczono na salę sądową przedstawicieli prasy zagranicznej, nawet komunistycznej. Rolę „oskarżycieli społecznych” z ramienia Związku



Pisarzy Sowieckich spełniała para Wasiliew-Kedrina (ta sama Zoja Kedrina, która przed rozprawą ogłosiła w *Literaturnoj Gazetie* artykuł atakujący obu oskarżonych). Specjalnie dobrana publiczność nie znała inkryminowanych utworów Siniawskiego i Daniela, z wyjątkiem specjalnie dobranych cytatów. Co z tymi cytatami robiono podczas przesłuchiwania podsądnych i w wystąpieniach prokuratora, pozostanie mniej lub więcej strzeżoną tajemnicą obecnych na sali słuchaczy. Ale nie musimy czekać na ich ewentualne niedyskrecje, by na podstawie jednego tylko przykładu wyrobić sobie pogląd o samej metodzie. 12-go stycznia ukazał się w *Izwiestiach* artykuł piętnujący Siniawskiego i Daniela, w którym nieświadomi rzeczy czytelnicy sowieccy czytali między innymi (zapewne z uzasadnionym oburzeniem): „Nic im się nie podoba w naszym kraju, nic nie jest dla nich święte w naszej wielonarodowej kulturze, wszystko gotowi są podeptać w naszej przeszłości i terażniejszości. Potraficie sobie wyobrazić co napisali o Antonie Pawłowiczu Czechowie, wybitnym humaniście, który swym mistrzowskim piórem pobudza do życia lepsze uczucia ludzkie? Tylko krańcowy bezwstyd mógł podyktować takie słowa: „Złapać by tego Czechowa za suchotniczą bródkę i wsadzić mu nos w jego suchotnicze płwociny”. A rosyjscy klasycy, duma literatury światowej, co się o nich mówi? Posłuchajcie: „Klasycy — oto kogo najbardziej nienawidzę!”. Tyle *Izwestia*. A teraz prawdziwy i pełny fragment z noweli Terca *Grafomani* (*Opowieści fantastyczne*), w którym rozgoryczony i odrzucany przez wszystkie wydawnictwa grafoman wybuch: „Klasycy — oto kogo najbardziej nienawidzę! Zanim się urodziłem, pozajmowali wszystkie wolne miejsca, a dziś muszę z nimi rywalizować, nie rozporządzając ani jedną setną ich rozdmuchanych autorytetów. — Czytajcie Czechowa, czytajcie Czechowa! — mówiono mi przez całe życie, dając do zrozumienia że Czechow pisał lepiej niż ja... Ale jakże zмагаć się z nimi, jeżeli w Jasnej Polanie nawet paz-

nokcie Lwa Tołstoja, które przewidujący hrabia obciął sobie przed tysiącem lat i włożył do specjalnego woreczka, przechowywane są jako świętość? A powiadają że w Jałcie, w specjalnych paczuszkach, przechowują płwociny Czechowa, tak, tak! — autentyczne płwociny Antona Pawłowicza Czechowa, który, jak powiadają, przez długi czas dostawał krwotoków i nawet umarł na gruźlicę, co naturalnie jest wielką przesadą. A stawiając sprawę uczciwie: czy naprawdę Tołstoj i Czechow byli aż tak dobrymi pisarzami? Właśnie! Złapać by tego Czechowa za suchotniczą bródkę i wsadzić mu nos w jego suchotnicze płwociny, które niestety już wyschły: — Nie pisz, grafomanie, nie pisz! Nie psuj papieru! Ale cóż znowu?! Zaraz znajdą się obrońcy... Wielbiciele, bibliografowie, pamiętnikarze... A o mnie kto pamiętniki napisze? Kto mnie — pytam — przypomni i uwieczni?”. Komu nie wystarczy to gangsterskie fałszerstwo *Izwestii*, naśladowane z całą pewnością w przewodzie sądowym, niech zajrzy do szkicu Siniawskiego-Terca o realizmie socjalistycznym: Czechow jest tam wspomniany z najwyższą admiracją jako pisarz, który „obawiał się pretensjonalności niczym zarazy”.

Artykuł w *Izwiestiach* kończył się słowami: „Czas minie i obaj renegaci zostaną zapomniani. Karty przepojone goryczą zbutwieją na śmietniku. Historia nauczyła nas wielokrotnie że potwarz, choćby nawet obfita i złośliwa, rozplywa się pod gorącym tchnieniem prawdy. Tak też stanie się i obecnie”.

W roku 1938 Wyszynskij zakończył swoje przemówienie w procesie Bucharina słowami: „Czas minie. Oset i chwasty wyrosną na grobach zdrajców, uczciwi obywatele sowieccy będą ich wspominać z wieczystą pogardą. Ale nad nami, nad naszym szczęśliwym krajem, nasze słońce świecić będzie swymi jasnymi promieniami tak radośnie i pogodnie jak dawniej”.

Nie ma wątpliwości że podczas procesu Siniawskiego i Daniela na sali sądowej w Moskwie pojawił się cień



Wielkiego Inkwizytora stalinowskiego, tak gorliwie egzorcyzmowany przez postalinowską „praworządność socjalistyczną”.

We wszystkich dawniejszych słownikach sowieckich rzeczownikowi *zakonnost'* towarzyszy nieodłącznie w następnej liniije przymiotnik *rewolucjonnaja*. Ten złowrogi przymiotnik odkurzyli sędziowie moskiewscy przeciw dwóm młodym pisarzom sowieckim. Tego złowrogiego przymiotnika uczepliła się kurczowo i rozpaczliwie 13-go lutego, w przeddzień wyroku, rzymska *Unità* w komentarzu redakcyjnym zatytułowanym *Prawo i rewolucja*. Przyznawszy chwalebnie że proces Siniawskiego i Daniela „budzi w nas (komunistach włoskich) poważne niepokoje i alarmy na widok ostrości z jaką dochodzą do głosu pewne konflikty w stosunkach między państwem a społeczeństwem w ZSSR”, autor komentarza dodał natchmiast, jak gdyby salwując się *in extremis* z własnej topieli „ideologicznej” jedynym dostrzeżonym w pobliżu kołem ratunkowym: „W roku 1917 zwyciężyła w Rosji rewolucja. Nawet najbardziej wyrafinowane teksty prawnicze nie przeczą, że rewolucja jest źródłem prawa, jeśli w grę wchodzi rewolucja poważna. Dlatego rozprawy sądowe w ZSSR (mówimy o rozprawach sądowych a nie o nielegalnościach pewnego okresu stalinowskiego, które nie mają nic wspólnego z procesem dwóch pisarzy gdyż zakorzeniły się gwałcąc praworządność socjalistyczną) mogą odstręczać swym charakterem rewolucyjnym, ale nie mogą być zakwestionowane przez jurystów”. W przyszłym roku Rewolucja Rosyjska obchodzić będzie pół wieku swego istnienia. I u progu tego półwiecza skazuje łącznie na dwanaście lat więzienia dwóch swych synów, młodszych od niej o dziesięć lat i wychowanych całkowicie pod jej rządami, za rewindykowanie wolności myśli i niczym nieskrępowanej swobody wyrazu artystycznego.

Trudno o jaskrawsze przyznanie się do głębokiej, wewnętrznej porażki. To właśnie miałem na myśli, pisząc na wstępie że sędziowie moskiewscy wydali wyrok na reprezentowany przez siebie ustrój. Nie bez racji M. S. Michajłow, sekretarz moskiewskiego oddziału Związku Pisarzy, uznał w *Partijnoj Żizni* sprawę Siniawskiego i Daniela za dowód „do jakiego stopnia walka ideologiczna stała się (w naszym kraju) zaciekle, surowa i groźna”. W tych słowach wrażliwe ucho dosłyszy typowo rosyjski *tonkij namiok na tołstoje dieło*, aluzję do zaplecza obu oskarżonych: do redaktorów, współpracowników i czytelników tajnych pisemek literacko-społecznych, do uczestników tajnych zebrań i dyskusji, do studentów leningradzkich którzy wznowili herzenowski *Kołokoł*, do studentów moskiewskich którzy pod pomnikiem Puszkina demonstrowali w obronie Siniawskiego i Daniela, do twórców organizacji SMOG, do młodych ludzi oczekujących na dwudziestostopniowym mrozie ogłoszenia wyroku przed gmachem Trybunału Rejonowego w Moskwie. Słowem — do całej nonkonformistycznej młodzieży sowieckiej, która w łonie zdradzonej i skorumpowanej rewolucji dochowała wierności czystemu mitowi rewolucji. Dla tej młodzieży sędziami byli podsądni, a podsądnymi sędziowie. Dla tej młodzieży wyrok został skierowany pod fałszywym adresem.

A jednak przy wszystkich swoich regresach i recydywach stalinowskich, świadczących jaka przepaść dzieli i dzielić będzie zawsze „praworządność rewolucyjną” czy „socjalistyczną” od praworządności bez cudzysłowów i przymiotników, proces Siniawskiego i Daniela był w jakiś sposób wydarzeniem przełomowym w historii Związku Sowieckiego. Dosadnie rzecz ujął po wysłuchaniu wyroku (cytuję za korespondentem dziennika turyńskiego *La Stampa*) pewien Rosjanin podający się za „starego bolszewika”: „Jakaż różnica w porównaniu z czasami Stalina! Tych dwóch posłano by dawniej bez długiego gadania *pod stienku!*”. Różnica jest więc podwójna: nie



było na szczęście wyroku śmierci i było na szczęście „długie gadanie”. Zbyteczne dodawać że „długie gadanie” było właśnie dlatego, że *przynajmniej* znikło nareszcie widmo „grobowo zarośniętych ostem i chwastami” i przonych bezlitośnie przez „nasze radosne i promienne słońce”. Fakt pozostaje faktem. Po raz pierwszy w procesie moskiewskim oskarżeni, na pytanie czy znają akt oskarżenia i czy przyznają się do winy, odpowiedzieli stanowczo i bez namysłu: „Znamy akt oskarżenia, nie przyznajemy się absolutnie do winy”. Po raz pierwszy, choć przy drzwiach w praktyce zamkniętych lub tylko odrobinę uchylonych, bronili godzinami, z niesłabnącą ani na chwilę odwagą i determinacją, swego prawa do niezależnej od nikogo poza pisarzem wolności wyobraźni i sztuki. Po raz pierwszy ich rodziny, w przeciwieństwie do „trędowatych” rodzin więźniów stalinowskich, otaczane były i pocieszane pod koniec każdego dnia rozprawy przez grono bliskich i przyjaciół. Może nie ze szczętem jeszcze, ale bodaj nieodwołalnie, umarł w Rosji totalitarny Wielki Strach, ten strach o którym tak przejmująco pisał w *Lubimowie* autor chowanego pod deskami podłogi manuskryptu. Wraz z jego śmiercią proces dwóch młodych pisarzy rosyjskich stał się pierwszym w dziejach ZSSR procesem jawnie wytoczonym przez monoideologię jawnie i dumnie broniącej się myśli ludzkiej. Cena, jaką za to wyzwanie zapłacili Siniawskij i Daniel, jest wysoka; lecz nie daremna.

Że był to proces przeciw myśli i przeciw literaturze, mogą nie widzieć jedynie ślepi. Autor niniejszego komentarza nie ma potrzeby wygłaszać tu swojej opinii o walorach pisarskich Terca i Arzaka. Zrobił to, prezentując czytelnikom polskim, włoskim i argentyńskim pierwszą nowelę Terca *Sąd idzie* i jego pierwszy głośny esej *Co to jest realizm socjalistyczny?*; zrobił to, prezentując czytelnikom włoskim drugi tom Terca *Opowieści fantastyczne*; zrobił to, pisząc przed paru laty po polsku i po włosku o opowiadaniu Arzaka *Odkupienie* i o trzeciej książce

Terca *Lubimow*. Dziś jest to opinia podzielana (zwłaszcza w odniesieniu do Terca) przez znakomitą większość pisarzy i krytyków amerykańskich, angielskich, francuskich, włoskich i niemieckich. Siniawskij i Daniel mogliby powiedzieć o sobie słowami Bielinskiego z jego listu do Gogola: „Nasza literatura, na przekór barbarzyńskiej cenzurze, daje oznaki żywotności i zdąży ku jutru”. I powtórzyć okrzyk Korolenki, rzucony w twarz caratowi na początku obecnego stulecia: „Moją ojczyzną nie jest Rosja, moją ojczyzną jest literatura rosyjska!”.



Pisząc na tych łamach o wyroku w procesie Siniawskiego i Daniela, wypada na zakończenie przypomnieć że obaj przeniknęli jako pisarze na Zachód (i do nielicznych własnych rodaków) za pośrednictwem *Kultury*. Kto ma po temu dość ochoty, złej woli, miałkości umysłowej i krótkowzroczności, może tu naturalnie mówić z przekąsem o „operacji zimnowojennej”. W moim najgłębszym przekonaniu przyszli historycy miesięcznika polskiego wychodzącego w Paryżu będą o tym wręcz odmiennego zdania: zapiszą rozdział Terc-Arzak w rejestr jego głównych zasług, poczytają współpracę „napowietrzną” (czy jeśli kto woli: podziemną) na linii Moskwa-Paryż za ważny krok na drodze do autentycznej a nie wymuszonej siłą przyjaźni polsko-rosyjskiej, bez której Polska nie odzyska nigdy wolności, a Rosja nie będzie nigdy miała u boku sąsiada wolnego od głuchej i niemej nienawiści. Rozumie to wielu pisarzy polskich w kraju, myślących i czujących tak samo jak dwaj skazani pisarze rosyjscy i ich młodzi admiratorzy w Związku Sowieckim. Nie rozumie tego, lub nie chce rozumieć, załoga nowego popaździernikowego *Establishment* literackiego nad Wisłą.

15 lutego 1966.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI



## Stanisław Mackiewicz

(NATUS 1897 — OBIIT 1966)

Stanisław Mackiewicz zakończył swe bujne życie, walcząc o warsztat pracy, którą rozpoczął 50 lat temu, będąc uczniem. Chciano pozbawić go tego warsztatu, albo zmusić, by zgodził się wyrabiać na nim wzorce innym potrzebne, nie będące odbiciem jego myśli. Był artystą pióra i mógł prosperować, wykonując cudze zamówienia. Nie nadawał się do tej roli, buntował się przeciwko braniu w obcęgi jego wolnego słowa. Próbował wyrwać się z ciasnego kręgu rzeczy dozwolonych. Nosił w sobie nieodpartą potrzebę wypowiedzania tego co czuł i co sądził o teraźniejszości i o przyszłości. Zepchnięty został do rozważania spraw minionych.

W ostatniej swej książce zaczynał szkic o Anatolu France smutnym stwierdzeniem: „Przeoglądam gazety francuskie, rosyjskie, polskie oraz angielski „Times” z roku 1900”. Kto go znał ten zrozumie, że mieścił się w tych słowach dramat osobisty. Do przeszłości sięgał często i chętnie, ale nie po to, aby na niej poprzestać. Nie po to, by wychodząc z niej, stanąć przed ścianą milczenia o dzisiaj i o jutrze.

Zeszyt „Kultury”, do którego piszę to krótkie wspomnienie, zawiera ostatnią pośmiertną pracę publicystyczną Zmarłego. Nosi ona tytuł „Zapiski z kraju niewoli”. Nie znam jeszcze tekstu owych notatek. Ale już wiem jaką była treść uczuć i myśli w ostatnich tygodniach życia autora.

Stanisław Mackiewicz był publicystą wielkiej klasy. W swojej epoce nie wielu miał sobie równych. Ale jednocześnie był literatem — eseistą niemiejszej miary. Literackość jego stylu, ornamentyka, liczne dygresje, paradoksalność argumentów prze-

słaniały nawet czasem jasność, lapidarność politycznego wątku, nadawały artykułom cechy politycznego felietonu. Ale był to *genre* w Polsce zawsze bardzo popularny. Do politycznej argumentacji wprowadzał lekkość, barwność, dowcip, anegdotę, szerzył poczytność.

Odróżniało to Mackiewicza od współczesnych mu znakomitych publicystów: Koskowskiego, Niedziałkowskiego, Rosnera, Konstantego Srokowskiego, Władysława Studnickiego. Miał fenomenalną pamięć, pisał szybko, na maszynie, bez poprawek, przeważnie w nocy. Codzienne pisanie było dla niego taką samą potrzebą, jak dla aktora wyjście na deski sceniczne.

O Stanisławie Mackiewiczu, jako polityku, należałoby napisać osobne studium. W kilkunastu zdaniach można zamknąć jedynie to co było powtarzającą się stale nutą w jego wybitnie politycznej umysłowości.

Był on zakochany w wizji dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Kochał nawet wszystkie jej wady, mimo że je potępiał. Tej kochance pozostał wierny aż do końca. Smakował w fantazji, geście, fanaberiach, barwności, w anarchicznym sobiepaństwie warstwy przodującej i rządzącej Rzeczypospolitą, dziesięciokrotnie liczniejszej niż na zachodzie. Z lubością opowiadał w swoich szkicach i artykułach o przygodach i awanturach polskolitewskich wielmożów, panów i półpanków, oraz ich małżonek, córek i kochanek. Ale sąd miał o nich trzeźwy, chociaż, być może, miarkowany odruchową sympatią.

Jak jego mistrz pióra — Henryk Sienkiewicz — znał się na tytułach, herbach i parantelach. Rzecz dziwna — przykładał do nich wagę bynajmniej nie przez snobizm, którego brak wyróżniał go wśród Polaków i zbliżał raczej do typu rosyjskiego *gentilhomme*. Rosję, jej ducha, język, literaturę znał świetnie. Miał w sobie coś z „szerokiej natury” rosyjskiej. Ale to właśnie wzmacniało jego odporność na wpływy rosyjskie. W latach młodzińskich widział Polskę jako tradycyjnego rywala Rosji we wschodniej Europie. Konformizm satelicki, właściwy współczesnemu pokoleniu, pozostał dla niego nie do przyjęcia. To go prowadziło w latach dwudziestych do Piłsudskiego, w którym dojrzał męża stanu i wodza o tych samych ambicjach.

Polityka wewnętrzna zajmowała go o tyle, o ile budowała siłę państwa, zdobywała dla niego należne miejsce w rządzie państw europejskich. Nazywał siebie konserwatystą, monarchistą i mocarstwowcem. Ale czy był tym w istocie? Przeceniał siły i dojrzałość swego narodu. Ale cóż w tym dziwnego, skoro przeceniał je nawet Piłsudski, a z nim większość ówczesnego pokolenia.

Najbardziej zajmowała Mackiewicza polityka międzynarodowa. Wówczas punkt ciężkości jej leżał jeszcze w Europie. Nie przypominam sobie, aby Mackiewicz napisał jakiś artykuł o Ameryce.



W maju 1935 zmarł Marszałek Piłsudski. Wkrótce potem system, który się od 9 lat ustalił, zaczął wykazywać oznaki degeneracji. A nad Polską gromadziły się już ołowiane chmury, jak nad trumną Piłsudskiego na polu Mokotowskim. W stolicy panował polityczny marazm, w całym kraju — nastrój zaniepokojonego wyczekiwania czegoś. Tylko Kwiatkowski, korzystając z lepszej koniunktury i poparcia Prezydenta Mościckiego, dźwigał w górę, ile mógł, zacofaną gospodarkę polską.

Mackiewicz łatwo przejrzał pustkę, którą zostawił po sobie Piłsudski u steru państwa. Widząc przesuwanie się sił w Europie na niekorzyść Polski, zaczął bić na alarm. Zawiodło go to do „obozu odosobnienia”, co prawda na krótko. Do sprawcy tej swojej przygody żywił przed tym i potem jednakową sympatię. Wróciwszy do biurka redakcyjnego, krytykował ostro politykę Becka. Gwarancję angielską z marca 1939 nazywał „sojuszem egzotycznym”. Przypominał słowa Piłsudskiego do swoich podwładnych: „Wy beze mnie do wojny nie leżcie, wy ją beze mnie przegracie”. Lata następne przyznały mu rację.

Swoje tezy polityczne rozwijał również na emigracji. Boykutowany przez oficjalne sfery emigracyjne, odsunięty od prasy, wydawał broszurki, w których zwalczał politykę gen. Sikorskiego i Mikołajczyka, a po Jałcie bronił energicznie sprawy Ziemi Wschodnich.

W roku 1954 emigracja się rozłupała. Mackiewicz został premierem rządu przy Prezydencie Zaleskim. Próbował zapobiec rozłamowi, ale bezskutecznie. Pracował z zapałem, mocował się z małostkami i fikcjami polskiego getta. Ale mówił, że chętnie by to robił przez całe życie. Nie trzymał się szablonów i konwenansów, więc go utracono.

W latach 1954-55 obraz świata zachodniego był dość ponury. Nie było żadnych oznak jednoczenia się Europy przed rosnącym naciskiem kolosa sowieckiego. Era Eisenhowera w Stanach Zjednoczonych była politycznie bezpłodną. Mackiewicz stracił wiarę w dynamikę świata zachodniego, w jego odporność przeciwko pochodowi komunizmu. Zdawało mu się, że ta fala musi się przewalić przez nasze głowy, że się tego uniknąć nie da. Trzeba więc — dowodził — ją przetrzymać, aż się rozleje płytką warstwą i straci rozpęd. Hasłem na ten czas jest: zachować wewnętrznie własne ja — indywidualne i narodowe — nie dać się przefasować na obce kopyto. Po dyskusjach i sporach z paru przyjaciółmi, wrócił do Polski Bieruta i Radkiewicza.

Przypisywano mu pobudki wyłącznie materialnej natury. Mackiewicz nie był ani Katonem, ani cierpiętnikiem czy pokutnikiem. Był człowiekiem pełnym sił żywotnych i dawał im upust, — być może, nieraz zbyt wylewny. Pośród polityków i publicystów nie roilo się nigdy od świętoszków i anachoretów. Względy materialne mogły odegrywać tę czy inną rolę w jego decyzji, jak u każdego człowieka, ale nie były rozstrzygające. Nie jechał do przedpaździernikowej Polski po to, aby sławić nowy porządek rzeczy, lecz by z nim wedle możliwości walczyć. By nawiązywać przyszłość

do tego co było dla niego wartością w przeszłości, co było dodatnią tradycją Rzeczypospolitej.

Nie udało się chodzić po krawędzi rzeczy dozwolonych. Nie umiał uprawiać akrobatyki pióra. Musiał zamilknąć, lub krawędź przekroczyć. Wybrał to drugie.



Stanisław Mackiewicz był kolejno moim podwładnym, kolegą, konkurentem, przeciwnikiem bez skrupułów, ale odszedł jako przyjaciel. Na wieść o jego nagłym zgonie, przesunął się w mojej głębiej wzruszonej pamięci film z 45 lat naszych tak różnych w czasie stosunków. Żegnaj w nim współtowarzysza w przegranej półwiekowej pracy.

Nie spocznie, niestety, w miejscu najbardziej mu należnym — na tzw. Górcie Literackiej na cmentarzu Rossa, za murkiem, powyżej serca Piłsudskiego, a obok Syrokomli, Lelewela, Ludwika Abramowicza, Czesława Jankowskiego i tylu innych kolegów po piórze.

Kazimierz OKULICZ

P.S. Redaktor „Kultury” zgodził się zamieścić w jednym z następnych numerów sylwetkę Stanisława Mackiewicza, widzianą przeze mnie na tle Wilna w okresie dwudziestolecia. Zarazem zamieszczony będzie, na życzenie Zmarłego, list jego do mnie z czerwca 1965 roku.

## Zapiski z kraju niewoli

Będę przysyłał do „Kultury” w Paryżu w miarę wydarzeń swoje obserwacje z kraju. Rzeczą redakcji będzie łączyć te zapiski w artykuły odpowiednie dla miesięcznika, opuszczając, czy nie opuszczając, według swego uznania, omawianie faktów zbyt znanych. Co do samego tytułu: kraj w którym nie ma swobody myśli i swobody pracy, zasługuje niestety na nazwę kraju niewoli.

29 grudnia 1965 r.

Zaraz po oświadczeniu koła „Znak” w Sejmie, szerzono tendencyjne pogłoski, że ks. Arcybiskup Krakowski, Karol Wojtyła, główny dotychczasowy protektor organizacji „Znak”, „dystansuje



się" od listu biskupów, że nawet Kuria Krakowska pod nieobecność swego pasterza, zajęła wobec tego aktu stanowisko krytyczne. Robotnicy zakładów „Solvay” w Krakowie, w specjalnie im podyktowanej deklaracji wezwali Arcybiskupa do wypowiedzenia się. Trzeba wiedzieć, że ks. Karol Wojtyła był kiedyś robotnikiem w tychże zakładach. Jego inteligencja i pobożność zrobiły wrażenie na księdzu Sapięże, śp. księciu biskupie krakowskim, tak że polecił przyjąć go do krakowskiego seminarium duchownego, bez żadnych egzaminów i dyplomów. Polska jest krajem w którym nie wolno jest wydrukować ani słowa, które by się rządowi nie podobało, ale kościół katolicki nie został jeszcze pozbawiony kazalnicy. Toteż Arcybiskup Wojtyła kazał z ambon wszystkich kościołów krakowskich w czasie Bożego Narodzenia odczytać swoją wspaniałą odpowiedź swoim byłym kolegom z pracy. Ks. Wojtyła podkreśla, że robotnicy podpisujący list do niego nie znają „faktów w sposób właściwy”. Po-dru-gie, że list Biskupów był wypełnieniem wskazań Soboru, który stosując naukę Chrystusa kazał najbardziej prześladowanym darować winy swoim najgorszym prześladowcom. Po-trzecie, że biskupi polscy z całą stanowczością bronią granicy na Odrze i Nysie.

Potem ks. Arcybiskup cytuje prawdziwą wersję listu Biskupów niemieckich, a raczej ten jego ustęp, który przez rząd „ludowy” został sfałszowany. W ustępie tym biskupi niemieccy powiedzieli, że „chcą sobie uświadomić, że wyrasta tam teraz młoda generacja, która ziemię przekazane ich ojcom za swoje rodzinne strony uważa”.

Prasa krajowa, a w Polsce to znaczy tyle samo ile rząd Rzeczypospolitej Ludowej dopuściła się sfałszowania tego ustępu, skreślając w ogłoszonym przez „Forum” tekście biskupów niemieckich wyraz „tam” co wywołało wrażenie, jakby biskupi niemieccy myśleli tutaj nie o młodzieży polskiej we wrocławskim i szczecińskim, lecz o młodzieży niemieckiej, która została zrodzona z byłych Ślązaków-Niemców i Pomorzan-Niemców i przebywa obecnie w Niemczech.

Zwróćcie uwagę na ten fakt: rząd „ludowy” zarzucający biskupom brak dbałości o polityczne interesy polskie, sam fałszuje tekst lepszy dla Polaków na gorszy dla Polaków. Osobliwa obrona polskich interesów narodowych.

Wróćmy jednak do listu Arcybiskupa Wojtyły:

Z dużym talentem polemicznym wzywa on robotników „Solvay”, aby spowodowali, żeby jego odpowiedź znalazła się na łamach prasy. Pisze: „Mam nadzieję, że sami postaracie się o to, aby moja odpowiedź na wasz list znalazła miejsce na łamach prasy, by ci, którzy przeczytali wasz list, mogli teraz zapoznać się z odpowiedzią”.

Oczywiście to zdanie przekona wszystkich robotników. Każdy z nich zrozumie, że byli wykorzystani, lecz, że nikt im nie pozwoli na lojalną dyskusję.

Odczytanie listu Arcybiskupa Wojtyły jest wydarzeniem bardzo ważnym. Trudno, społeczeństwo polskie nie jest Izraelem, który od dawna już handluje z NRF, wbrew zasadzie „Oko za oko, ząb za ząb”. Społeczeństwo polskie jest uczulone na wspomnienie okupacji niemieckiej. Demagogia przeciw listowi Biskupów ma taki grunt, jakiego dotychczas komuniści, ani przez chwilę nie posiadali. Toteż kolportowane pogłoski, że część biskupów z Wojtyłą na czele nie jest zadowolona z listu znajduwały posłuch. List Arcybiskupa Wojtyły przeciął możliwość takich pogłosek, czy takich insynuacji.

9 stycznia 1966 r.

W dniu 9 stycznia 1966 r. ogłoszono w prasie warszawskiej „Komunikat Urzędu Rady Ministrów” adresowany do sekretarza Episkopatu ks. biskupa Zygmunta Choromańskiego, a podpisany przez szefa Urzędu Rady Ministrów Janusza Wieczorka.

Komunikat ten ogłasza rzecz dotychczas niesłuchaną nawet w państwach socjalistycznych, a mianowicie zapowiada, że Prymas Polski nie otrzyma więcej paszportu zagranicę.

Treść tego komunikatu przypomina sposób pisania małego dziennikarzyny, bez większych ambicji.

Znów jako główny zarzut występuje oskarżenie, że list biskupów został napisany i wysłany samodzielnie, bez porozumienia się z rządem ludowym. Zawsze i na każdym kroku rosyjski sposób myślenia, tradycje rosyjskie, rosyjski, a nie europejski kąt patrzenia. To archiereje rosyjscy od czasów „pierwszego bolszewika”, bo Piotra Wielkiego, znajdowali się pod rozkazami oberprokuratora Synodu. Kościół Katolicki zawsze był instytucją wolną, międzynarodową i samodzielną. Nie można żądać od Episkopatu jakiegokolwiek kraju katolickiego, aby działał w porozumieniu ze swoim rządem. Gdyby Episkopat włoski, z biskupem Rzymu na czele, uzgadniał swe wystąpienia z Saragatem, Moro, czy innym Fanfanem, to byłyby oczywiście koniec Kościoła Katolickiego, jako Kościoła Powszechnego. Uzgadnianie wystąpień Episkopatu z ateistami, byłoby tylko oszukiwaniem ludzi wierzących.

Ale w komunikacie podpisanym przez p. Wieczorka jest mowa także o tym, że „ks. Kardynał wykorzystał swój ostatni pobyt w Rzymie nie tylko dla celów religijnych, ale również dla działań politycznych szkodliwych z punktu widzenia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.



Dość trudno jest operować pojęciem: „interesy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Praktycznie bowiem polityka zagraniczna samodzielna Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie istnieje, — powtarzam z naciskiem: nie istnieje. — Rząd Polski Ludowej spełnia tylko pewną ilość wskazówek rządu Związku Radzieckiego. Powiedziałbym, że polityka rządu Polski Ludowej da się porównać do roli naganiaczy przy polowaniu. Panowie polują, naganiacze zajęci są przy napędzaniu zwierzyny. Porównanie to szwankuje o tyle, że nagonka idzie cicho, nasza polityka wyraża się w nieustannych hałasach.

Prasa chińska oskarża Związek Radziecki, że w sprawie Indii-Pakistan, a nawet w sprawie Wietnamu działa w cichym porozumieniu z kapitalistyczną Ameryką. Nie wiem jak tam jest, ale rozumiem, że Rosja jest zaangażowana w całej Azji. Ale po co rząd polski wypina bohaterstwo swe piersi i woła: „nigdy z Amerykanami nie dojdziemy do porozumienia dopóki potoki krwi leją się we Wietnamie”.

Czyż nie nagonka? — Oczywiście, że wolno jest na słuszność czy celowość wojny we Wietnamie zapatrywać się tak czy inaczej. Nie znam tej sprawy. Wiem tylko, że narodowych polskich interesów ona nie dotyczy.

Aby zaczepić granice na Odrze i Nysie, Niemcy muszą zająć NRD, które znaczą tyle samo, co terytorium rosyjskie. Rosjanie bynajmniej nie wrzeszczą kilka razy na dzień „nie damy NRD”, Rosjanie utrzymują stosunki dyplomatyczne z Niemcami Zachodnimi, gościli Adenauera i td. i td. U nas jest wręcz odwrotnie. Czyż nie nagonka?

2 lutego 1966 r.

Ciągle jeszcze trwa na łamach prasy krajowej atak na Biskupów Polskich, że wyrzekli w stosunku do Biskupów Niemieckich wyraz: „Wybaczymy”. Wobec uczulenia społeczeństwa w kraju na wspomnienie bestialstw hitlerowskich, ten atak ma częściowe powodzenie. Ale jakże brak swobodnej prasy zezwala jednym, dopuszcza u drugich brak logicznego myślenia. Oto w dniu 1 lutego na pierwszych stronicach gazet warszawskich ukazały się wiadomości o zjeździe w Warszawie pomiędzy „Zbowidem” polskim, a „Antifa” wschodnio-niemiecką. Wiadomości te zredagowane są słodkawym tonem, stanowiącym obrzydliwą specjalność warszawskiej prasy. Oczywiście „Antifa” nazwana jest organizacją braterską. To chyba jest dalej idące określenie, niż „wybaczymy”, a przecież „Antifa” to także Niemcy.

„Zbowid” cieszy się opieką ministra Spraw Wewnętrznych, Mieczysława Moczara. W skład jej wchodzi zarówno dawni bo-

jownicy z AK i innych polskich organizacji, które podjęły walkę z Niemcami z chwilą nastania okupacji, czyli w 1939 r., jak i komuniści polscy, którzy wystąpili przeciwko Niemcom dopiero wtedy, kiedy Niemcy zaczęły zagrażać Rosji, a więc dopiero po napadzie Hitlera na Rosję w 1941. Drugą różnicę pomiędzy partyzantami polskimi, a polsko-komunistycznymi stanowi to, że pierwsi byli bardzo liczni, a drudzy reprezentowali ilość stosunkowo niewielką.

„Antifa” to „antyfaszystowski związek bojowników oporu”. Kto się na tych bojowników składa i kiedy oni zbrojnie działali przeciw Hitlerowi o tym nie możemy czytelnika poinformować. W każdym razie stawianie na równi ludzi ze „Zbowidu” i to tak samo nie komunistów, jak komunistów z tymi rzekomymi bojownikami anty-hitlerowskimi z Niemiec jest dla tego „Zbowidu” nie tylko krzywdą, ale i zniewagą. Szkoda, że ta „Antifa” nie ogłosi personalií swoich bohaterów i tego kto z nich co robił podczas wojny.

A więc biskupom nie wolno jest powiedzieć, że wybaczą biskupom niemieckim, a tu należy nazywać Niemców z „Antify” braćmi, tak samo zresztą jak wszystkich Niemców z Niemiec Wschodnich.

Woła się tutaj o zniesienie cenzury, a raczej wołali o to niektórzy literaci w roku zeszłym. Istotnie w Warszawie, nie mówiąc już o Krakowie czy Poznaniu, nigdy nie było takiej cenzury jak obecnie za najgorszych carskich czasów, za Hurki i Apuch-tina. Cenzura w Polsce nie jest żadną cenzurą, lecz redakcją, a nawet nie redakcją, lecz nauczycielem i dyrygentem tego co pisać należy. Ale, znowuż, z ręką na sercu, czy zniesienie cenzury w obecnych warunkach jest w Polsce możliwe? — Przecież nie tylko polityczne, lecz może jeszcze bardziej gospodarcze stosunki w komunistycznej Polsce nie wytrzymałyby jednego roku swobodnej krytyki. Przecież ucisk myśli, zakneblowanie ust jest to *conditio sine qua non* utrzymania obecnego stanu rzeczy w Polsce.

Ale oto odbyło się w dniu 31 stycznia 1966 r. zebranie oddziału warszawskiego Związku Literatów. Mówiono głównie o obiadach zniżkowych, stypendiach, przydziale mieszkań, paszportów zagranicę, przydziale dewiz, jednym słowem o wszystkich rzeczach uzależniających potulną brać piszącą od partii i rządu. Wystąpił jednak znany krytyk muzyczny p. Waldorff, zaznaczając na wstępie, że rozumie konieczność cenzury politycznej, a tylko protestuje, żeby ministerstwo Kultury i Sztuki przy pomocy cenzury politycznej narzucało mu swoje zdanie w ocenie takich czy innych utworów i ich wykonawców, w ocenie muzyków. Wal-



dorff pisze jedno, a cenzura przeinacza jego oceny. Waldorff jest krytycznie nastrojony do nowozbudowanej opery w Warszawie i wysoko ceni dotychczasowego działacza muzycznego p. Wodiczkę i td. Cenzura wydała rozporządzenie, że Waldorffowi w jego artykułach muzycznych w ogóle nie wolno wymieniać wyrazu: opera, czy też Wodiczko.

Czy naprawdę nie znajdzie się nikt, kto by się udał do współpracowników działu kulturalnego w „l'Humanité” i zapytał się ich, czy by lubili pracę w tych warunkach?

*Stanisław MACKIEWICZ*

#### LIST DO REDAKCJI

W „Kulturze” ze stycznia r.b. znajduję niepodpisane, a bardzo ciekawe opowiadanie: „Historia Haraschina”, o którym pisałem w swoim artykule „Podziemie gospodarcze” podpisanym moim pseudonimem: Gaston de Cerizay. Niestety bogactwo zapewne prawdziwych szczegółów w artykule o Haraschinie robi na mnie przykre wrażenie, jakby ich celem było „zagadanie” czy też rzucenie woalu, odwrócenie przy pomocy jaskrawych refleksów, uwagi czytelnika od tego faktu, że kilkunastu profesorów wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego podpisywało fałszywe świadectwa na skutek prośby, czy też presji ze strony Haraschina. Profesorowie ci nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej, a tylko zeznawali w charakterze świadków. Znajdowali się wśród nich ludzie, którzy nadal piszą artykuły pouczające. Toteż autor artykułu „Historia Haraschina” *pisze nieprawdę*, gdy na wstępie do swoich rewelacji twierdzi o mnie: „jest rzeczą ubolewania godną, że autor dysponując powodzią niesprawdzonych pogłosek i plotek” i td. Informacje o profesorach kładących swe podpisy pod fałszerstwami otrzymałem ze źródeł pierwszorzędnych i niestety są one zupełnie ścisłe.

*Stanisław MACKIEWICZ*

## OMÓWIENIE ANKIETY “KULTURY”



## Wyniki Ankiety

### *Trochę statystyki*

Dwie otyle i jedna chudsza teczka z napisem „Ankieta o religii” zawierają 92 dokumenty. Właściwych odpowiedzi na ankietę jest w tym 84, resztę stanowią ściśle z nią związane wypowiedzi na temat artykułu Juliuszu Mieroszewskiego „Religia a polityka” w 10/216 nrze „Kultury”.

Dwie odpowiedzi są zbiorowe: jedna wyraża poglądy małżeństwa zamieszkałego w Polsce, druga przyszła z Toronto i jest odbiciem dyskusji, jakie na temat ankiety toczyło tam grono „od 16-20 osób”. Poglądy siedmiorga z nich są wyodrębnione i oznaczone skrótami literowymi. Węzeł wątpliwości, jak liczyć te głosy złane w jednej zbiorowej odpowiedzi, przecięłem sobie dość dowolnie zaokrąglając (w dół) liczbę dyskutantów do 10. W ten sposób można bez przesady stwierdzić, że liczba uczestników ankiety przekroczyła setkę. Dla celów statystycznych przyjmuję, że wynosi ona 103 osoby (92 odpowiedzi, z których jedna — małżeństwo — wyraża poglądy dwu osób, druga — ok. dziesięciu).

Najwięcej odpowiedzi nadeszło ze Stanów Zjednoczonych — 29. O drugie miejsce rywalizują W. Brytania (20 odpowiedzi) i Kanada (13 odpowiedzi, ale wyrażających poglądy co najmniej 22 osób). Dalej idą Francja (8), Polska (2 odpowiedzi 3 osób, ponadto kilka osób piszących z innych krajów przebywało tam czasowo, mieszkając stale w Polsce), N.R.F. (3 — w tym jeden głos piszącego po polsku Niemca) i Australia (3). Po dwie odpowiedzi nadeszły z Brazylii, Argentyny i Włoch, po jednej z Libanu, Belgii, Meksyku, Afryki Południowej, Szwajcarii, Szwecji i Luksemburga.

Wielu uczestników ankiety przychyliło się do prośby o dane



osobiste. O podanie płci nie trzeba było prosić, gdyż zdradzają ją w języku polskim formy gramatyczne (co najmniej 16 pań wzięło udział). Wiek określili 64 osoby. Najmłodszy uczestnik liczy lat 28 i jest jedynym w grupie wieku poniżej 30 lat. Jeden, również jedyny w swej grupie, przekroczył osiemdziesiątkę. Poniżej 40, a powyżej 30 lat ma 9 osób, od 40 do 49 — 11, od 50 do 59 — 15. Od 60 do 69 — 19 i od 70 do 79 — 8. Pisząc: „wiek określili” popełniłem drobną nieścisłość. W kilku wypadkach znanych osób (pisarze np.) wiek ten określiłem sam na podstawie znajomości osobistej lub ogłoszonych biografii. Wniosek z tego przekroju jest zarazem smutny i pocieszający: wielka czy mała, nasza emigracja na pewno jest już stara. Ale szereg odpowiedzi ludzi w bardzo nawet podeszłym wieku świadczy o godnej pozazdrosczenia żywości umysłu.

Dane o wykształceniu podało — lub inaczej udało mi się je ustalić — 69 osób. Z nich 58 osób ma wykształcenie wyższe, w czterech wypadkach — nieukończone. Kilka osób wspomina, że studia uniwersyteckie odbyło w P.R.L., kilka — że na uczelniach zagranicznych. Jako „średnie” wykształcenie swe określa 9 osób. 2 osoby podają, że chodziły tylko do szkoły powszechnej, jedna jest samoukiem, a jedna — z Polonii amerykańskiej — nazywa się „prostaczkim”, który „do szkoły za wiele nie chodził, bo był biedny”. Poziom odpowiedzi, w których brak danych o wykształceniu, świadczy przeważnie, że było ono co najmniej średnie, w wielu wypadkach — więcej niż średnie. Na ogół, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, poziom odpowiedzi określiłbym jako dość wysoki, zgodny z wysoką przeciętną podanego wykształcenia. Pewne pojęcie o nim dadzą prace zamieszczone w tym numerze, przy czym godzi się podkreślić, że wybór ich nie był łatwym zadaniem, gdyż z braku miejsca trzeba było z żalem wyrzec się drukowania niejednej odpowiedzi nieznacznie tylko — jeśli w ogóle — ustępującej wybranym.

Jeśli idzie o zawody, najliczniejsza jest grupa pisarzy i dziennikarzy, licząca 14 osób. Tym niemniej, zważywszy że wiele zaproszeń imiennych poszło właśnie do ludzi pióra, po których z natury rzeczy można się było spodziewać najwymowniejszych odpowiedzi — nasuwa się przykry wniosek o bojkocie ankiety przez przedstawicieli tej profesji, której emigracyjne związki zrzeszają przecież kilkaset osób. Przyczyny takiej wstrzemięźliwości pozostają dla mnie zagadką. Bardziej zrozumiałe, choć nie mniej bolesny, jest nikły udział duchownych, ograniczony do dwu odpowiedzi, jeśli nie liczyć trzeciej — spod pióra księdza, który zerwał z Rzymem. Z innych grup zawodowych stosunkowo dość licznie zabrali głos pracownicy nauki — 8 osób, w tym co najmniej pięciu profesorów wyższych uczelni za granicą, a w jednym

wypadku — w kraju, zawodowi oficerowie sztabowi (w stanie spoczynku) — 6 osób i inżynierowie — 9 osób.

Bezimiennych odpowiedzi jest niewiele — 13, z tego 4 podpisane pseudonimami. Jedna ma podpis nieczytelny, a 8 uczestników ankiety podpisując odpowiedzi zastrzegło sobie nieujawnianie swych nazwisk.

Stanowisko, które określiłem sobie jako „wyznawcze”, pozostające w ramach ortodoksji rzymsko-katolickiej i „zaangażowane” — zajmuje 46 osób. Z nich 20 określa się jako „wierzący i praktykujący”, a w odpowiedziach pozostałych 26 nie wskazuje na to, jakoby mieli zasadnicze zastrzeżenia czy trudności w dziedzinie wiary i praktyk. Jeśli krytykują Kościół, to zawsze „od wewnątrz”, nie przekraczając granic soborowej dyskusji w kołach katolickich.

Do drugiej grupy zaliczyłem osoby silnie związane z Kościołem katolickim, ale których nie sposób zaliczyć do w pełni wierzących i praktykujących. Jest ich 14. Przedstawiają one bardzo różnorodny wachlarz postaw. Niektórzy określają się nawet jako „wierzący i praktykujący”, ale w dalszym ciągu odpowiedzi odrzucają pewne dogmaty i obowiązujące katolika praktyki. Przykładowo podają kilka samookreśleń: „Niewierzący, ale praktykujący — dziwne, ale jest tak dlatego, że religię traktuję jako instytucję wychowawczą — uczy mnie i moje dzieci i moje otoczenie, jak ludzie mają współżyć”. „Wierzy i chce wierzyć. Trudno tylko wierzyć we wszystko... Przeżywa pewne zaniechanie praktyk...”. „Pochodzę z rodziny b. religijnej i tak byłem wychowywany. Wierzący, nie praktykujący”. „Wierzący i niepraktykujący w sensie konwencjonalnym”. „Nie mogę powiedzieć, że jestem absolutnie wierzącym, ani że jestem zdecydowanie niewierzącym. Jestem okresami praktykujący, nierzadko się modlę, dosyć często wstępuję do kościoła, niekoniecznie na mszę... Uważam się za katolika, przywiązany jestem do religii katolickiej i do instytucji Kościoła, którą uważam za bardzo pożyteczną, m.in. dlatego że niezmiernie się przyczyniła do utrzymania poczucia narodowego w czasach niewoli. Religię katolicką uważam za religię narodu polskiego”. „Jestem w zasadzie niepraktykujący, chociaż bywam w kościele”. „Katolik niepraktykujący”.

Następną, bardzo nieliczną grupę stanowi czworo przedstawicieli innych wyznań: jeden — wyznania ewangelicko-augsburskiego, jeden Żyd, „wychowany w wyznaniu mojżeszowym”, nie będący dziś „Żydem wierzącym ani praktykującym”, lecz uważający się „mimo to za Żyda” oraz dwoje wyznawców drobnych sekt chrześcijańskich, zajmujących nieprzejednane anty-katolickie stanowisko.

Dalszych 12 uczestników ankiety określiłbym jako ludzi re-



ligijnych, lecz nie mieszczących się w żadnej religii „zorganizowanej”. Trzynastym mógłby tu być Mieroszewski, jeśli jego artykuł zaliczyć, do ankiety. Przytaczam kilka charakterystycznych wypowiedzi obejmujących szeroką skalę poglądów od chrześcijańskiego teizmu po ostry antykatolicyzm, nie ateistycznego jednak pokroju: „Mimo że moja etyka jest na wskroś... chrześcijańska, nie mogę się uważać za wierzącego... Sprawy wiary, to dla mnie zagadnienie etyczne i kulturalne. W Starym i Nowym Testamencie odczuwam piękno narracji i poezji”. „Zostałem wychowany w atmosferze ateizmu, choć (mówiąc o wieku dojrzałym) nie mógłbym zaliczyć siebie do niewierzących. Praktykujący nigdy nie byłem” (36-letni prawnik, wykształcony w P.R.L.). „Wierzący, któremu ukradziono jego wiarę”. Inny uczestnik wierzy w „słodką i świeżą etykę nauk Chrystusowych” lecz stanowczo odrzuca „dogmaty przez Kościół do wierzenia podane”. Jeszcze inny pisze: „Ja wierzę w prawdziwego Boga, którego widzę na każdym kroku w całej naturze. Jemu cześć oddaję... Żadnego chrześcijańskiego odkupywania sobie nie życzę, bo ci dobroczyńcy kapłani Chrystusowi za drogo każą sobie za to płacić”. I wreszcie, najostrzej wyraża się „urodzony katolik, wychowany w duchu katolickim”: „Po zapoznaniu się ze Słowem Bożym, zawartym w Piśmie św. z obrzydzeniem odrzuciłem katolicyzm z jego praktykami... które nie mają nic wspólnego ze Świętą Ofiarą Jezusa Chrystusa”.

Za ateistów lub agnostyków wypada uznać 13 osób. Z nich właściwie nikogo nie można by zaliczyć do ateistów wojujących, najwyżej tu i ówdzie zaznacza się silny antyklerykalizm. Nieraz występuje w tej grupie tolerancyjny lub nawet nader życzliwy stosunek do religii. Niewierzący pracownik naukowy, który niedawno opuścił Polskę, przeszedłszy tam — jak pisze — „brain-wash”, nie uważa się za antyreligijnego i „z olbrzymim zainteresowaniem” śledzi prace soboru. Inny uczestnik, określający się jako „wolnomyśliciel” pisze: „Staram się wierzyć tylko w prawdę, ale rozumiem, że wielu ludziom religia ułatwia i umila życie”. Znamiennie, że ponad połowa zaliczonych do tej grupy podkreśla otrzymane wychowanie religijne w szkołach zakonnych (ss. nazaretanki, oo. pijarzy...) lub w domu („ojciec dewot” i tp.).

11 uczestników ankiety nie określa swego stanowiska i nie zdradza się z nim, tak aby ich można jakoś zaklasyfikować. Nie mogłem się zdecydować, gdzie zaliczyć dwie osoby, których stanowisko mieści się na pograniczu pierwszej (zaangażowanej) grupy i drugiej.

Rzecz jasna, proporcji pomiędzy poszczególnymi grupami nie należy w żadnym razie uważać za odbicie przekonań i nastrojów całego lub emigracyjnego społeczeństwa polskiego, ani nawet inteligencji emigracyjnej lub choćby tylko czytelników „Kultury”

— gdyż wobec żadnej z tych społeczności uczestnicy ankiety nie stanowią, jak słusznie podkreśla J. Horzelski, „grupy reprezentacyjnej” (*representative sample*) w socjologicznym sensie. Ankieta musiała bardziej zainteresować ludzi uczuciowo zaangażowanych w temacie, tak pozytywnie (stanowisko wyznawcze) jak i negatywnie (ateiści, przeciwnicy Kościoła katolickiego) niż obojętnych wobec zagadnień religijnych, którzy zapewne stanowią znaczny odsetek naszego społeczeństwa.

### Czy ankieta się powiodła

Nie jest łatwo ocenić odzew na ankietę. Sętka odpowiedzi — czy to dużo, czy mało? Byłoby to żenująco mało, gdyby w ogóle tętno życia umysłowego na emigracji było silnie (ankieta przyniosła sporo ubolewań na ten temat). W porównaniu jednak z innymi podobnymi inicjatywami: ankietami lub konkursami rozpisywanymi na inne tematy przez instytucje i czasopisma emigracyjne (także „Kulturę”) — odzew trzeba uznać za wyjątkowo żywy. Żadna dotychczasowa ankieta, jak mi się zdaje, nie została tak licznie obesłana.

Trzeba przy tym zaznaczyć, że omawiana ankieta wymagała od uczestników niemało. Długi kwestionariusz poruszał wiele zagadnień i wchodził w liczne szczegóły. Pytania były tak ujęte, że nie można ich było „załatwić” krótkim „tak” lub „nie”. Ankieta nie była „poolem”, plebiscytem czy referendum, lecz zapraszała do dociekań i roztrząsań.

Z tego punktu widzenia odpowiedzi nie zawiodły oczekiwań. Około 20 z nich jest obszernymi szkicami, ok. 50 zasługuje na miano referatów lub artykułów, dopiero niewielką resztę stanowią odpowiedzi zwięzłe — przeciętnie trzy strony maszynopisu — wśród których jest zaledwie kilka pospiesznych czy zdawkowych. Jako przykłady nieszczędzenia trudu, czasu i papieru podaję rozmiary najdłuższych maszynopisów: 34 str. średniego formatu, 13 stron średniego formatu bez interlinii, 22 str. dużego formatu, 23 strony średniego formatu, 10 stron dużego formatu bez interlinii, 11 stron średniego formatu bez interlinii... Z prac pisanych odręcznie najdłuższe liczą 67 i 30 stron dużego formatu\*).

\*) Najdłuższym utworem nadesłanym w odpowiedzi na ankietę, lecz tylko na wstępie do niej nawiązującym, jest 200-stronicowy maszynopis z Detroit, zawierający autobiograficzne wspomnienia i religijne rozmyślenia 80-letniego, zaledwie piśmiennego emigranta. Jako dokument psychologiczny i socjologiczny rzecz jest bardzo interesująca. Autor daje w niej wyraz swej żarliwej wierze i przywiązaniu do Kościoła. Stanowczo odrzuca — wspomi-



Przedstawiając redakcji „Kultury” wnioski co do ew. zamieszczenia wypowiedzi ankietowych wziąłem ich pod uwagę aż 29, a więc przeszło jedną czwartą całego plonu. Kryteriami moimi były dobra orientacja w poruszonych zagadnieniach, samodzielność przemyśleń, oryginalność poglądów i logiczność ich uzasadnienia oraz *last but not least* — walory literackie. Uderzył mnie rozmach stylistyczny, swada, żwawa retoryka nie tylko odpowiedzi branych pod uwagę i ostatecznie wybranych do druku i nie tylko tych, które wyszły spod piór wprawnych i znanych. Ujęty byłem szczerością licznych głosów nie wahających się wchodzić w intymne osobiste szczegóły. Miłym urozmaiceniem lektury były wtręty anegdotyczne. Wszystko to razem złożyło się na wcale wysoką „temperaturę” i świadczy o żywym stosunku do tematu. Nieuniknione w takim przedsięwzięciu wypowiedzi grafomańskie lub maniackie stanowią znikomy procent, można je policzyć dosłownie na palcach jednej ręki.

Najmilszą formą podziękowania uczestnikom ankiety byłoby zamieszczenie możliwie największej ilości ich odpowiedzi. Skoro rozmiary prac i szczupły format miesięcznika stawiają tamę temu pragnieniu, będę się przynajmniej starał w dalszym ciągu nie uronić żadnej ciekawszej myśli i żadnego celnego, pobudzającego sformułowania. Z wdzięcznością stwierdzam, że wzbogaciły moje myślenie o sprawach, które mi nie od dziś i nie od wczoraj leżą na sercu. Gdybym własną odpowiedź na ankietę posyłał przed zapoznaniem się z jej wynikami, jestem przekonany, że byłaby płytsza i słabsza od tej, jaką teraz mógłbym napisać i być może kiedyś w innej formie napiszę.

Podziękowanie należy się również tym pismom, które — jak „Tydzień Polski”, „Ameryka-Echo”, „Kurier Polski”, „Związkowiec”, „Dziennik Chicagowski”, „Gwiazda Polarna” i in. —

nając Toynbee'ego — myśl o „erze po-chrześcijańskiej” i z naciskiem broni kultu Najświętszej Panny. Jako przykład przeżywania przez niego debat soborowych przytaczam zakończenie pracy, zachowując jej styl, lecz nie — utrudniającą czytanie bardzo swoistą pisownię:

„W jednym z dzienników polskich zatytułowana jest mowa księdza. Arcybiskupa! Rzymsko-katolickiego! Z Rio de Janeiro — który prosi i błaga, ażeby Biskupi porzucili takie tytuły jak „Eminencyja”, i „Ekscelencyja” oraz pozbyli się drogich pierścieni i luksusowych samochodów! Ach, nawet i butów ze srebrnymi klamrami.

„O cóż dalej prosi i błaga Ksiądz Arcybiskup Camara? Ażeby wszyscy Biskupi złożyli swoje złote i srebrne krzyże oraz i pierścienie u stóp Papieża. A wzamian za to otrzymają drewniane. Ach, dla mnie jakie to jest wzniósł!

„A dalej co mówi Ojciec św.? „Zadaniem jest naszym zbudować dla świata współczesnego most. A Kościół oczyścić z wszystkich plam.” Oraz puścić wody źródlanej, czystej, Łask Jezusa! Ach, i rozlanie jej na świat cały...”

przedrukowały kwestionariusz, pozwalając mu wyjść poza czytelnicy krąg „Kultury”, a także londyńskiemu Instytutowi Polskiej Akcji Katolickiej który zachęcił swych członków do wzięcia udziału.

### Opinie o ankiecie

30, a więc bez mała jedna trzecia odpowiedzi zawiera uwagi o samej ankiecie. Dużo jest wyrazów uznania w rodzaju: „Witam z prawdziwym uznaniem ankietę”, „... porusza najważniejsze dziś dla mnie zagadnienie”, „Cieszyć się wypada, że 'Kultura' podjęła tak ciekawą inicjatywę”, „jest znakomitym pomysłem”, „Ze szczerem zainteresowaniem będę czytał przytaczane odpowiedzi...” „Kulturze” należy się wdzięczność i pochwała, że podjęła tego rodzaju ankietę. Trzeba przyznać, że redakcja ma zdolność utrafiania w sedno spraw...” „bardzo na czasie...” „bardzo ważny i istotny problem”, „Dziękuję 'Kulturze'... za tę ankietę, jakże potrzebną. Mam nadzieję, że wszystkie odpowiedzi przeczyta ks. biskup Rubin i możliwie wielu polskich księży...” „Byłam zafascynowana. Ankieta niecodzienna, zachęca i ośmiela do napisania własnej nieujawnianej prawdy...”

Nie brak i głosów krytycznych. Ankieta jest „być może przedwczesna”, bo „wszelkie reformy muszą przejść przez próbę życia”. Jest „spóźniona”, bo „nie zdąży np. dotrzeć do rąk naszych biskupów w czasie trwania ostatniej sesji soboru”. Są zastrzeżenia co do „obszernych ram” i „poziomu, przewyższającego przeciętny poziom naszej społeczności na uchodźstwie”. „Sprawy wymierzalne i konkretne bardziej nadają się do tego typu badania niż o wiele bardziej skomplikowane sprawy duchowe” — zauważa słusznie jeden z uczestników. Inny, bardzo krytycznie nastawiony, ma „wrażenie”, choć „nie chce przesądzać sprawy”, że ankieta „rozpisana jest przez dziennikarza-polityka z myślą: „czy do pewnej polityki wydarzenia związane z Soborem mogą przynieść jakieś nowe dane”. Jeszcze inny, niewierzący, ma wątpliwość, „czy znajdzie się zbyt wielu tak gorliwych, aby nie licząc się z następstwami, mogli przesłać szczerą odpowiedź”. O „różnych rodzajach cenzury” i „wzglądach” stojących na przeszkodzie szczerem odpowiedziom pisze też Miłosz. Ciekawe uwagi ogólne wypowiada Pospieszalski. Najgłębiej krytykę ankiety ujmuje Horzelski. Do jego uwag powrócę w zakończeniu tego omówienia.

„Wolałabym, aby ankieta była przemyślana i ułożona przez socjologa, który stawia pytania naukowo i beznamiętnie, tak aby w niczym nie przesądzały odpowiedzi” — zauważa jedna z uczestniczek, dodając, że „ankieta zredagowana jest trochę po ama-



torsku, w stylu XIX wieku". „Przygotowana przez osoby w sprawach religijnych niezbyt doświadczone...”, „zawiera kontrydykcje” (uczestnik niestety nie podaje, jakie) i „często z góry przewidziane możliwości odpowiedzi”. Pytania są „przygodne i nieściśle”, „zostały sformułowane nieco ad hoc...”. Konkretne zastrzeżenia wywołało pytanie na temat „konfliktu między wiedzą a wiarą”, „sugerujące, że taki konflikt istnieje” i „świadczące, że... autorzy ankiety żyją jeszcze w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia”, następnie pytania dotyczące zagadnień społecznych, „naiwne” zdaniem jednego z uczestników, „trące myszka... albo automatyzmem wiary w jakiś utopijny socjalizm”, według innego, lub nawet „wykazujące ignorancję” redaktorów ankiety, według jeszcze innego. Gdziekolwiek pojawia się nuta zjadliwego sarkazmu, który — rzecz ciekawa — jest wyłączną specjalnością „wierzących i praktykujących” a konserwatywnie nastrojonych uczestników ankiety. Jaskrawym przykładem może być następująca krytyka 3-go pytania I-jej części: „Pytanie jest sformułowane w sposób zakładający jako pewnik, że proces dechrystianizacji postępuje. Intelktualista, który na pewno nie kłania się Panu Bogu mijając kościół, układał to pytanie i sugerował, by o religii mówić bez namaszczenia. Jeśli się z nim zgodzić, należy coś dać ludziom do wierzenia, coś, co zastąpi Boga. Czy to już zostało wymyślone przez Zespół 'Kultury'?”. Podobnym tonem odznacza się inna uwaga innego uczestnika: „Dlaczego w pytaniu słowo 'maryjny' napisano małą literą? Skoro piszemy do byle durnia 'Szanowny Panie', to chyba wypada pisać słowo pochodzące od imienia najpiękniejszej moralnie niewiasty napisać z dużej litery. Grzeczność, to kultura ('Kultura'?)”.

Pewną przeciwwagą krytycznych uwag o pytaniach ankiety jest pochlebna o nich opinia Jedlickiego (socjologa właśnie) i Siemaszki, który sądzi, że „większość pytań ankiety zazębia się ściśle... co świadczy o dobrym ujęciu tematu”.

\*) Jako współautor pytań ankietowych muszę tu wyznać, że chciałbym być godzien miana wierzącego i praktykującego katolika, a kult maryjny w jego niewypaczonej — jak tu się — formie stanowi istotną część mojej wiary i praktyk. To prawda, że czapki lub kapelusza przed kościołem nie zdejmuję, nie tyle dlatego że nie lubię demonstracji, ile z tej prostej przyczyny że zimą czy latem chadzam z gołą głową. Podobnie jak ogromna większość uczestników ankiety, z najgorętszymi obrońcami kultu Matki Bożej włącznie, w piśniowni przymiotników stosuję się do zasad ustalonych przez przedwojenną Akademię Umiejętności, tym chętniej, że częste u nas nadużywanie dużych liter ze względów uczuciowych powoduje ich dewaluację jako środka wyrazu. Przyznaję się natomiast do niezbyt szczęśliwego ujęcia pytania o procesie dechrystianizacji. To że on „postępuje” jest dla mnie faktem równie oczywistym jak bolesnym, co nie znaczy — nieodwracalnym, nie powinieniem był jednak przekonania tego przedstawiać jako niepodlegającego wątpliwości.

Pod dość silnym ostrzałem znalazł się tytuł działu, w którym ukazała się ankieta — „O religii — bez namaszczenia”. „Sam tytuł ankiety... wydaje się niezbyt szczęśliwy. Nosi bowiem charakter pewnego negatywizmu samej religii... i braku do niej należytego szacunku... Z pewnością chciano w ten sposób stworzyć dogodną atmosferę, aby zachęcić szerszy ogół czytelników do wzięcia udziału... jednak i ten motyw nie usprawiedliwia tego określenia, gdyż u wierzących budzi ono pewien niesmak” — czytamy w jednej odpowiedzi. A w innej: „Niejednego katolika musiał urazić sam tytuł: ... 'Religia bez namaszczenia'. Co to ma znaczyć? Bo jeśli do czego należy stosować namaszczenie, to właśnie do religii. Ksiądz odprawiający mszę bez namaszczenia jest złym księdzem. Oleje, święcone w Wielką Sobotę... stosowane są przy udzielaniu czterech sakramentów...”. Podobna krytyka pojawia się w kilku jeszcze innych odpowiedziach, a jedna nosi nieco protestacyjny tytuł: „O religii z należyłym namaszczeniem”.

Intencję zwrotu „bez namaszczenia” wyczuł trafnie Józef Mackiewicz, a z krytyków tego wyrażenia tylko Józef Czapski zauważył, że nie był to tytuł ankiety, lecz działu, w którym od szeregu miesięcy ukazują się w „Kulturze” artykuły o zagadnieniach religijnych, traktowanych — mam nadzieję — z należyłym szacunkiem, choć nie „uroczyście”, jak „Słownik Ortoepiczny” Szobera tłumaczy zwrot „z namaszczeniem”<sup>\*)</sup>. Namasczenie i uroczysty ton należy zachować dla obrzędów liturgicznych i szczególnych okazji. Na codzień o religii lepiej jest mówić językiem codziennym, prostym, swobodnym, zwłaszcza gdy się chce przemówić także do obojętnych i sceptyków. „Istota religii nie polega na tym nadętym, napuszonym, sztucznym, rzekomo pobożnym tonie” — pisze w swej odpowiedzi na ankietę Wojciech Gniatczyński. Oczywiście, namaszczenie niezawsze wyradza się w napuszenie i uroczysty ton niezawsze pokrywa pustkę — tak samo jednak swoboda nie musi być libertynizmem, zwyczajność — wulgarnością, a lekkość — brakiem powagi. Najlepsze w życiu rekolekcje zamknięte miałem kiedyś szczęście odbyć pod kierownictwem pewnego francuskiego jezuitę, który o najgłębszych sprawach mówił tak zabawnie, pykając fajeczkę, że chwilami pokładaliśmy się ze śmiechu. Ten sam ksiądz jednak mszę odprawiał z namaszczeniem, jakiego u nikogo przedtem ani potem nie widziałem.

\*) Znajduję właśnie w gazecie przykład, spod pióra świetnego stylisty — że „namaszczenie” bywa odczuwane jako określenie ujemne. Chwaląc telewizyjny występ de Gaulle'a W. A. Zbyszewski pisze w „Dzienniku Polskim” z 17 grudnia ub.r.: „Ani sekundy nie był nudny, ani sekundy nie był namaszczonej, ani sekundy nie był nienaturalny...”.



*Zmierzch chrześcijaństwa?*

1 pytanie cz. I kwestionariusza spotkało się z żywym zainteresowaniem uczestników ankiety. Wypowiedziało się na ten temat 80 osób. Z grubsza poglądy ich można ująć w cztery stanowiska: skrajnie pesymistyczne (z punktu widzenia perspektyw chrześcijaństwa), umiarkowanie pesymistyczne, umiarkowanie optymistyczne i skrajnie optymistyczne. Liczbowo proporcja tych stanowisk przedstawia się: 12 : 17 : 35 : 14 (dwie odpowiedzi żadną miarą nie mieszczą się w szufladkach), to znaczy, że zdecydowanie przeważa umiarkowany optymizm.

Wśród skrajnych pesymistów znajduje się tylko jedna osoba określająca się jako „wierząca i praktykująca” i niemal wszyscy ateści. Niektórym z nich, wyczuwa się, myśl o „zmierzchu chrześcijaństwa” sprawia wyraźną przyjemność. Podejście do zagadnienia jest tu często uczuciowe, argumentacja uboga. Są jednak wyjątki, jak np. ta wypowiedź, której fragment cytuję\*):

Weszliśmy w erę „po-chrześcijańską”. Sukcesy komunizmu, znikomy wpływ kościołów chrześcijańskich na bieg historii współczesnej i obojętność mas na problemy religijne są tego dowodem. Chrześcijaństwo jako filozofia życia umiera śmiercią naturalną od pięciu wieków, zaś jako potęga polityczna już od ostatniej wojny krzyżowej. Reformacja była przełomem, po którym można zauważyć tylko tendencję zmierzchu... Kościół „przespał” rewolucję przemysłową i manifest komunistyczny, co również jest dowodem zmierzchu żywotności chrześcijaństwa. Pewien wzrost popularności Kościoła katolickiego w U.S.A. i młodych państwach Azji i Afryki nie przechyła wyraźnie wagi na korzyść powszechnego odrodzenia wiary. Europa żyje o tyle ideą chrześcijaństwa, o ile chrześcijaństwo u swego szczytu żyło ideą starożytnej Grecji i Rzymu...

Niektórym „pesymistom” „zmierzch” wydaje się wyrażeniem zbyt słabym. Piszą więc o „agonii”, o „gwałtownej zagładzie”, „kompletnym bankructwie” i dechrystianizacji „jaskrawej, bezspornej i kompletnej”, przepowiadają „bezpowrotne zamknięcie epoki chrześcijańskiej”.

Dechrystianizacja, zdaniem jedyne go w tej grupie wierzącego i praktykującego katolika, polega na tym, że „katolicyzm... traci wyznawców. Znaczna ilość katolików wpada w deizm, to jest uznaje istnienie Boga, ale nie poczuwa się do obowiązków względem Boga i Kościoła... Protestantyzm rozpadł się na dziesiątki sekt... prawosławie stanowi szereg kościołów typowo narodowych... rosyjski jest w upadku”. Wśród przyczyn dechrystia-

\* ) Postanowiłem nie wymieniać, nawet skrótami, autorów odpowiedzi niezamieszczonych, gdyż wyrwykowe ich cytowanie musi nieraz pociągnąć za sobą zbytne uproszczenie, jeśli nie wręcz wypaczenie ich stanowisk.

nizacji wymienia się rozdzwięk pomiędzy nauką a praktyką Kościoła lub nawet sprzeniewierzenie się przez Kościół (lub kler) nauce Chrystusa, fakt, że chrześcijaństwo „nie przyniosło sprawiedliwości społecznej”, „szerszy dostęp do religii niechrześcijańskich” i „wzmożony racjonalizm”, wreszcie bezradność czy zgoła obojętność „całego świata chrześcijańskiego, włącznie z papieżem” wobec „dzikiego i okrutnego barbarzyństwa Niemców i Rosjan w czasie wojny”. Odosobniona i przez to ciekawa, być może trochę zbliżona do poglądów J. Mackiewicza, jest opinia bezimiennego uczestnika, że „świat wszedł w erę po-chrześcijańską z uwagi na silne wpływy marksizmu, nawet na naukę Kościoła (przyjęcie konieczności nieustannych zmian) i... na tendencję do równouprawnienia religij niechrześcijańskich”.

Przedstawiciele stanowiska, które nazwałem umiarkowanie pesymistycznym, pogłębiają zagadnienie. Łączy ich ostra świadomość „poważnego”, „głębokiego” kryzysu, ale nie zmierzchu, w każdym razie nie — nieuniknionego. Wielu z nich kryzys religijny widzi jako jeden z objawów szerszego kryzysu całej współczesnej cywilizacji. Przytaczam fragmenty kilku szczególnie godnych uwagi i charakterystycznych wypowiedzi:

Myśl o dechrystianizacji... uzasadniona. Powodem jest... nie bankructwo ideologii chrześcijańskiej, lecz... zamieszenie w różnych dziedzinach... myśli ludzkiej. Konfuzja w dziedzinie nauki, z brakiem syntezy całości, dyskusyjnym (w znaczeniu „spornym”? M.C.) pojęciem celów nauki... wielka specjalizacja prowadząca do tego, co Ortega y Gasset nazywał „barbarzyństwem specjalizacji” — łączący się z konfuzją w dziedzinie filozofii, błędzącej wśród różnych odłamów mglistego egzystencjalizmu. Element ludzki... chrześcijaństwa też uległ wpływowi ogólnego zamieszenia i nie jest na wysokości głoszonej ideologii, przyczyniając się (przez to) do dechrystianizacji świata chrześcijańskiego. Chciałbym widzieć całość obecnych objawów jako kryzys chrześcijaństwa.

## Z innej odpowiedzi:

Jeśli „dechrystianizacja” ma oznaczać „odejście od nauki Chrystusa, tzn. Jego etyki” — to zaczęła się ona od śmierci Chrystusa, „bo każda teoria zaczyna mniej lub więcej odchodzić od kształtu, jaki jej nadał jej twórca... Czy obecna „dechrystianizacja” idzie jeszcze dalej niż to, co się dzieje od dziewiętnastu wieków? Któż to potrafi naukowo ocenić — tu nie ma i nie może być żadnych statystyk ani ankiet...

Jeśli ma oznaczać „wyłamywanie się z ram praktyki i obyczaju wyznaniowego” — tu oczywiście można się zastanawiać, czy to wyłamywanie się jest praktykowane teraz w szerszym zakresie (chyba jest)... Stosowniej byłoby postawić pytanie: Czy z współczesną kulturą i cywilizacją wędnie w ludziach uczucie religijne w swym najistotniejszym znaczeniu: potrzeby i umiejętności odrywania się od ziemi, od spraw zaspokojania głodu, żądzy płodzenia i zdobywania... władzy? W znaczeniu uczucia pokory wobec nieskończoności gwiazdzistego wszechświata i poczucia nicości człowieka wobec niego (ni-



cości, której nie zmieniają najwspanialsze zdobycze ludzkiego rozumu) a równocześnie poczucia ciepłej, czynnej solidarności z wszelką ludzką niedolą...”.

Inny autor, który uważa, że nie ma zmięrczu religii, ale jest „stały odwrót religii dogmatycznej” pisze m.in.:

... jeżeli chodzi o stronę teologiczną religii chrześcijańskiej, o jej treść metafizyczną, to jesteśmy świadkami wyraźnego cofnięcia się, jeżeli nie odwrotu; problemy teologii i metafizyki budzą dzisiaj nieskończenie mniej zaciekawienia... Nie brak głosów, że chrystianizm spełnił swoją rolę i że potrzeba nam dzisiaj nowego sformułowania religijnego... Schweitzer idzie najdalej w tym, co można by nazwać agnostycyzmem chrześcijańskim: powiada, że jeśli badamy rozumowo przesłanki wiary, dochodzimy do agnostycyzmu; musimy zacząć od innego niejako końca, musimy pochylić się nad tym, co tkwi w naszych sercach, i wtedy posłyszemy głos wielkiego Nauczyciela: „Pójdź za mną”...

Ale chociaż religia chrześcijańska znajduje się dzisiaj w zaufku metafizycznym, to jednak... wsiąkała ona przez wieki w samą treść naszej cywilizacji... Nasz program społeczny, nasza zwiększona troska o bliźnich, nasza opieka społeczna — to wszystko wynika z nacisku sumienia, które podlegało wiekami uprawie religii chrześcijańskiej...

Jeszcze jeden głos uczestnika, który na ogół przychyła się do tezy o dechrystianizacji i wyraża to dobitnie:

Żyję w Ameryce. Piszę o Ameryce — choć sądzę, że gdzieindziej nie lepiej. Religia Ameryki nie jest dziś chrystianizm... jest (nią) *materializm* — pożałowania godna doktryna głosząca, że głównym celem człowieka jest robienie pieniędzy i gromadzenie dóbr materialnych: samochodów, motorówek i tych strasznych, małych domków, wypchanych nowoczesnymi niewygodami... Jest nią *kolektywizm*... i *konformizm*...

Ta materialistyczna religia stała się w Ameryce bardziej potężna niż wszystkie chrześcijańskie i niechrześcijańskie wyznania razem wzięte. Jest bardziej absolutna niż kolegium kardynałów i bardziej okrutna niż św. Inkwizycja. Odbiera różnorodność życia, a mężczyzn i kobiety zamienia w producentów i konsumentów.

I wreszcie ciekawa uwaga poety, który w naszej epoce widzi „ostry kryzys” nie tylko chrześcijaństwa, ale w ogóle ludzkości, objawiający się w nawrotach do barbarzyństwa i którego „głębszych przyczyn trzeba szukać w załamaniu się wiary w człowieka”:

Sztuka jako barometr epoki nie myli historyka kultury. W dziedzinie kultury współczesnej, tak elitarnej jak i masowej, element religijny skurczył się do reprodukcji... arcydzieł klasycznej sztuki religijnej... i do wulgarnych filmów hollywoodzkich o treści biblijnej...

Umiarkowani optymiści, najliczniejsi, mniej lub bardziej stanowczo odrzucają pojęcia „zmięrczu” lub „upadku” chrześcijaństwa, jak również „ery po-chrześcijańskiej” — zwłaszcza gdy

nadają mu sens niezamierzony przez Toynbee’ego („Wejście w erę po-chrześcijańską oznaczałoby, że chrześcijaństwa... już nie powinno być na kuli ziemskiej”). Tu i ówdzie dostaje się Toynbee’emu („rzekomy prorok”, „polihistor efektowny, ale płytki”...), którego w obronę bierze uczestniczka lepiej z nim zaznajomiona zwracając uwagę, że znany historyk nie wróży wcale końca chrześcijaństwa jako religii. Religiom przypisuje on o wiele większą długowieczność niż cywilizacjom i rolę „mostu” pomiędzy cywilizacjami. Twierdzi tylko, że nasza, nazwijmy ją: zachodnia cywilizacja weszła w erę po-chrześcijańską.

Pojęcie „kryzysu” jest też niekiedy krytykowane i zastępowane łagodniejszymi jak „trudności”, „niebezpieczeństwa”, „próby”. Kryzys bywa nazywany „pozornym” lub tylko „swego rodzaju kryzysem”. Niemniej jednak tę grupę od następnej różni niezamykanie oczu na zjawiska ujemne dla rozwoju chrześcijaństwa. Zjawiska te wszakże nie przysyłają im innych, dodatnich. Kilka odpowiedzi zwraca przy tym uwagę na pewnego rodzaju współzależność objawów kryzysowych z jednej, a odrodzeniowych z drugiej. „Jesteśmy świadkami... procesów współistniejących, a w wielu wypadkach i współzawodniczących... z jednej strony zmaterializowanie, a z drugiej uchrześcijanienie ludzkości... Mimo szerokiego nurtu laicyzacji i neopoganizmu praktycznego rozlewającego się po świecie, Kościół się rozwija, promieniuje nauką swego Założyciela... przyciąga wielu nowych wyznawców”. — „Nie wydaje mi się, że weszliśmy w erę po-chrześcijańską, pomimo iż świat stał się bardziej materialistyczny i mniej ludzi należy do... praktykujących. Odpadli ci, których wiara była płytka...” — „Zmięrcz czy kryzys? Jedno i drugie, ale obok tego odnowa i wzrost wpływów w dziedzinie religijnej, wewnętrznej...”.

Oprócz już omówionych objawów niepokojących wymienia się inne, jak „obniżenie frekwencji praktyk religijnych”, „wielkie zróżnicowanie i rozdrobnienie kościołów chrześcijańskich” (szczególnie w Ameryce), „sypkość nowoczesnych parafii”, związana z migracjami, „bezbożne wychowanie” w „laickich szkołach”, przeciwstawiając im dalsze zjawiska krzepiące, jak wzrost autorytetu religii chrześcijańskiej w ogólności i Kościoła katolickiego w szczególności, jak — zauważane przez niektórych uczestników ankiety — wzmoczone zainteresowanie zagadnieniami religijnymi, a nawet moda na nie, jak to, że „moralność szarego człowieka jest (dziś) wyższa niż w pokoleniach poprzednich” i że zanika hipokryzja, że „większość rasy białej, z wyjątkiem komunistów, uznaje w dalszym ciągu Ewangelię za podstawę moralności”, że nadal silne „jak przed tysiącami lat” są potrzeba absolutu i „niepokój o sprawy pozagrobowe, wieczne...”, że minęły już czasy gdy „wiara w ciągły postęp techniczny, mający jakoby automa-



tycznie zapewnić ciągły postęp ludzkości, zastępowała ludziom wykształconym religię...”.

Stanowisko skrajnie optymistyczne („Wchodzimy w erę prawdziwie chrześcijańską”, „Od początku swego istnienia Kościół nie miał takiego znaczenia i uznania jak obecnie”, „rozpoczyna się odrodzenie”, „wielki rozkwit... pogłębienie”) odznacza się dużym napięciem wiary i nadziei, lecz nowych argumentów do dyskusji właściwie nie wnosi, poza może uwagę, że „chrystianizm... stał się może mniej obrzędowy, ale bardziej ideowy” i że „jest dziś o wiele silniejszy niż w końcowym okresie drugiej wojny, ponieważ rozpoznał problemy, które izolują Kościół od świata... i stawiał im czoło”.

### *Wiedza i wiara*

Z 76 osób wypowiadających się na ten temat tylko 12 uważa, że konflikt uległ zaostrzeniu. Najczęściej są to apodyktyczne wypowiedzi niewierzących. Stwierdzają one nie tyle istnienie konfliktu w świadomości ludzi naszej epoki, ile w przekonaniu piszącego, który odrzuca religię chrześcijańską z powodu jej „magicznego”, „nieracjonalnego” i tp. charakteru. Często pojęcie o tym, co ludzie religijni nazywają „prawdami wiary”, jest w tej grupie uczestników bardzo uproszczone. Typowa wypowiedź: „Rozwój wiedzy i jej zdobycze sprzyjają zaostrzeniu konfliktu... gdyż trudno wyobrazić sobie, aby przy istnieniu nowoczesnej medycyny można było modlić się o zdrowie do Boga, przy rozwoju kosmonautyki — wierzyć w istnienie nieba w tradycyjnym ujęciu...”.

Na przeciwległym krańcu, wśród wierzących, często występuje pogląd, że konfliktu między wiedzą a wiarą „nigdy nie było”. Konflikt „obiektywnie nigdy nie istniał”, „wyładował się” w konkluzji, że „dla ludzi myślących wiedza i wiara wzajemnie się uzupełniają”, „był wielkim nieporozumieniem” i tp.

„Nie ma konfliktu logicznego”, istniał tylko „w sensie historycznym” i w tym sensie ulega złagodzeniu (Jedlicki, niewierzący). „Przestaje być konfliktem duchowym, stając się coraz mniej przekonującym argumentem politycznym”. Uległ złagodzeniu „wskutek nadzwyczajnego pogłębienia wiedzy”. „Sprzeczności mogą zaistnieć tylko pozorne, i to na skutek niedostatecznego poznania jakiegoś problemu z otaczającego nas świata, albo niedostatecznego poznania prawdy objawionej i... fałszywej jej interpretacji...”.

„Mędrcy nigdy Bogu nie przeczyli, mędrkowie zawsze...”. „Wielu czołowych przedstawicieli nauk ścisłych nie widzi obecnie

sprzeczności między religią a nauką”. „Konflikt uległ tylko u tych zaostrzeniu, u których wiedza nie podążyła za wiarą lub na odwrót...”. Odpowiedź zbiorowa z Toronto stoi na stanowisku, że „nie ma niebezpiecznego konfliktu”, że „nauka nie jest krępowana przez Kościół, przeciwnie, wspólnie dąży do poznania prawdy” i że „wiedza dopomaga do szukania i odkrywania Stwórcy wszechświata”, przy czym jeden uczestnik dyskusyj zauważa istnienie konfliktu „w masach laików, którzy opierając się na... płytkich informacjach o wiedzy, gloryfikują możliwości umysłu ludzkiego kosztem religii i jej dogmatów”.

Szereg głosów przypisuje zanik lub złagodzenie konfliktu przemianom w stanowisku zarówno Kościoła jak i nauki: „Konflikt... uległ złagodzeniu wobec dojścia do wniosku, że nie możemy poznać istoty zjawisk, jak i z powodu przeobrażenia stanowiska Kościoła wobec nauk przyrodniczych”. „Wiedza stała się dostępniejsza dla ogółu, a wiara — zmądrzała”. Odosobniony głos twierdzi, że „Kościół ugiął się i przyjmuje wszystko bez szermowania, co nauka udowodniła”. Powtarza się wyrażenie o „spokornieniu” nauki. „Sceptycyzm nasz kieruje się nie tylko w stronę religii, ale i nauki”.

Godzi się wreszcie zarejestrować dwa głosy, które nie wypowiadają się ani za „zaostrzeniem”, ani za „złagodzeniem”, lecz raczej za „zobojetnieniem”. U gorliwie wierzących, obok lekkiego sceptycyzmu wobec nauki („nie można się dziwić, że Kościół nie biegnie zaraz za każdym nowym odkryciem czy teorią, które, być może, później okażą się fałszywe...”) pojawia się entuzjastyczna aprobata rozwoju nauki i techniki: „Zdobycze naukowe w oczach ludzi wierzących budzą zachwyt i podziw. Odkrycia i wynalazki leżą w planie Bożym...”. A także: „Nauki ściśle są bez wątplenia rzeczywistą teofanią Boga we wszechświecie, są prawdziwym objawieniem Jego obecności...”.

Nauka jednak — ciągnie autor przytoczonych powyżej słów, polemizując z Mieroszewskim — „nie może być jedyną teologią... Nauki nie mogą sobie rościć absolutnego prawa sądenia i odrzucania tych prawd religijnych, których same nie są zdolne odkryć... Zadaniem wiary nie jest krępowanie nauk w ich naturalnym rozwoju — tak jak i zadaniem nauk ścisłych nie jest wymierzanie wierze kwoty prawd do przyjęcia. Mają się one na wzajem uzupełniać, oczyszczać i prowadzić do pełnej Prawdy”.

### *Racjonalizm, materializm, możliwości wiedzy*

Następne pytanie, a raczej dwa następne pytania, są poniekąd dalszym ciągiem poprzedniego. Odpowiedzi układają się w po-



dobnej proporcji, z tym że jest ich mniej. 22 można uznać za zdecydowanie twierdzące, wyrażające przekonanie o „cofaniu się materializmu i racjonalizmu”, 8 — za przeczące. Że możliwości wiedzy są ograniczone, stwierdza wyraźnie 25 osób, 9 się temu przeciwstawia. Mglistość i wieloznaczność takich terminów jak „racjonalizm” czy „materializm” nadaje tak twierdzącym jak przeczącym odpowiedziom różnorakie odcienie. „Materializm” w niektórych odpowiedziach jest synonimem „materializmu dialektycznego” lub wprost „komunizmu”, w innych — przeciwieństwem idealizmu, nie w znaczeniu filozoficznym, lecz praktyczno-życiowym (idealista, to człowiek, który kieruje się w życiu ideałami, mniej dbając o materialne korzyści).

Z ciekawszych wypowiedzi warto przytoczyć następujące uwagi, spod różnych piór:

Dzisiaj człowiek myślący zdaje sobie sprawę ze swej znikomości wobec wszechświata i z ograniczeń zdolności poznania, dlatego nastąpił odwrót od czysto racjonalistycznych rozwiązań. Nie powstają jednak nowe metafizyczne systemy... W miarę jak pogłębialmy wiedzę, napotykamy na coraz więcej zasadniczych pytań, na które nie ma odpowiedzi.

Przejawy irracjonalizmu w naszym wieku nauki są prawdziwym paradoksem, dowodzącym ogólnego zamieszania. Że nauka, zgłębiając poznanie mikrokosmosu i makrokosmosu, zaczyna widzieć granice swych możliwości i granice potęgi rozumu ludzkiego, to jest raczej dowodem postępu nauki i wielkości jej osiągnięć...

Materializm jako rodzaj sposobu życia przechodzi ewolucję z ujemnego na dodatni. Kiedyś... mówiąc: „to materialista”... określało się człowieka ujemnie. Dziś kto umie sobie radzić finansowo, kto wykorzystuje każdą okazję dla budowania swej kariery, cieszy się ogólnym szacunkiem, o ile robi to bez przekraczania zasięgu uczciwości. Żaden mąż stanu, który nie potrafi się wykazać sukcesem materialnym, już nie zyska zwolenników. Tych artystów najbardziej się ceni, którzy dobrze sprzedają swe prace... Człowiek dbający o ideały, a lekceważący sprawy materialne, wywołuje nie tylko współczucie, ale nawet i podejrliwość...

Nie można twierdzić, że (racjonalizm i materializm) cofają się lub rozwijają... Są wśród ludzi zwolennicy materializmu czy racjonalizmu, są inni, którzy (od nich) odchodzą... Aby postawić możliwie dokładną diagnozę rozwoju czy regresji poszczególnych światopoglądów i kierunków filozoficznych, nie wystarcza nawet ujęcia statystyczne, gdyż społeczeństwa są żywym organizmem i tu statystyki zawodzą. Wydaje się, że w krajach, w których oficjalną filozofią jest materializm, mniej jest ludzi zmaterializowanych...

### *Chrześcijaństwo, komunizm, demokracja*

4 pytanie I części było istotnie ujęte trochę „prowokacyjnie”, gdyż wbrew memu przekonaniu zakładało niejako współmierność chrześcijaństwa i komunizmu, stawiało je jakgdyby na jednej płaszczyźnie. Byłem ciekaw, jak liczne i silne wywoła to protesty.

Z 74 osób, które wypowiedziały się na ten temat, 32 wysuwały wyraźne zastrzeżenia przeciw takiemu stawianiu sprawy, a niezadowolenie z niego wyczuć można było u dalszych co najmniej dziesięciu.

Podkreślano dość często, że chrześcijaństwo nie jest ideologią (por. np. odpowiedź J. Płoskiego), a w każdym razie „ideologią społeczną”. „Nie powinno być ideologią współzawodniczącą z komunizmem — albowiem jest czymś o wiele więcej niż ideologią”. „Chrześcijaństwo nie jest w ogóle żadnym systemem politycznym... Celem jego nie jest współzawodniczyć, ale uświęcić i zbawić. Mimo dwudziestu wieków nie zdołało jeszcze naprawdę nawrócić Europy i dlatego narodził się totalistyczny, ateistyczny komunizm. Stworzył swoje ideały na wzór religii chrześcijańskiej, ale odwrócił się od niej, ponieważ jest krzykiem protestu przeciw chrześcijańskiej społeczności o sercu twardym i egoistycznym, która nie wzięła na serio ewangelicznego posłannictwa... Narodziny... komunizmu można porównać do pojawienia się Reformy. To nie współzawodnik, ale bicz Boży, który zmusza do skonfrontowania się z rzeczywistością i do... radykalnej poprawy...”

Niewspółmierność i przeciwstawność komunizmu i chrześcijaństwa podnoszą takie wypowiedzi jak: „Idee chrześcijańskie są zaprzeczeniem komunizmu”, (chrześcijaństwo) „jest doktryną nie współzawodniczącą, ale przeciwstawną komunizmowi” (można natomiast mówić o współzawodnictwie między komunizmem a demokracją), „niebezpiecznie jest twierdzić, że chrześcijaństwo jest ideologią współzawodniczącą z komunizmem. Takie twierdzenie przypomina za bardzo slogany „Pax”u. Chrześcijaństwo i komunizm — to jak ogień i woda”.

Jedna z uczestniczek ankiety uważa pytanie za „fałszywie postawione. Tak jakby ktoś zapytał” — pisze — „czy gruszki współzawodniczą z gołębiami lub telewizją... Komunizm, demokracja — są to prądy określone w czasie; komunizm istnieje 50 lat i już traci na szybkości. Chrześcijaństwo od dwu tysięcy lat przeżyło setki „komunizmów”, o których świat już dawno zapomniał”. „Niewątpliwie jednak” — dodaje — „w komunizmie również znajdują się iskierki prawdy... Gdyby chrześcijanie żyli według wskazań Ewangelii, komunizm nigdy by nie zaistniał”.

Inny uczestnik w obszernej i głęboko ujętej odpowiedzi po podkreśleniu, że chrześcijaństwo „nie jest ideologią” i po wykład-



dzie analogij między doktryną chrześcijańską a komunistyczną („komunizm przedstawia się nam jako odwrócony o 180 stopni christianizm”) zauważa:

Zasadniczo współzawodnictwa między nimi nie powinno być, bo umieszczają człowieka na dwóch różnych planach i zadaniem chrześcijaństwa nie jest polityczne czy materialne opanowanie świata... Gdyby komunizm chciał pozostać tylko ekonomiczno-społeczną teorią, współzawodniczyłby nie z chrystianizmem, ale z liberalizmem czy kapitalizmem, ale ponieważ sam siebie przedstawia jako... jedyną odpowiedź na wszystkie problemy ludzkie, dlatego stawia siebie w radykalnej opozycji także do chrystianizmu...

Chryścianizm jest religią, która może być dogłębnie przeżywana w każdym systemie politycznym, który szanuje wolność sumienia... Nie należy do istoty chrześcijaństwa wiązanie się z jednym określonym systemem społecznym, z jedną cywilizacją...

Negatywne nastawienie do komunizmu jest niemal powszechne, przy czym nie jest ono bynajmniej słabsze u niewierzących lub nawet antychrześcijańsko nastawionych uczestników. „Iskierkę prawdy” w komunizmie są raczej skłonni dopatrywać się niektórzy gorliwi, zaangażowani katolicy.

Na temat stosunku chrześcijaństwa do demokracji wypowiedziało się 16 osób przedstawiających szeroką skalę poglądów, od takich jak: „Bez ideologii chrześcijańskiej demokracja nie byłaby demokracją” i „Naczelną ideą chrześcijaństwa jest szacunek dla każdej jednostki ludzkiej i zasada, że wszelkie instytucje... mają służyć jednostce... a przeciw są to również naczelne zasady demokracji” — poprzez mniej kategoryczne opinie w rodzaju: „Demokracja — mimo że w XIX w. została wywalczona przez czynniki liberalne, wrogię religii, i nieraz wbrew Kościołowi, wypływa jednak z ducha chrześcijaństwa...” i „Hierarchiczny, a więc poniekąd niedemokratyczny ustrój Kościoła może się jednak godzić z jego demokratyczną polityką...” aż po — znów kategoryczne — przedstawianie Kościoła jako „organizacji totalitarnej, rządzonej odgórnie”, popierającej „kapitalizm w jego najgorszych objawach, feudalizm i dyktatury...”, stosującej „takie same metody” jak komunizm lub w najlepszym razie niechętnie godzące się z demokracją („jeśli Kościół pogodził się w końcu z ustrojem demokratycznym, to oznacza to tylko kapitulację wobec faktów, które nie miały z ideą chrześcijaństwa nic wspólnego...”).

Nieczęsto dziś wyrażany pogląd — nazwijmy go: „ultra-konserwatywny” — wypowiada jeden uczestnik ankiety pisząc:

„Dobry chrześcijanin nie musi być politycznym demokratą i może być zwolennikiem totalizmu politycznego... W ostatnich czasach — według mnie, niestety — Kościół chcąc pozyskać sobie poparcie tzw. lewicowców i postępowców przybiera szatę demokratyczną i po-

pada nawet w demagogię ustanawiając np. święto „Św. Józefa Robotnika” w dniu 1 maja albo mianując świętych murzyńskich, żeby przyciągnąć masy afrykańskie...”

Jeszcze dalej po tym torze posuwają się dwie osoby, z których jedna uważa, że chrześcijaństwo i komunizm „mają jeden błąd wspólny: wiarę w równość ludzi”, a druga sądzi, że chrześcijaństwo jest „ideologią wlokącą się w ogonie komunizmu, otwierając mu drogę do podboju świata, np. przez głoszenie, że „problemy podnoszone przez komunizm są zawsze słuszne” oraz wyraża przekonanie że „demokracja liberalna” tak samo jak komunizm „działa destruktywnie... przez przeprowadzanie reform w kierunku „glajchszaltowania” wszystkich do jednego poziomu”.

Zwrot o „deklamacyjnej fasadzie” kilku czytelników zrozumiało opacznie (np. J. Płoski) jako zarzut skierowany przeciw chrześcijaństwu czy Kościołowi, a nie przeciw tym antykomunistom, którzy — sami obojętni religijnie — posługują się nieszczęśliwą frazeologią religijną w walce politycznej. Kilku innych — temat ten nie wzbudził większego zainteresowania — wyczuło właściwą intencję pytania i stwierdziło, że zjawisko nadużywania religii dla celów politycznych występuje w świecie zachodnim. Nikt jednak nie sądzi, by przybrało zastraszające objawy.

#### *Przyczyny odejścia od wiary i praktyk*

Pomimo że na pytanie to odpowiedzi było niewiele, gdyż wierzycy przeważnie je pomijali uważając, że się do nich nie odnosi — składają się one na wcale pokaźny katalog powodów odchodzenia od wiary i praktyk. Powody te można z grubsza podzielić na cztery kategorie: dogmatyczno-doktrynalne, psychologiczno-moralne, historyczno-polityczne i społeczne. Wyodrębniam ponadto kategorię zarzutów stawianych duchowieństwu i w ogóle wierzącym, których wady odstręczały od wiary lub wręcz ją odbierały niektórym uczestnikom ankiety.

Dość często występuje racjonalistyczna krytyka wiary. Mówi się o „braku zdrowego rozsądku w wierze”, „irracjonalizmie” i „nielogiczności” dogmatów, które „są fikcją umysłu ludzkiego”, o ich „anachronizmie”, o „sprzecznościach w chrystianizmie dogmatycznym”, o „legendarnym” charakterze Pisma św. i tp. Jako szczególnie trudne do przyjęcia wymienia się cudy, eucharystię, dziewięctwo Matki Bożej, życie pozagrobowe, a zwłaszcza piekło („Bóg nie może być gorszy od nas, którzy gotowi jesteśmy przebaczać i nie karać winowajców...”), Stary Testament z jego jakoby „podwójną moralnością”, inną dla narodu wybranego, inną dla pozostałych („Mojżesz stworzył Boga na swoje podobieństwo,



lub — faraona”), tezę o pochodzeniu władzy od Boga (J. Maciewicz) i związany z nią „kult władzy”. W kilku odpowiedziach mowa jest o „niemożliwości pogodzenia wiary z rozwojem wiedzy” i „nietolerancji” Kościoła. Jedna obszerna odpowiedź odrzuca katolicką interpretację Biblii, jako zafałszowanie „czystego” chrześcijaństwa. Jedna osoba wymienia powodów filozoficzny: „nagminna niesprawiedliwość losów ludzkich” każe jej wątpić w istnienie Boga. Niektórzy wierzący sądzą, że innych odstręcza od religii „sztywny staroświecki katechizm” i „przestarzały sposób podawania prawd religijnych”.

Psychologiczno-moralnym tłem niewiary najczęściej zajmują się ci nieliczni wierzący, którzy odpowiadają na omawiane pytanie na podstawie obserwacji niewierzących bliźnich. Wymieniają „pychę” (najczęściej), zaniedbanie wykształcenia religijnego (częsta „niewspółmierna nikłość i płytkość wiedzy religijnej w stosunku do wykształcenia zawodowego i ogólnego”), „lenistwo, sybarytyzm, materializm, brak dyscypliny” i że dla niektórych „wiara... stała się niewygodna, gdyż się nie chce postępować według jej wskazań”. Ponadto (tu cytuję głównie jedną z lepiej przemyślanych odpowiedzi wierzącej i praktykującej katoliczki): konflikty natury moralnej na podłożu osobistym (małżeństwa, rozwody), problemy dyscypliny (częste u odstępujących księży i zakonników), „wstyd przed opinią znajomych, którzy nie praktykują”, wstyd przed spowiednikiem u dorastającej młodzieży, „wpływ lektury i propagandy ateistycznej, protestanckiej, spirytystycznej i tp.”. Niewierzący wspominają „niewysłuchane modlitwy” i „nerealne wymagania Kościoła”; jeden z nich np. przyznaje wielkość świętem, ale widzi w nich „jednostki anormalne”, których ludzkość nie może naśladować. Niekiedy godzą w motywy wiary uważając np. że źródłem jej jest strach, wychowanie i „potrzeba przynależenia do zorganizowanej społeczności”. Jedna odpowiedź daje długi, zabarwiony gorzkim humorem opis pobytu autora w internatowej szkole prowadzonej przez księży (w latach niepodległości), gdzie metody wychowawcze były — jego zdaniem — zbyt surowe, dewocyjne i niepedagogiczne, a poziom, nawet moralny, niektórych wychowawców niski. To wywołało w nim ostry anty-klerykalizm i wkrótce potem odejście od praktyk. Bardzo ciekawe jest zakończenie tej wypowiedzi:

„Dziś posyłam swoje dzieci do szkół katolickich (w Ameryce), bo nie tylko poziom ich jest znacznie wyższy od amerykańskich szkół publicznych, ale sądzę, że wychowanie religijne, podawane w bardzo inny sposób niż... (w zakładzie, do którego uczęszczał za młodu autor), nie wyjdzie im na złe w życiu. Zarówno księża jak zakonnice są bardzo nowocześni, popularni i lubiani przez młodzież, mają bardzo świec-

ki i naturalny, nie *namaszczony* (podkreślenie moje, M.C.) sposób bycia, są przy tym lepiej wykształceni i przeważnie inteligentniejsi od swych kolegów ze szkół publicznych...”.

Z historii Kościoła niewierzący wypominają mu „reakcyjny konserwatyzm”, inkwizycję, wojny i prześladowania religijne, odpowiedzialność za „światowy kolonializm”, „dążność do dominacji nad innymi instytucjami kulturowymi” i obciążają go za „zacofoanie” krajów katolickich. Szczególnie silnie dochodzi do głosu gorzka z powodu najnowszej historii: „Przeżycia ostatnich wojen pobudziły wątpliwość w jakiegokolwiek zainteresowanie się Boga człowiekiem”, „Gdzie był Bóg, jeśli jest wszechpotężny, sprawiedliwy... kiedy mordowano bezsensownie miliony ludzi?”. Papież „nie potępił zbrodniarzy hitlerowskich”, Polska, jak najbardziej „religijna, nabożna i modląca się” zaznała i zazna „najwięcej... cierpień, krzywd, wojen, zniszczeń, rozbiorów...”. Czytając te zarzuty należy mieć na uwadze, że w pytaniu chodziło nie o krytykę Kościoła czy religii, lecz o osobiste powody odejścia od nich.

Dalsze powody zająbiają się z wyżej wymienionymi. Najogólniejszy jest zarzut społecznej nieskuteczności ideałów chrześcijańskich: „Chrześcijaństwo od prawie dwu tysięcy lat ani na jotę nie pomniejszyło... ludzkiej niezgody i nie zahamowało... nienawiści”. Zarzuca się Kościołowi (i tym tłumaczy odejście od niego) „uciekanie od próby rozwiązania... problemów społecznych” a najkonkretniej odpowiedzialność za „nędzę skutkiem trzymania się nauki Kościoła w sprawie rozrodczości”. Odosobniony głos ultra-konserwatywny ma Kościołowi za złe właśnie doktrynę społeczną „lawirującą w kierunku komunizmu”! Zasługuje wreszcie na uwagę spostrzeżenie, że zmiana kraju i języka przez emigrantów, ich „wykorzenienie” jest częstym powodem osłabienia lub zaniechania praktyk religijnych, jeśli nie porzucenia religii w ogóle.

Dość często wreszcie mówi się ze strony niewierzących, a czasami i wierzących, o „niskich walorach”, „hipokryzji”, „chciwości” duchowieństwa, jego „konserwatyzmie” i „nieodpowiednim poziomie” i ogólnie o „rozbieżności między głoszonymi hasłami a praktyką”. Odstręczająca jest też dla niektórych „płytko i powierzchniowa religijność, która nieraz graniczy z zabobonami”. Cytowana już wierząca i praktykująca katoliczka, która dużo uwagi poświęciła temu pytaniu, zauważa przy tym, że „zły przykład księży lub praktykujących katolików zdarza się naprawdę, ale... ten powód bywa nadużywany często jako parawan, aby nie powiedzieć prawdziwych powodów”.



*Jan XXIII, sobór*

Sąd o postaci i roli Jana XXIII i o znaczeniu zwołanego przezeń soboru wyraziło 80 osób, tj. niemal wszyscy uczestnicy ankiety, poza tymi, którzy odpowiedzi ograniczyli do jednej lub dwu kwestii lub do wyznań autobiograficznych, i oprócz kilku niewierzących, którzy nie chcieli się wtrącać w wewnętrzne sprawy Kościoła. Olbrzymia większość ocenia i postać papieża, i zwołanie soboru bardzo pozytywnie, często entuzjastycznie.

Jest jednak 14 głosów krytycznych lub co najmniej sceptycznych. Uderza, że znaczna ich większość pochodzi od gorliwych katolików, przeważnie nastawionych — przeproszam za etykiety — prawicowo czy konserwatywnie. Charakterystyczna dla tej grupy jest zamieszczona odpowiedź J. Płoskiego, do której warto dorzucić kilka wyjątków ze zbliżonych: Jan XXIII — według jednej z nich — „był osobistością niezwykle pod względem charakteru i świętości”, ale „w najlepszej woli” wyrządził ogromne szkody przez nadmierne „zaufanie w dobroć ludzką”. Stosunek jego do świata komunistycznego „zdezorientował wielu maluczkich” i przyniósł korzyści komunistom. Pontyfikat Jana XXIII i sobór był — według innej — „katastrofą dla Kościoła i świata, gdyż wytworzył niesłychany zamęt i chaos”. „Pontyfikat... Jana XXIII” — czytamy w innej jeszcze odpowiedzi z tej samej kategorii — „trwał krótko, jego historia jeszcze nie jest napisana, przeto wypowiedzieć się o nim... wyczerpująco jeszcze nie można. Potrzebę zwołania II Soboru Watykańskiego można zakwestionować... Zadaniem tego soboru... ma być tzw. „aggiornamento” czyli odmłodzenie Kościoła katolickiego... Potrzeby (tej) nie ma, ponieważ Kościół katolicki na urząd starczy nie cierpi, będąc starym — jednak jest zawsze młodym i ciągle odrađającym się...”.

Z drugiej strony w odpowiedziach ateistów, agnostyków lub ludzi o pewnym zmyśle religijnym, lecz niechętnie nastawionych do katolicyzmu, a nawet do chrześcijaństwa, pojawia się nieraz nuta sympatii wobec osoby Jana XXIII i stosunkowo pozytywna ocena soboru.

Bodaj kilka wyjątków z oryginalniejszych odpowiedzi, tak krytycznych jak pozytywnych, ze strony zarówno gorliwie katolickiej jak z innych stron, zasługują na utrwalenie:

... Dotychczasowy Kościół szedł w świat, aby zreformować w myśl nauki Chrystusa. Twórcy zaś bieżącej reformy... usiłując go uczynić nowoczesnym, stwierdzili przez to, że jest on bezsilnym wobec zmian i musi iść za nimi...

... proces laicyzacji stał się tak szybki i powszechny, że jest już za późno na próbę reformowania religii chrześcijańskiej drogą „unowocześnieńcia dogmatów”, uproszczenia liturgii i tp. Tego rodzaju reformy byłyby — być może — wystarczające przed 50 laty, w okresie bezpośrednio następującym po rewolucji 1905 oraz 1917 r. Nieprzeprowadzenie żadnych reform przez tak długi okres czasu oraz niezajęcie (w czasie wojny) przez Kościół stanowiska wobec podstawowych zagadnień etyczno-moralnych (Pius XII i kwestia żydowska), a wreszcie przechylenie po wojnie równowagi sił w dziedzinie ideologii w poważnym stopniu w stronę komunizmu — materializmu — wszystko to spowodowało, że na „małe reformy” jest dziś za późno... Niezadługo linia podziału nie będzie przebiegała... pomiędzy chrześcijanami i innymi religiami (lub w ramach chrześcijaństwa pomiędzy poszczególnymi jego odłamami)... (lecz) pomiędzy wierzącymi i niewierzącymi... Historyczna mądrość Jana XXIII polegała... na tym, że dojrzał on ten problem.

Dotychczas II Sobór Watykański nie powiększył ilości dogmatów, nie potępił żadnej herezji: jest to sobór pojednania. Sobór nawołujący do jedności. Czekamy teraz na wysublimowanie religii z baśni i wierzeń niepojętych.

... Jan XXIII przełamał trwające od paruset lat zasklepienie Kościoła w ciasnym kręgu tradycyjnych zagadnień i codziennych spraw... wyzwolił się z głębokiej niechęci w stosunku do innych wyznań... pierwszy zrozumiał konieczność poczynienia pierwszych kroków w kierunku zjednoczenia chrześcijaństwa, wreszcie — co go czyni wielkim człowiekiem na miarę światową — uznał obecność pierwiastków Objawienia Boskiego w religiach niechrześcijańskich.

... świętość Jana XXIII była dostępna i zdumiała świat. Ale kto by się chciał odnowić duchem Janowym, to musiałby wyciągnąć konsekwencje nie tylko z Jego encyklik, lecz przede wszystkim z „Dziennika Duszy”... Obawiam się, bardzo się obawiam, abyśmy nie poprzestali na etykietce „Dobry Papież” i tym nie znumifikowali wielkiej, żywotnej indywidualności świętego Pasterza...

Od pontyfikatu Jana XXIII zaczyna się okres odnowy Kościoła i zajęcie się podstawowymi sprawami ludzkimi w współczesnym świecie. II Sobór Watykański był pierwszym soborem, który nie zwalczał schizm i nie ogłaszał nowych dogmatów, był soborem pastoralnym... Dla Jana XXIII Kościół nie był ekskluzywnym klubem wybranej garstki ludzi o wyszukany pedantycznym regulaminie...

*Zmiany, reformy*

Ogólny sąd o wszystkich dokonanych i projektowanych reformach soborowych wyraziło zaledwie 30 osób. Pozostali uczes-



tnicy ankiety nie tyle zapewne przeoczyli to pytanie, ile uważali, że opinia ich zawarta jest w odpowiedzi bądź to na poprzednie pytanie (o znaczeniu soboru) bądź też na szczegółowe punkty a — e. Całość reform pozytywnie („oczywiście słuszne” i tp.) ocenia 25 osób, negatywnie („najczęściej niesłuszne, nagłe i szkodliwe”, „za wiele reform, uważam niektóre za niefortunne”) — 3, stanowisko pośrednie („tak i nie”, „jedne z reform są bardziej pożądane, inne zaś mniej”) zajęły wyraźnie — 2.

### *Liturgia, łacina*

Zagadnienia liturgiczne nie pasjonowały uczestników ankiety. Ogólnie o reformie liturgii wypowiedziały się zaledwie 24 osoby, z których 13 ją pochwała, a 11 gani. Szczegółowo, lecz nie rozwijając tego punktu, o zwiększonym udziale świeckich w obrzędach pisze 20 osób, 12 pozytywnie, 8 — negatywnie.

Stosunkowo największe zainteresowanie wywołała sprawa zastąpienia łaciny językami narodowymi w niektórych częściach mszy św. W tej sprawie zabrało głos 43 uczestników ankiety. Inowację tę bez zastrzeżeń pochwaliło tylko 5 z nich, z zastrzeżeniami — 19 i tyłuż wystąpiło (dobitnie, nieraz wymownie, a nawet gwałtownie) „w obronie” łaciny.

Krytycy unarodowienia liturgii widzą w nim „przypochlebianie instynktom nacjonalistycznym”, twierdzą, że pozbawia ono liturgię „czasu tajemnicy”, „powagi” i „powszechności”, że kryje się tu niebezpieczeństwo rozbicia na kościoły narodowe („język narodowy mszy — to kościoły narodowe, oddalające się coraz bardziej od Rzymu i od siebie”), że „zbliży to formę nabożeństwa do protestanckiej”. „Polska” — czytamy w jednej odpowiedzi — „szczególnie bronić się powinna przeciw unarodowieniu języka mszy”, bo w razie jakiejś nowej okupacji może to być „narzucenie nam języka rosyjskiego lub niemieckiego”. Podkreśla się też niebezpieczeństwo upośledzenia mniejszości narodowych, „stopniowego wynarodowienia słabszych grup narodowościowych przez grupę dominującą” (Bretończycy, Baskowie, Indianie w Ameryce Południowej, emigranci). Jeden z uczestników ankiety rzuca ciekawą myśl, że „nacisk większości duchownych i świeckich katolików amerykańskich na „sprotestantyzowanie” nabożeństw katolickich wynika z pewnego kompleksu mniejszości (nie niższości!)... Rzymskie zwyczaje liturgiczne pewno im się wydają nieco 'un-American'...”.

„Język łaciński w liturgii” — pisze jeden z jego obrońców — „nie był skomplikowany, dodawał ezoteryczności, piękna, był uświęcony tradycją, zaznaczał ogólnoludzkość, międzynarodowość

Kościoła i tym przyczyniał się do poczucia braterstwa narodów...”. Inny zwraca uwagę, że łacina jako język martwy nie podlega zmianom, podczas gdy przemiany w żywych językach będą powodowały ciągłą konieczność poprawek, i powołując się na „dość rozpowszechnione zdanie” kwestionuje ścisłość tłumaczenia niektórych tekstów łacińskich na język — w tym wypadku, bo odpowiedź pochodzi z Francji — francuski. Jeszcze jeden argument za łaciną wysuwa uczestnik, pozytywnie zresztą nastawiony do częściowego jej zastąpienia językami narodowymi, pisząc: „Jeżeli ma być zjednoczona Europa, to musi być i język europejski. Gdy Żydzi mogli reaktywować hebrajski po 2.000 lat nieużywania, czemu my nie możemy — łaciny, która nigdy nie stała się językiem zupełnie martwym?”

### *Ekumenizm*

Wypowiedziało się na ten temat mniej więcej dwie trzecie uczestników. Przytłaczająca większość (58 z 66) odnosi się do tendencji ekumenicznych pozytywnie, przy czym dwadzieścia kilka odpowiedzi — z wielkim uznaniem i zapałem. Negatywny stosunek występuje niezmiernie rzadko (tu można zaliczyć 5 odpowiedzi), trzy odpowiedzi są albo niezbyt jasne, albo neutralne. Odpowiedzi negatywne pochodzą od osób, które albo zerwały z katolicyzmem i są do niego wrogo nastawione, albo też (w dwu wypadkach) od gorliwych katolików zaniepokojonych przemianami w Kościele. Przykłady argumentacji z tej drugiej kategorii: „Mieliśmy Unię Florencką, Unię Brzeską, Unię Rumuńską w XVIII w. Co z nich zostało? Męczeństwa i wytopienie. Nie należy oczywiście odnosić się wrogo do innych wyznań, schizmy czy herezji. Ale każde usiłowanie upodobnienia się do nich jest uważane z tamtej strony za dowód naszej słabości i bynajmniej nie zachęca nikogo do przyjmowania naszej wiary...”. „Dla inowierców wyznań chrześcijańskich nie ma innej rady jak powrócić tam, skąd byli wyszli”, tj. do Kościoła katolickiego.

Szereg wypowiedzi wchodzi w rozważania na temat widoków ruchu ekumenicznego, oceniając je dość pesymistycznie i podkreślając liczne trudności. Padają też odosobnione głosy, że akcja zbliżenia nie zawsze jest szczerą lub że jest „spóźniona”. Jeden uczestnik powątpiewa w możliwość zbliżenia do niewierzących.

Z obszerniejszych odpowiedzi warto przytoczyć następujące urywki:

Kościół katolicki jest „ex definitione” kościołem powszechnym, dlatego był już najwyższy czas, że wyrzekł się monopolu na zbawienie. Od dawna zasada ta stanowiła dla myślących katolików źródło za-



kłopotania. W praktyce nawet ludzie prości i praktyczni, jak nasi chłopcy, w to nie wierzyli. W pogrzebie mego dziadka... który był „kalwinem” (trzymając się tej religii ze względu na tradycję rodzinną...) uczestniczyło również katolickie duchowieństwo i liczni okoliczni mieszkańcy, oczywiście — katolicy. Nie sądzę, aby w umyśle któregoś z uczestników pogrzebu, powstała myśl, że odprowadzają go na wieczne potępienie...



(Ekumenizm) „jest zdaniem sobie sprawy” — pisze wierzący katolik — „że winę za rozbitcie ponoszą obydwie strony... Do Rzymu nie wraca się przez Kanosę... ale przez braterską konfrontację swych pozycji w oparciu o ewangelie... Złośliwi myślą, że te objawy tolerancji wynikają z poczucia słabości Kościoła. Ale według mnie są one oznaką chęci powrotu do prawa ewangelicznego, które w ubiegłych czasach było zbyt krępowane przepisami prawa pozytywnego...”



„Każdy człowiek... ma obowiązek szukania prawdy pod utratą zbawienia. Gdy będzie jej szukał szczerze, bez względu na to, co ona przyniesie — a nie potwierdzenia swoich uprzedzeń — znajdzie ją. W ciągu wielu wieków walk religijnych jednakże — słownych, kiedyś nawet orężnych — narosły różne rozdrażnienia i uprzedzenia po obu stronach. Wytworzyła się atmosfera polemiczna, wojenna. Teologia po-trydencka była antyprotestancka, podkreślająca to, co dzieli. Ruch ekumeniczny ma za zadanie zmienić tę atmosferę wojenną na pokojową. Rozmowy z inowiercami mają za cel by się wzajemnie zrozumieć, by znaleźć to, co łączy, stojąc jednak mocno przy prawdzie... Przez zjednoczenie „w miłości” dąży się do zjednoczenia w prawdzie, co jest o wiele trudniejsze i jeszcze odległe...”

## Żydzi

Różne aspekty stosunku do Żydów poruszyły w swych odpowiedziach 62 osoby. 11 z nich kwestionuje poniekąd pojęcie „zmiany stosunku” w tym zwykle duchu: „Nie ma zmiany stosunku. Prawdziwie głęboki katolicyzm nie szedł w parze z antysemityzmem, może jedynie „szyldowy” — „Właściwie nie ma zmiany stosunku Kościoła do Żydów, jest tylko przedstawienie tego stosunku w właściwym świetle” i tp.

30 osób wyraźnie określa swe stanowisko wobec soborowych dyskusyj i deklaracji w tej sprawie. 20 wita je z uznaniem, często gorącym („Oświadczenie Soboru w sprawie Żydów, mimo godnych pożałowania zmian wprowadzonych przez kazuistów watykańskich do tekstu pierwotnego, jest kamieniem milowym w historii stosunku Kościoła do Synagogi”, „może mieć bardzo poważny i pozytywny wpływ”, „jest aktem sprawiedliwości dziejowej” i tp.), 10 ma z różnych względów nastawienie krytyczne, niechętne lub sceptyczne.

Padły tu głosy, że „próby dyskulpacji Żydów” są nie przekonujące, a nawet że są „kwestionowaniem słów Pisma św.”, że „błędnego stosunku do Żydów nie da się wyeliminować uchwałami soborów” i że „upokorzący jest fakt, że Kościół dopiero teraz pragnie ułaskawić „perfidnych” Żydów...”, że „watykańska międzynarodówka... podlega procesowi penetracji i wpływów syjonistycznych”, że mamy tu do czynienia ze „zbytym przypodchlebianiem się Żydom...” i tp. Z tych głosów krytycznych, płynących z najróżniejszych pobudek, wyróżnia się następujący:

Oświadczenie... że Żydzi nie są winni śmierci Chrystusa zbiorowo i obecnie, budzi niesmak i zakłopotanie. Za mało i grubo za późno... Hochhuth niestety ma rację, choć sztuka jego nie jest obiektywnie napisana... Lepiej wszakże późno niż nigdy i mało niż wcale, więc dziś gdyby ktoś chciał się powoływać na Kościół i jego naukę jako sprzymierzeńca w antysemityzmie, czynić tego nie może, choć właściwie nigdy nie mógł z czystym sumieniem...

Oczywiście, że katolicyzm szedł w parze z antysemityzmem w Polsce... Ja pierwszy przyznaję się, i nie po raz pierwszy na tym miejscu, że należałem do organizacji, której jednym z naczelnych punktów był antysemityzm, a która to organizacja w olbrzymiej większości składa się z wierzących i praktykujących katolików (O.N.R.)... Poza tym antysemityzm oficjalnie wyznawały wówczas... Związek Młodych Narodowców... i Sekcja Młodych Stronnictwa Narodowego... łagodniejszy rasowo antysemityzm wyznawało „stare” Stronnictwo Narodowe.

Gdyby nie doszło do wojny, doszłoby jednak niewątpliwie do ustaw antyżydowskich w Polsce i ta sama szuja, co wydawała Żydom Niemcom, dopuszczałaby się krwawych ekscesów bez Niemców. Zresztą nie można zaprzeczyć, że „zagadnienie żydowskie” w Polsce istniało i zaprzeczanie temu jest taką samą głupotą jak antysemityzm... Antysemityzm nasz polegał przede wszystkim na okazywaniu Żydom lekceważenia i pogardy i tego nam Żydzi nigdy nie darują i nie dziwią się im...

Znaczna większość, bo 47 odpowiedzi zawiera otwarte lub domyślne potępienie antysemityzmu, w 15 wypadkach bardzo mocne. 10 głosów mniej lub bardziej usprawiedliwia antysemityzm, w tym są dwa-trzy głosy otwarcie antysemityczne (np.: „Jest rzeczą całkiem widoczną, że Żydzi są elementem dążącym do obalenia istniejącego porządku wszędzie”, autor tych słów odcina się jednak dalej od Hitlera i jego antysemityzmu). Więcej, bo aż 21 głosów, część odpowiedzialności za antysemityzm zwała na samych Żydów.

21 uczestników ankiety dotknęło zagadnienia związków pomiędzy katolicyzmem a antysemityzmem. 9 sądzi, że katolicyzm, a w każdym razie „skażony” katolicyzm ponosi pewną odpowiedzialność za antysemityzm (np.: „Kościół nie popierał nigdy czynnie antysemityzmu... jednakże ucząc, że Żydzi byli odpowiedzialni za zabicie Chrystusa, stwarzał grunt do rozwoju antyse-



mityzmu... Po dzieciach wychowanych na Jasełkach trudno spodziewać się przychylnego stosunku do Żydów...”), 11 przeczy, jakoby — w każdym razie dzisiaj — motywy religijne odgrywały jakąś rolę w powstawaniu antysemityzmu, który jest „zjawiskiem socjologicznym” na tle gospodarczym lub politycznym. Uważający się za Żyda uczestnik ankiety stwierdza, że „katolicyzm historycznie siedł w parze i z antysemityzmem, i z obroną Żydów”.

### Indeks

Na pytanie: „Czy indeks i inne formy cenzury kościelnej stały się anachronizmem?” odpowiedź twierdzącą, czasem obwarowaną zastrzeżeniami, częściej kategorię i emfaticzną, dało 40 osób, przeczącą — 13, neutralną lub niejasną — 4. Przeszło połowa (23) przeciwników i krytyków indeksu, to osoby, których postawę określiłem na wstępie jako „wyznawczą”. Charakterystyczna dla tej grupy i bodajże najlepiej ujęta jest następująca wypowiedź:

W tej formie, w jakiej (indeks) jeszcze dzisiaj istnieje, nie tylko jest anachronizmem, ale wcale nie przynosi chluby Kościołowi. Jest rzeczą jasną, że każda społeczność posługuje się w jakiś sposób cenzurą, by bronić żywotności swej instytucji. Cenzura posługuje się nie tylko państwa, ale i ekipy redaktorskie, nie wyłączając... „Kultury”. W Kościele sprawa komplikuje się bardziej niż gdzie indziej, bo chodzi o wierność nauce objawionej. Ale ta prawda nie usprawiedliwia sposobu, w jaki się ją wprowadzało w życie. Historia indeksu mówi, że nierzadko dostawali się tam pionierzy prawdy teologicznej i naukowej, dlatego że nie byli zrozumiani należycie przez wlokących się w ogonku za postępującą naprzód ludzkością, obrońców nie tyle wiary, ile jej niedoskonałej interpretacji.

Indeks — jak sugeruje samo słowo — powinien być więcej „indykatywny”, to znaczy wskazujący na niedociągnięcia czy błędy niż potępiający. Przyjęliśmy wszyscy z zadowoleniem wiadomość, że „kongregacja indeksu” ma być gruntownie zreformowana i zdecentralizowana”.

Argument, że — cytuję z innej wypowiedzi — „każde świeckie państwo ma cenzurę... dlaczegożby Kościół nie mógł jej mieć?” powtarza się też w kilku przeczących odpowiedziach. Dalsze argumenty: „Indeks jest zrozumiały i potrzebny wobec zalewu drukowanymi paskudztwami” — „Indeks pozwolił katolikom francuskim na odnalezienie swojej linii i odrzucenie Maurras’a. Ponieważ uważam, że ojciec powinien czuwać nad lekturą swych dzieci, nie uważam indeksu za coś złego” — „Np. do wywodów ideologicznych Bolesława Piaseckiego konieczne było zastosowanie indeksu i cenzury. Trzeba pamiętać, że Kościół katolicki składa się nie tylko z ludzi wykształconych, lecz także prostych” dla

których indeks i cenzura mają rolę „wychowawczą”. Cenzura jest „bardzo potrzebna”. „Neurologi i psychiatry stosują biblioterapię... W obecnych czasach przydałaby się cenzura środków oddziaływania masowego; w dawnych czasach (cenzura kościelna) pilnowała myśli ludzkiej, dziś powinna obejmować wyobraźnię (fascynacja zła). Odbiorcy oddziaływania masowego coraz mniej myślą, a tylko wciąż „odnoszą wrażenia”.

Jak się można było spodziewać, najostrzej indeks i cenzurę krytykują niewierzący, niektórzy nawet uciekają się tu do takich terminów jak „totalizm” i „nazizm”. Poza tym podkreśla się nieskuteczność i przestarzałość indeksu. Jeśli idzie ogólnie o walkę z demoralizacją, większość wypowiadających się w tej sprawie jest za „środkami ubogimi”, tj. perswazją, „kształceniem sumienia”, „akcją uświadamiającą”, a przeciw zakazom.

### Życie płciowe, regulacja urodzeń

Temat ten, który budzi tak wielkie zainteresowanie prasy światowej, nie rozpałił na ogół umysłów uczestników ankiety. Wypowiedziało się zaledwie 56 osób, i to najczęściej — bardzo niewyczerpująco. Przyczyną tego nie jest powściągliwość niewierzących, którzy mogli byli np. zagadnienie środków zapobiegawczych uznać za „wewnętrzną sprawę” gorliwych katolików. Byłoby to zrozumiałe, lecz tak się nie stało: większość niewierzących bardzo stanowczo wypowiada się za koniecznością zrewidowania lub nawet przekreślenia nauki moralnej Kościoła w tych sprawach. Być może, słaby odzew znajduje wyjaśnienie w wysokiej przeciętnej wieku uczestników ankiety, osobiście w tych zagadnieniach mniej już zainteresowanych.

Niepełność wypowiedzi bardzo utrudnia ich klasyfikację, która może być tylko przybliżona. Tak więc odniosłem wrażenie, że przeciwnych jakimkolwiek zmianom w tej dziedzinie jest 8 osób. Wszystkie reprezentują postawę wyznawczą o konserwatywnym zabarwieniu. Za pewną rewizją, unowocześnieniem, „ulgami” jest 16 osób — wszystkie są albo gorliwymi katolikami, albo przynajmniej są mocno związane z Kościołem mimo pewnych zastrzeżeń wobec jego nauki lub odstąpienia od praktyk. Za mniej lub bardziej radykalnymi zmianami jest 24 osób, wśród których tylko dwie zajmuje stanowisko określone jako wyznawcze.

Poza zagadnieniem kontroli urodzeń, której dotyczy powyższe wyliczenie, tylko sporadycznie wypowiadano się na inne tematy jak ogólny stosunek do życia płciowego, wstrzemięźliwość przedmażeńską, cele małżeństwa, jego nierozwiązalność i tp.

Najciekawsze ujęcia tematu czytelnik znajdzie w odpowie-



dziach zamieszczonych, do których dorzucam tu urywki z dwu innych jeszcze:

Kościół może rewidować swoje wskazania w sprawie życia płciowego, a szczególnie w sprawie regulacji urodzeń. Trudno natomiast przypuścić, aby wynikiem tej rewizji były jakieś rewelacyjne zmiany w stanowisku Kościoła, który nie jest przeciwny temu, że rodzice mają prawo decydować o ilości... dzieci, ma tylko zastrzeżenia co do środków, które mogą być stosowane... Jest rzeczą godną ubolewania, że te problemy natury raczej świeckiej z dziedziny biochemii, fizjologii, higieny umysłowej, eugeniki muszą być rozstrzygane przez instytucję powołaną raczej do zajmowania się życiem duchowym i celami ostatecznymi.

Jest to wynikiem oślapanego stanu wiedzy o człowieku i przejawach jego życia. Nauka interesuje się wyłącznie materialnym otoczeniem człowieka... (i) nie chce dostrzegać faktu, że człowiek żyje coraz bardziej na śmietniku i że ten śmietnik coraz bardziej go zatrzuwa. Dzięki temu człowiek na przed sobą mniej więcej dwa cele ostateczne w życiu: rak płuc i zawał serca... Nאיwna jest wiara, że problemy stojące przed ludzkością można rozwiązać w łatwy sposób, przy pomocy pigułek...



Kościół katolicki jest dzisiaj jedyną instytucją, która sprzeciwia się sztucznej regulacji urodzeń. Protestanci opowiedzieli się za nią. Sprawa ta, z wielu względów paląca, choć nie dotyczy żadnego z dogmatów wiary, wiąże się bardzo ściśle z moralnością ogólnoludzką, dlatego nie w tym dziwnego, że obchodzi także Kościół katolicki. Ustanowienie komisji, składającej się z duchownych i świeckich, świadczy o tym, że Kościół zastanawia się poważnie i nad samą sprawą, i nad swoim dotychczasowym stanowiskiem w stosunku do niej.

Wielu dziś uważa, że samo nawoływanie do ślepej ufności w Opatrzność nie wystarczy, bo pierwszym prawem Opatrzności w stosunku do człowieka jest, aby się starał rozum wprowadzić we wszystkie przejawy swego życia! Dlaczego tylko w tym tak ważnym punkcie ma się poddawać biologicznym, ślepym siłom rozrodczym, zwłaszcza kiedy dobrze wie, że nie potrafi zapewnić odpowiednich warunków życia i rozwoju takiej liczbie dzieci, które jest zdolny fizycznie do życia powołać?

U chrześcijanina wprowadzenie rozumu w życie płciowe i małżeńskie powinno uwzględniać prawo naturalne i wskazania czy przykazania Boże. Ale pojęcie prawa naturalnego jest bardzo płynne i ono także podlega prawom rozwojowym ludzkości, a Biblia na ten temat nie mówi, bo przytaczane przez niektórych moralistów teksty nie odnoszą się wcale do sprawy regulacji urodzeń, a tym mniej do jej metod.

A więc droga wolna? Tak, ale do nowego przemyślenia definicji małżeństwa, która dotychczas honorowała więcej biologię niż współżycie dwojga ludzi. Nie można definiować małżeństwa, ani ekskluzywnie ani przede wszystkim, w oparciu o zasadę biologicznej rozrodczości, i tak samo nie można izolować moralności aktu płciowego między małżonkami od celowości małżeństwa. Wynikałoby z tego, że w małżeństwie mogą zaistnieć takie sytuacje, w których celowość małżeństwa wymaga aktów płciowych, bez ich celowości ściśle biologicznej. Szukanie jakiejś „pigułki katolickiej” nie ma najmniejszego

sensu, bo nie powinniśmy moralizować biologii, ale — konkretne małżeństwo.

### Dalsze reformy

Plon odpowiedzi na to pytanie był bardzo niski. Jest to rozczarowanie, zwłaszcza gdy się go porówna z bogatymi wynikami ankiety rozpisanej na ten właśnie temat przez „Tygodnik Powstaniec”, przed otwarciem soboru. Rzecz jasna, pytanie postawione pod koniec debat musiało przynieść mniej odpowiedzi, gdyż wielu życzeniom i pragnieniom już stało się zadość. Ale chyba nie wszystkim...

Wypowiedziało się zaledwie 25 osób. Szereg z tych odpowiedzi ma charakter gestu niechęci. I tak np. gorliwi, a krytycznie wobec soboru nastawieni katolicy ograniczyli się do oświadczenia: „Jak najmniej dalszych reform” lub jeszcze zwięźlej: „żadnych”, a jeden z przeciwników katolicyzmu wykorzystał to pytanie do wyrażenia swego zdania o „zabobonnych” dogmatach.

Głosy są bardzo rozstrzelone. Jedynym kilkakrotnie się powtarzającym jest życzenie, aby Kościół... zezwolił na rozwody (w wyjątkowych wypadkach — zaznacza jeden uczestnik, „godziwe rozwody” — podkreśla inny). Ciekawy jest głos, że „żadne reformy... liturgii czy... organizacji Kościoła nie przywrócą (mu) znaczenia i wpływu... dopóki nie zjawią się święci na miarę Tomasza z Akwinu... lub Franciszka z Asyżu...”.

Poszczególne głosy wypowiadają się za reformą spowiedzi („Spowiedź przed spowiednikiem zostawić uznaniu wiernych”), zakonów („w większości swojej są dzisiaj anachronizmem”), stylu życia hierarchii kościelnej, postów i kurii rzymskiej („wyrzucić z niej wszystkich fanatycznych starców z kardynałem Ottavianim na czele”).

Oprócz autorów prac zamieszczonych (np. Gieratowa i bezimienny uczestnik z Paryża) ciekawsze uwagi wypowiadają przytoczeni poniżej w urywkach:

Za bardzo istotną sprawę uważam kwestię właściwego rozumienia i tłumaczenia ksiąg Starego Testamentu. Zawierają one ogromnie dużo rzeczy, które były zgodne z mentalnością, pojęciami i moralnością ludzi, którzy je pisali, natomiast są nie do przyjęcia jako wyraz mądrości Bożej dla nas. Sobór powinien... pouczyć wiernych, jak mają się ustosunkować do tematów w Starym Testamencie, które nas razią.



Szkoda, że Sobór poświęcił tak mało uwagi postępowi technicznemu. Najwyższy czas, żeby ten postęp „uświecić” i ożywić doktrynę katolicką dotyczącą tej dziedziny... Pomogłaby tu reforma curriculum



seminariów duchownych polegająca na oderwaniu się od metod nauczania przyjętych przez humanistów, a przyjęciu metod używanych w naukach ścisłych...

### Dogmaty

34 wyraźne odpowiedzi na pytanie o trudności dogmatyczne dzielią się mniej więcej po połowie na przeczące (16) i twierdzące (18). Ujęcia i przesłanki obu rodzajów odpowiedzi są jednak tak różnorodne, że klasyfikacja niewiele tu mówi i trzeba ją uzupełnić charakterystycznymi przykładami. Odpowiedzi przeczące: „Dogmaty religii katolickiej w istocie nikomu wierzącemu nie sprawiają trudności”, „Nie sądzę, żeby dogmaty miały sprawiać trudność współczesnemu człowiekowi, o ile stara się pogłębiać wiedzę religijną”, „Dogmaty religijne są proste, a gdy się chce je interpretować, zamiast wierzyć, stają się skomplikowane”, „Nie sprawiają żadnych trudności współczesnemu człowiekowi, który w kołowrotku życia codziennego nie ma czasu... na zastanawianie się nad nimi”, „Bóg nie domaga się od człowieka zrozumienia dogmatów... lecz wiary w nie, to jest przyjęcia ich za prawdę dla powagi kościoła nauczającego...”, „...jeśli się je odpowiednio przestuduje i przemyśli, nie powinny sprawiać specjalnych trudności... Jeśli się je po przestudiowaniu przemodli — nie będzie potrzeby ich... reinterpretacji”, „Samo przypuszczenie, że „nieprawdopodobne” dogmaty mogą pozbawić człowieka wiary w Boga jest stawianiem wozu przed koniem...”. — Twierdzące: „Sprawiają większą trudność współczesnemu człowiekowi, ponieważ zdajemy sobie dzisiaj sprawę bardziej niż kiedykolwiek przedtem, jak powstają mity”, „Trudności oczywiście są, ale nie należy rozszczeplać włosa na czworo. Interpretację dogmatów zostawmy teologom”, „sprawiają trudność każdemu człowiekowi każdej epoki... Gdyby Bóg był dla nas poznawalny w pełni, znałyby to, że jest tylko na miarę naszego rozumu. Wielbilibyśmy wtedy nasz rozum, a nie Boga”, „Nie tylko dogmaty... ale nawet dekalog sprawia specjalną trudność współczesnemu człowiekowi” (odpowiedź ironiczna, wymierzona w „okropne dzisiejsze czasy”), „brane dosłownie, zanadto kolidują ze zdrowym rozsądkiem”, są „albo myślowo (jak Wniebowstąpienie) albo uczuciowo (jak piekło) nie do przyjęcia”, „Nowoczesny człowiek ma często wielkie trudności z przyjęciem dogmatów... także dlatego że mu się je podaje w kontekście przebrzmiałej nauki — w ramach cywilizacji pasterskiej czy rolniczej...” „We mnie np. buntuje się człowiek współczesny przeciw dosłownemu traktowaniu Komunii jako rzeczywistego Ciała Chrystusa. Jestem może złym katolikiem, ale chcę być absolutnie szczerzy w tej ankiecie”...

Możliwość i potrzebę „reinterpretacji dogmatów” widzi 25 osób, odrzuca je 8. Do wyliczenia tego nie można jednak przywiązywać większej wagi, gdyż samo pojęcie „reinterpretacji” jest... różnie interpretowane, od „zniesienia” dogmatów po „tłumaczenie” ich na język współczesnych pojęć.

### Kult maryjny

Niech mi wolno będzie zaznaczyć, że w sformułowaniu tego pytania nie brałem udziału. Nic mnie zresztą w nim nie razi, ale sam nie wyraziłbym się tak „prowokacyjnie”. „Prowokacyjne” pytania mają jednak tę zaletę, że pobudzają do odpowiedzi, i liczniejszych, i żywszych.

Jest ich 64. 7 osób jest w ogóle przeciwnikami kultu maryjnego, są to jednak niewierzący lub niekatolicy. 4 osoby zgadzają się z — hipotetycznym! — zarzutem zawartym w pytaniu i nie zdradzają przy tym swego zdania o niewypaczonym kulcie. Wszyscy pozostali są jego mniej lub bardziej wymownymi obrońcami. Najpowszechniejsze jest zdanie (26 uczestników) że kult cierpi tylko niekiedy i tu i ówdzie na przerosty, w zasadzie jednak jest pięknym i istotnym składnikiem wiary chrześcijańskiej. 6 osób — mimo pozytywnego stosunku do kultu — stwierdza, że przyjmuje on czasem lub nawet często formy bałwochwalstwa lub wielobóstwa. Wyraźnie przeczy temu, a nawet jakimkolwiek wypaczeniom, 6 osób, a 11 ogranicza się do pochwały kultu właściwie rozumianego, nie wypowiadając się co do istnienia przerostów.

Przytaczam kilka urywków z różnych wypowiedzi bądź to jako charakterystyczne, bądź też z uwagi na wysiłek pogłębienia tematu:

(Kult maryjny) jest jednym z najpiękniejszych w chrześcijaństwie i katolicyzmie. Użycie w ankiecie w odniesieniu do niego określeń „wielobóstwa” i „bałwochwalstwa” daje właśnie kwestionariuszowi te nieprzyjemne cechy wrogości wobec Istoty, którą olbrzymie rzesze wierzących uważają za swoją orędowniczkę. Walka przeciw kultowi maryjnemu (pisownia autora — małe *m!*) w Polsce jest jednym z czołowych argumentów, jakim komuniści operują przeciw Kościołowi, hierarchii i wierze.



Ataki na kult maryjny zrodziły się w czasach reformacji i są związane z wybitnie męskim kultem protestanckiego, suchego, drewnianego kościoła i sekt jego rozlicznych. Tędy przenikały wątpliwości do katolików anglosaskich. Są umiejętnie podchwyczone i wykorzystane przez zatroskanych o czystość kultu Boga komunistów.



Jestem zwolennikiem kultu maryjnego, bo jest poetyczny, piękny, serdeczny i w dodatku narodowy... Pewne formy tego kultu są rzeczywiście przesadne.

„Kult Matki Boskiej niezmiernie przyczynił się do cywilizacji i humanizacji Europejczyków średniowiecza” — podkreśla „uważający się za Żyda” uczestnik ankiety — „... i do pokonania rasizmu w Meksyku” (ukazanie się Matki Boskiej Indianinowi), ale” — dodaje — „miłość degeneruje się w sentymentalizm, który jest odwrotną stroną okrucieństwa. Wystarczy tu przypomnieć bestialstwa popełniane w Hiszpanii przy okrzykach „Viva Maria” i wybryki przedwojennego „Małego Dziennika”. Niemcowi, który urodził się na Górnym Śląsku i wychował w Polsce, brak w Nadrenii, gdzie teraz mieszka i „gdzie kult maryjny jest w stosunku do Polski znikomy”, „przepięknych nabożeństw i pieśni maryjnych”, brak „ciepła”.

Ciekawą krytykę niektórych aspektów kultu maryjnego, z punktu widzenia katolickiego zawierają następujące dwa głosy:

Kult maryjny w ogóle znacznie się powiększył wszędzie. W krajach łacińskich np. jest z pewnością dużo silniejszy niż w Polsce... Kult maryjny jest stary jak Kościół, ale trzeba jednak przyznać, że przeciętny katolik jest właściwie prawie ignorantem co do roli, jaką odegrała Najświętsza Maria Panna w Opatrzności Bożej... Kult Najświętszej Marii Panny jest bardzo pięknym kultem... Czyż można za bardzo podziwiać w Najświętszej Marii Pannie Jej uroczą cnotę pokory? Ilu katolików (polskich czy nie) czci Matkę Boską, aby naśladować Jej cnoty? Czyż można za bardzo podziwiać Jej doskonałość i świętość? Ilu Ją prosi, aby się wstawiła za nimi do swego Syna i przedstawiła Mu potrzeby ich dusz? Czyż można za bardzo Ją kochać za morze cierpień, jakie przyjęła dla nas na siebie? Czyż można nie uciekać się do Niej w każdej potrzebie? Nie można zaprzeczyć, że katolicy pamiętają prawie wyłącznie tylko o tej ostatniej możliwości.

... wszystko się może wyrodzić... Z tego jednak nie wynika, że w chrześcijaństwie nie powinno być miejsca na religijny kult Tej, która była i pozostała na zawsze matką Chrystusa i Jego najbliższą i najwierniejszą współpracowniczką... Jak herezją jest każde ubóstwienie Marii, tak samo herezją jest wyrzucanie Jej poza nawias religii chrześcijańskiej. Pozostanie jednak faktem, że zwłaszcza w tej dziedzinie, która więcej niż inne zahacza o naszą uczuciowość, ulegamy łatwo przesadzie. Chrystus nie czyni nas niewolnikami Swego Ojca, ale Jego dziećmi. Romantyczna i rycerska forma oddawania się w „niewolę” Marii, mimo najlepszych intencji trąci przesadą.

### *Pacyfizm*

To pytanie nie wywołało większego zainteresowania. Odpowiedziało na nie 46 osób, w tym umownych 10 w odpowiedzi

zbiorowej. Przeważa stanowisko wyrażone m.in. w drukowanej bezimienniej odpowiedzi z Paryża, a więc za pacyfizmem „rozsądnym”, dopuszczającym słuszną walkę w obronie własnej. W kilku zaledwie odpowiedziach wyczuwa się głębsze przejęcie widmem katastrofy atomowej, w podobnym duchu jak w zamieszczonych odpowiedziach Gieratowej. Częściej podkreśla się wyzyskiwanie idei pacyfistycznych przez komunizm: „Chrześcijaństwo jest ideologią miłości bliźniego i pokoju ludziom dobrej woli. Specjalny pacyfizm chrześcijański jest dodatkiem niepotrzebnym. Ruch pacyfistyczny... służy celom politycznym komunizmu: rozsądzenia, osłabienia przeciwnika”, (możliwy i pożądany) „w postaci, która nie będzie rozbrajać Zachodu”, „Miarą potęgi pacyfizmu chrześcijańskiego jest stały wysiłek niewierzących, a w szczególności komunistów, by pacyfizm sobie przywłaszczyć...”. Najdalej w tym kierunku idzie wypowiedź uczestnika ankiety bardzo krytycznie, jeśli nie wręcz wrogo nastawionego do współczesnego Kościoła katolickiego:

Pacyfizm chrześcijański jest koniecznością wynikającą z postawienia na pierwszym miejscu problemu ekumenizmu i wynikającego z tego wycofywania się Kościoła ze stanowiska zaczepnego wobec odszczepieńców. Taka tendencja musi się odbić i na stosunku do problemów polityki międzynarodowej: widać to w modlitwach o pokój odmawianych w czasie mszy. Wobec takich objawów można się zapytać, czy męczeństwo w obronie wiary jest dopuszczalne, bo to jest narzucaniem swych poglądów innym i powoduje zakłócenie pokoju. Pacyfizm chrześcijański jest bardzo pożądany dla komunistów.

Warto jeszcze odnotować, że kilka odpowiedzi o cieplejszym stosunku do idei pokoju powołuje się na encyklikę „Pacem in terris”.

### *Pytania społeczne*

Następne trzy pytania wiążą się tak ściśle ze sobą, że najlepiej potraktować je łącznie.

Nie wywołały one zbyt żywego zainteresowania. Odbija się to zarówno w ilości jak w rozmiarach i charakterze odpowiedzi. Na pytanie o potrzebę „zrewidowania, sprecyzowania lub rozszerzenia” katolickiej nauki społecznej odpowiedziało 26 osób. Przeważa zdanie (19 uczestników), że powinny być, jeśli nie zrewidowane, to rozszerzone i unowocześnione, co — zdaniem przynajmniej jednej osoby działo się i dzieje. Z 31 osób, które poruszają sprawę wpływu, 9 twierdzi, że nie miały żadnego, a 14 określa go jako skromny, mały lub znikomy. Skalę poglądów mogą ilustrować streszczenia lub przytoczenia trzech przykłado-



wych wypowiedzi. Pierwsza twierdzi, że miały „wielki wpływ” na ustawodawstwo społeczne, na powstanie ruchów i partii chrześcijańsko-społecznych, a może nawet na ewolucję partii socjalistycznych z rewolucyjnych na demokratyczne i zarzucające marksizm. Druga utrzymuje, że „miały wpływ, ale przyszły za późno, dopiero w ślad za walką rzesz pracujących. Pierwsze dwie encykliki raczej ostrożnie pouczyły bogaczy, żeby nie dali umierać z głodu swoim robotnikom. Było to bardzo mało i tchórzliwie... Agitacja komunistyczna, choć nieszczerą, o wiele więcej uczyniła dla świata pracy...”. Trzecia wreszcie „mały oddźwięk” nauki społecznej Kościoła przypisuje temu, że „socjalizm miał inicjatywę w rękę”, i „zacofaniu i konserwatyzmowi” duchowieństwa, które „nie miało odwagi czynić poprzec nauki Kościoła”. „Pozycję robotnika w społeczeństwie, pojęcie 'welfare state' i większą sprawiedliwość społeczną zawdzięczamy nie Kościołowi, lecz socjalizmowi”.

Pytanie o „kościół bogatych” i o utracie mas robotniczych wywołało dość liczne sprzeciwy — moim zdaniem przeważnie uzasadnione — z powodu uogólnienia zjawiska występującego bardzo wyraźnie w niektórych krajach (przede wszystkim we Francji) na wszystkie kraje uprzemysłowione. Szereg wypowiedzi z Ameryki, Anglii, Niemiec podkreśla, że tam sprawa przedstawia się inaczej, nieraz zupełnie inaczej. „Nie zgadza się z prawdą” — pisze niemiecki uczestnik ankiety — „jakoby w najwyższej uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych Kościół stracił masy robotnicze i stał się poniekąd kościołem bogatych. NRF jest drugą potęgą gospodarczą na świecie, a tego problemu się tutaj prawie nie zna. Tutaj Kościół naprawdę jest powszechny. Wręcz przeciwnie — tutaj dużo bogaczy stroni od Kościoła”. A uczestnik z Anglii zauważa dowcipnie: „W najwyższej uprzemysłowionych... krajach „kapitalistycznych” nie ma czegoś takiego jak „masy robotnicze”... „Masy robotnicze” mają dzisiaj domy z ogródkami, samochody, telewizory. Ja — nie mam. Jestem kilkakrotnie uboższy od jakiegoś elektryka. Jeśli ja należę do Kościoła, a elektryk nie, to nie znaczy, że Kościół jest „kościółem bogatych”.

Z 20 osób, które nie mają zastrzeżeń przeciw sformułowaniu pytania, 12 sądzi, że Kościół istotnie utracił masy robotnicze. Najczęściej przypisuje się to temu, że Kościół był konserwatywny społecznie, a nawet „stawiał na bogatych”, że nie zajmował się palącymi dla robotników sprawami, a bywało, że duchowni „patrzyli na nich z góry”... Zgadza się z tym niektórzy gorliwi katolicy biorący udział w ankiecie (jeden z nich pisze: „Uważając ruchy robotnicze za zjawisko przejściowe... Kościół — mówiąc ordynarnie — postawił na niewłaściwego konia...”), inni

jednak wskazują na przyczyny, za które „czynniki kościelne” nie ponoszą odpowiedzialności. „Dechrystianizacja” — czytamy w jednej z głębiej ujętych odpowiedzi — „zaczęła się u góry, wśród warstw intelektualnych. Dół zwykle z opóźnieniem podąża za przykładem góry”.

Jako środki pozyskania proletariatu (jedna uczestniczka zresztą twierdzi, że „proletariat dziś nie istnieje” a kilku krytykuje samą koncepcję pozyskiwania pewnych klas społecznych) wysuwa się „zrozumienie potrzeb ludzi pracy”, „czynne, energiczne występowanie... w obronie robotników wobec właścicieli przedsiębiorstw i władz”, „mocne i niedwuznaczne wypowiedzenie się Kościoła po stronie wyzyskiwanych”, „Życie wśród wiernych ich troskami i radościami, o ile można na tym samym poziomie materialnym, lecz na wyższym niż oni poziomie kulturalnym i umysłowym”, „obudzenie w sumieniach kapitalistów świadomości, że są sami swoimi wrogami, jeśli nie chcą lub nie umieją wzbudzić w proletariacie zrozumienia i szacunku dla użyteczności swojej roli”, „jakiś zreformowany syndykalizm” i wreszcie — w lapidarnych, zbyt może jaskrawych słowach — „zdjęcie purpur, mitr, złota i klejnotów” lub (głos niewierzącego) „przekazanie większości zasobów Kościoła na cele kulturalnego i naukowego rozwoju młodzieży upośledzonej z powodu jej socjalnego pochodzenia”.

Jedna szczególnie ciekawa odpowiedź wyraża myśl, że pozyskanie jest możliwe tylko „za pośrednictwem przykładu i stylu życia chrześcijańskiego ludzi wpływowych, z jakąś magią słowa i czynów, jak np. św. Franciszek z Asyżu czy sam Chrystus... Odwrócenie procesu, przez jaki przeszedł człowiek prosty, nieskomplikowany, ze ślepej wiary do świadomego zaprzeczenia jej, jest... prawie niemożliwe. Teraz już trzeba, by wzniósł się on sam na poziom niezależnego, abstrakcyjnego myślenia i doszedł do wniosku, że nauka Kościoła jest słuszna...”

Stosunek do akcji księży-robotników jest na ogół przychylny, podkreśla się jednak często ogromne trudności i wypaczenia, które — zdaniem wielu odpowiadających — musiały skłonić Kościół do jej „zahamowania”. O częściowym wznowieniu akcji — co nastąpiło po zamknięciu ankiety — wspomina tylko autor jednej późniejszej odpowiedzi.

### *Celibat*

W sporej liczbie odpowiedzi — przeciw zniesieniu celibatu jest 31 osób (przeważnie wierzący katolicy), za zniesieniem 14 (przeważnie, lecz nie wyłącznie — niewierzący), 11 zajmuje



stanowisko pośrednie, wreszcie 6 uważa, że albo problem jest nieistotny, albo obchodzi tylko zainteresowanych, tj. duchowieństwo. Przykłady stanowiska, które nazwałbym pośrednim, czytelnik znajdzie w odpowiedziach Gieratowej i w bezimiennnej odpowiedzi z Paryża („I tak, i nie”).

Bogatsza jest argumentacja za utrzymaniem celibatu. Według niej, daje on duchownemu niezależność („ksiądz żonaty dba w pierwszym rzędzie o swoją rodzinę i jej dobrobyt. W tej sytuacji musi się liczyć bardziej z państwem niż z Kościołem...”) i „możność całkowitego poświęcenia się służbie Bożej” („rodzina i utrzymanie domu pochłaniają tak dużo czasu i uwagi, że ten, kto chce się poświęcić jakiegś... idei lub działalności nie powinien zakładać rodziny...”), przeciwdziała powstaniu kasty kapłańskiej, sprzyja sublimacji popędu płciowego na miłość bliźniego, jest źródłem siły (cytuując Ibsena: „Silny, kto sam” jedna z uczestniczek ankiety zauważa: „Można rozporządzać życiem własnym, ale nie życiem swej żony i dzieci”), „asceza pomaga w osiągnięciu skupienia, koncentracji i kontemplacji, toruje drogę do świętości...”. Dwie odpowiedzi zwracają uwagę na związek celibatu z sakramentem spowiedzi, z jej tajemnicą i powagą („Trudno byłoby sobie wyobrazić spowiedź św. w sytuacji, gdzie księżom wolno byłoby wchodzić w związki małżeńskie. Młode dziewczęta i wdowy idąc do konfesjonatów pokuty mogłyby być posądzone o romanse i tp...”).

Argumentami za zniesieniem celibatu (lub ograniczeniem do duchowieństwa wyższych stopni) są przede wszystkim trudności jego dotrzymania (nieraz bardzo jaskrawo przedstawiane: „Celibat prowadzi do wynaturzeń i zbroceń i do wykoślawienia moralnego kleru”, „Podziwiam bohaterstwo księży, ale patrząc często na nich z niedowierzaniem — że wytrzymują — i z podejrzeniem — że albo nie są normalni, albo gdzieś pokątnie stają się normalni...”) oraz teza, że „celibat stwarza nieraz brak jakiegoś zrozumienia trosk i kłopotów ludzi świeckich, a czasami prowadzi do utraty wspólnego języka i do odizolowania się od wiernych...”.

### *Dechrystianizacja i laicyzacja w Polsce*

Odpowiedzi na pytania dotyczące Polski współczesnej jest mniej niż na kwestie dwu poprzednich działów. Nie wynika to bynajmniej z braku zainteresowania, lecz z godnej uznania, choć może i przesadnej, skromności. „Mieszkając za granicą wstrzymuję się od odpowiedzi na większość pytań tego działu”, „Wartościowe odpowiedzi mogą być dane tylko z Kraju”, „Na rzecz-

wą ocenę sytuacji w Polsce brak mi wielu danych” — sporo jest takich wyjaśnień uchylenia się od odpowiedzi a więcej jeszcze uchyleń.

Na dwa pierwsze pytania — ściśle ze sobą związane — odpowiedziało 38 i 34 osoby. 21 sądzi, że Polska podlega procesowi dechrystianizacji, 9 się temu przeciwstawia, nie wysuwając jednak godnych uwagi argumentów. Pozostałe odpowiedzi — jak J. Płoskiego i E. Gieratowej — nie mieszczą się w żadnej z dwu szufladek. „Obok objawów świadczących o istnieniu tego procesu, równoległe następuje pogłębienie życia religijnego...”, „Życie religijne jest krępowane, lecz silniejsze, jak nigdy dotychczas...”, „Tak wydawałoby się, ale nie nazwałbym tego dechrystianizacją. Myślę, że warunki obecne są wstępem do obudzenia się chrześcijaństwa...”, „W Polsce, zresztą tak jak i w innych krajach, z jednej strony życie i świadomość religijna bardzo się pogłębia, ale na pewno też nie brakuje i tych, którzy ulegają procesowi laicyzacji prowadzącej do dechrystianizacji... Właściwy stan religijności jest niesamowicie trudny do uchwycenia... Do duszy człowiekowi się nie zajrzy...”.

Ciekawy w tej grupie odpowiedzi jest pogląd, że Polacy w P.R.L., którzy teraz ze względów oportunistycznych odeszli od Kościoła i chrześcijaństwa, wzmocnili je, bo „uwolnili od hipokrytów”. Ujemnym objawem — ciągnie autor tej wypowiedzi — jest niedopuszczanie dzieci do nauki religii, ale tak w kraju jak na emigracji są to wypadki rzadkie, nawet w rodzinach niewierzących. Prawdziwym problemem jest natomiast kryzys rodziny w Polsce (niechciane, zaniedbane dzieci, tragiczny los ludzi starych), bezrobocie młodzieży, alkoholizm, „degeneracja środowiska socjalnego”. To nie jest „dechrystianizacja”, lecz wprost „de-humanizacja”.

Dopóki komunizm w Polsce trwa” — czytamy w innej odpowiedzi, też trudnej za sklasyfikowania — „proces powierchownej *chrystianizacji* będzie się powiększał”. A potem?

Ponieważ... dzisiaj wieś, taka jak przetrwała w Polsce od czasów przedhistorycznych, z małymi tylko zmianami, zanika — musi z czasem zniknąć i tradycja z tej wsi wyrosła... Z czasem, za parę pokoleń, staniemy się narodem równie laickim jak Francuzi, choć z innych przyczyn. Pozbawiony tradycyjnych form, powierzchowny katolicyzm polski rozplynie się. Nie nastąpi zaś po nim renesans katolicyzmu wyrozumowanego, bo możemy się stać narodem techników i handlowców, ale nigdy nie staniemy się narodem mistyków i filozofów”.

Z 15 uczestników, którzy poruszają sprawę tempa dechrystianizacji, w porównaniu z innymi krajami, wszyscy, z wyjątkiem jednego, są zgodni, że jest ono wolniejsze, i wymieniają dwa czyn-



niki opóźniające, tak ujęte w jednej z odpowiedzi: „Polska... jest jeszcze krajem bardziej rolniczym niż kraje zachodnie. Zachęta czy nacisk idzie z góry, co... wywołuje opór prawem reakcji”. Wspomniany jedyny głos sprzeciwu pochodzi od niewierzącego, który niedawno opuścił Polskę. Píše on m.in.:

Jeżeli dziesięć przykazań jest wykładnikiem chrystianizmu, to w Polsce dechrystianizacja następuje szybciej niż w innych krajach Europy. Vide przykazania: nie kradnij, nie cudzołóż, miłuj bliźniego swego. Natomiast jeśli wykładnikiem chrześcijaństwa jest uczestnictwo w obrzędach religijnych, to dechrystianizacja jest w Polsce powolniejsza niż gdzieindziej. Jest wyrazem pewnej manifestacji protestu czy nawet dziecinnego robienia „na złość”.

Tylko 8 osób ryzykuje ocenę, czy omawiany proces jest „nieunikniony”; tak — zdaniem 6.

Kilka odpowiedzi (np. Gniatczyńskiego) kwestionuje samo pojęcie „laicyzacji”, te, które tego nie robią, przeważnie uważają ją za „narzuconą”, szereg głosów podkreśla jednak również przyczyny niezależne od rządów komunistycznych (np. „Przykład laicyzacji społeczeństwa Włoch ilustruje fakt, że analogiczny proces w Polsce nie jest wynikiem rządów komunistycznych, a raczej... tworzenia się państwa o nowoczesnej, wielkoprzemysłowej gospodarce i... upowszechnienia wiedzy”). Propagandę ateistyczną znaczna większość osądza jako nieskuteczną, czasem jako mało skuteczną, niekiedy jako skuteczną tylko w odniesieniu do młodzieży, często jako prymitywną, prostacką, powierzchowną, odnoszącą skutek przeciwny od zamierzonego. Patriotyczne motywy oporu przeciw laicyzacji podkreśla m.in. odpowiedź, która przypominając nacisk wywierany przez opinię publiczną zaraz po październiku 1956 r. na to, aby dzieci chodziły na nieobowiązkowe lekcje religii, tak to komentuje:

Była to typowa manifestacja narodowa i antykomunistyczna, nikt mnie bowiem nie przekona, że wynikała z żarliwości religijnej. Przed wojną nikt nie traktował poważnie lekcji religii i jeżeli prefekt nie był surowy, połowa klasy była na wagarach podczas jego lekcji, a reszta odrabiała matematykę czy grała w „wojnę morską” na kratkowanym papierze”.

### *Prześladowanie, krępowanie, szykany*

Pytanie to wyjawiało daleko idące różnice nietyłe w ocenie faktów, ile w uczuciowym do nich podejściu. Szereg odpowiedzi w rodzaju: „szykanowanie jest również formą prześladowania” sprowadza kwestię na grunt semantyki. 16 osób mniej lub bardziej stanowczo przychyliła się ku określeniu „prześladowanie”,

większość z nich jednak szuka wyjścia z semantycznej pułapki przez dodanie kwalifikujących uwag: „bezkrwawe prześladowanie”, „rozmaite formy, ale cel jeden”, „bardzo ostrożne prześladowanie”, „prześladowań w sensie zakazu uczęszczania do kościoła nie ma, ale często prześladowuje się ludzi, którzy swą wiarę okazują”, „tylko pozornie mniej drastyczne”, „nie w taki butny sposób jak za czasów Bieruta, lecz w sposób zręczny i inteligentny, lecz nie mniej perfidny i niebezpieczny”... 6 osób, czując niedostateczność lub przesadę podsuwanych w pytaniu określeń, szuka własnych sformułowań jak np. (Kościół jest) „zwalczany podstępna i wypróbowaną metodą polityki komunistycznej” lub: „Niesłuchanie przemysłana, naukowo wystudowana wola rozbić, dużo groźniejsza niż otwarte prześladowania”. „Jeśli przez prześladowanie rozumiemy zabijanie, pozbawianie wolności i fizyczne zadawanie bólu jednostkom, to w tym sensie Kościół nie jest prześladowany. Dzieje się natomiast znacznie gorzej” — czytamy w jednej, wnikliwszej, odpowiedzi, która stwierdziwszy, że 90% ludności demonstruje lojalność wobec Kościoła, przynajmniej przez pójście raz w tygodniu na mszę św. — a równocześnie nie ma dziennika katolickiego, nie naucza się religii w szkole, likwiduje zgromadzenia zakonne, próbuje się rozsądzać Kościół od wewnątrz, okłada podatkami i karami „jakikolwiek przejaw działalności Kościoła wychodzący poza ramy obrzędów liturgicznych” — konkluduje: „Jest to więc pozbawienie wolności prawie całego narodu...”.

12 uczestników implicite odrzuca pojęcie „prześladowania” uważając, że można mówić tylko lub raczej o „krępowaniu i szykanach”, przy czym Mieczkowski, autor drukowanej odpowiedzi, nawet „szykany” podaje w wątpliwość. 6 wreszcie odpowiedzi (w tym dwie ze strony osób lojalnie nastawionych do rządu P.R.L.) explicite występuje — czasem ostro — przeciw terminowi „prześladowanie”. Oto jedna z nich:

Mówienie o prześladowaniu Kościoła w Polsce nie tylko nie jest prawdziwe obecnie, ale nie było prawdziwe także w okresie stalinowskim, który wszyscy uznajemy za ponury rozdział powojennej historii Polski (żyłem wtedy w Polsce). Można natomiast mówić o postawieniu zasady rozdziału kościoła od państwa.

Kościół w Polsce spełnia rolę wsteczną, przeciwstawiając się koniecznym i słusznym reformom społecznym..., pretenduje do roli przywódcy opozycji i częściowo tę rolę spełnia... trudno zaprzeczyć fakt ciągłej ingerencji kościoła w sprawy nie mające nic wspólnego z religią. W tych warunkach trudno się dziwić, iż państwo stara się krępować poczynania kościoła. Mówię o tym bez żadnej sympatii wobec rządu komunistycznego.



*Rola Kościoła w oporze przeciw sowietyzacji  
i jego polityka wobec komunistycznych rządów*

Przytłaczająca większość (26 z 37 odpowiedzi) uznaje tę rolę za „decydującą”, „doniosłą”, „dominującą”, „omalże nie dziejową”, „najpoważniejszą”, „bardzo wielką”, „ogromną” lub co najmniej „dużą”. Kościół jest tu „ostoją”, „jedynym wyraźnym przeciwnikiem systemu rządzącego”, „ostatnim bastionem wolności” i „niezależnej myśli”, „jedyną instytucją tolerowaną, choć szykanowaną, z którą władze komunistyczne muszą się liczyć i z którą indentyfikuje się ogół ludności w oporze przeciw-sowietyzacji”...

Nieznaczną mniejszość, która nie podpisuje się pod tymi sądami, robi to z różnorodnych pobudek. Kilka głosów katolickich kładzie nacisk na apolityczność Kościoła, jak np.:

Kościół w Polsce spełnia jedynie misję nałożoną przez Zbawiciela... naucza, uświęca i prowadzi do bram wieczności... Jeżeli chodzi o politykę, to stoi jak najbardziej na uboczu. Wszelkie próby wykorzystywania pracy Kościoła dla celów politycznych są krzywdą dla Kościoła.

Inne głosy przyznają tylko „pewną” rolę, jeden stwierdza, że rola ta była „większa na początku okupacji”, jak autor nazywa rządy komunistyczne, jeden uważa termin „sowietyzacja” za „anachronizm” po r. 1956 i sądzi, że „Kościół niepotrzebnie tworzy i zaostrza konflikty”. Całkowicie odosobnione stanowisko krytyczne zajmuje w swym szkicu Józef Mackiewicz.

Zaledwie 10 osób dostrzega w tej politycznej roli Kościoła niebezpieczeństwa i skutki ujemne: „motywnym praktyk religijnych może się stać polityka”, „w gorące ciągłej walki wzmaga się nietolerancja — nierzadkie wypadki szykanowania niewierzących przez katolików”, „W obronie religii Kościół walczy z komunizmem, ale niezawsze chodzi tu o wiarę. Stąd niebezpieczeństwo, że kiedy braknie komunistów, wiary prawdziwej niewiele pozostanie” (zdaniem jednego uczestnika jest to dla religijności niebezpieczeństwo tylko „teoretyczne”, gdyż i tak zawsze była ona „polsko-narodowego typu”).

Polityka Kościoła spotyka się z pełną aprobatą („właściwa”, „właściwa i godna”, „Wydaje mi się zjawiskiem opatrnościowym, że na czele Kościoła w Polsce stoi tak wybitna i mądra indywidualność...”) 16 spośród 33 odpowiadających na to pytanie. 3 głosy uważają ją za zbyt ugodową, „raczej ugodową” lub „ugodową — na mój osobisty gust... ale ja nie jestem dobrym politykiem, jestem raczej rewolucjonista — z temperamentu...”, 6

skłania się ku sądowi, że jest zbyt nieprzejednana, 1 zarzuca jej „niekonsekwencję”, pozostałe poprzestają na uwagach w rodzaju: „Sąd mój byłby tu zmienny, zależnie od specyficznej sytuacji”, „przyszłość pokaże”, „Nie wiem. Myślę, że Kościół jest dobrym dyplomata”, „Nie można mówić o polityce Kościoła... politykę prowadzi komuniści, którzy mają pełnię władzy — Kościół jedynie stara się trwać...”.

*Powiązanie z patriotyzmem*

34 odpowiedzi. Bezwzględnie dodatnie zjawisko widzi w tym powiązaniu 8 osób. „Te elementy” — pisze jedna z nich — „są tak mocno powiązane u nas, że przypominają jedną tkaninę. Wydłubywanie nici i zastępowanie postaw może doprowadzić do jej zniszczenia. Myślę jednak, że tkanina przetrzyma pobożne palce”. Zdaniem 4 osób, przeważają skutki dodatnie. Tu zaliczam następującą odpowiedź, godną przytoczenia:

Dla Kościoła jest to ujemne z punktu widzenia religijnego, dodatnie z punktu widzenia praktycznego. Ludzie powinni... wierzyć i praktykować bez względu na to, że są Polakami. Natomiast nie jest obojętne dla Kościoła, że naród 30-milionowy popiera Kościół, choć uzależnia to poparcie od zbieżności celów Kościoła z polskimi celami... Choć w młodości byłem niechętny Kościołowi, a i dziś może bym był, gdyby nie to, że uważam Kościół za antykomunistyczny bastion, nie mogę nie przyznać, że związanie polskości z Kościołem od początków naszej... historii po chwilę obecną jest *na ogół* dla tej polskości korzystne.

Według 3 osób, skutki ujemne (nietolerancja, „spłylenie istoty religii”, „związek z nacjonalizmem... szczególnie ścisły w okresie międzywojennym, miał ogólne ujemne znaczenie dla Polski”, „przyczynia się do alienacji nie-katolików”) górują nad dodatnimi (katolicyzm podtrzymuje i wzmaga postawę patriotyczną). 6 uczestników widzi przede wszystkim skutki ujemne. Tu wysuwa się też argumenty historyczne w rodzaju: „Wyprawa Sobieskiego pod Wiedeń była wielkim błędem politycznym, bo Turcja była naturalnym sprzymierzeńcem Polski przeciw Rosji”, „Rzym zawsze stawiał na potęgę niemiecką”, „wysunięcie głupich, rozpustnych... katolickich Sasów na tron Polski”, „Indyferentne zachowanie się... Piusa XII w czasie wojny”, „haniebne wyniszczenie Arian”, „było ze szkodą dla Polski jako państwa wielonarodowościowego...”. Zdaniem autora jednej z ciekawszych odpowiedzi powiązanie z nacjonalizmem

na pewno nie jest korzystne ani dla Kościoła, ani dla nacjonalizmu. Nasz katolicyzm ucierpiał wiele na tej koniecznej przez długie lata



filiacji czy unii. Równanie Polak-katolik wyrządziło krzywdę religii, sprawiło, że katolicyzm polski stoczył się w ogromnej mierze w obrzędowość, że zabrakło u nas wszelkiej poważnej myśli religijnej, wszelkiej poważnej dyskusji na tematy religijne. Dopiero dzisiaj, pod naciskiem ducha czasów i wyzwania ateizmu katolicyzm polski zdobywa się na inicjatywy światłe, jak „Tygodnik Powszechny”, jak „Znak” czy „Więź”. Zaczyna myśleć, zaczyna krytykować. Dopuszcza krytykę. Zaczyna iść śladami oświeconego katolicyzmu francuskiego... Jest wielką szkodą, że na emigracji nie toczy się dyskusja na tematy religii... Mamy po temu wszelkie warunki. Ale emigracja umysłowo zakrzepła na dawnych pozycjach myślowych: wciąż jeszcze przemawia do niej hasło: „świętości nie szargać”.

9 odpowiedzi stoi na stanowisku jak gdyby równowagi pomiędzy dodatnimi i ujemnymi stronami dyskutowanego zjawiska. Najciekawszą z nich przytaczam:

...Zlanie się katolicyzmu z polskością stanowi fakt specyficzny naszej historii. W przeciwieństwie do innych narodów, Kościół u nas nie zżył się ani z jednym ustrojem... ani... z jedną warstwą... zżył się po prostu i bezpośrednio z narodem...

To życie się Kościoła z narodem nie oznacza wcale, że uważało się za dobrego Polaka tylko katolika. Nie, ale ponieważ ogromna większość narodu była katolicka, dlatego utarło się, więcej poza naszymi granicami niż u nas, że Polak, to katolik.

Niektórzy dziś ironizują lub nawet oburzają się na ten fakt, ale obiektywnie musimy stwierdzić, że przyczynił się, i to w sposób wybitny, do scalenia naszej świadomości narodowej i do przetrwania niejednej tragedii, bez utraty poczucia narodowego. Fakt ten odgrywa i dzisiaj ogromną rolę w zmaganiach się z importowanym komunizmem...

Jest rzeczą jasną, że pierwszym źródłem cech charakterystycznych naszego polskiego katolicyzmu jest nasz charakter narodowy i temperament słowiański. Ale tak jest wszędzie. Kościół wchodzi w społeczność ludzką i chociaż jest powszechny, przybiera wszędzie partokularne cechy środowiska. Nie będę się rozwodził na temat wychowawczej roli Kościoła w Polsce, zwrócę tylko uwagę na pewne cienie w strukturze naszej wiary, które, o ile się nie mylę, wynikają także ze zbyt silnego powiązania polskość z wiarą. Kler u nas był jednym z głównych czynników patriotyzmu, dlatego wiara nasza często opierała się więcej na tradycji narodowej, niż na osobistym jej przeżyciu... nabrała za dużo cech sentymentalnych i folklorystycznych. Szczerza i żywiołowa, jak każdy sentyment, była intelektualnie płytka, naukowo nieugruntowana i teologicznie trochę niedorozwinięta.

Nasz emigrant nie-inteligent, chociaż w obcym kraju znajdował się często w środowisku obojętnym lub nawet wrogim Kościołowi, sam pozostał wierny. Nie potrafił jednak przekazać swej wiary dzieciom, urodzonym już na emigracji, zabrakło mu do tego nie dobrej woli, ale intelektualnej podbudowy... Tragizm tej sytuacji można przede wszystkim obserwować w Danii, gdzie stara emigracja... pozostała... wierna Kościołowi, nie potrafiła jednak swej wiary przekazać. Braku duszpasterza polskiego nie umieli zastąpić liczni księża innej narodowości. Zbytne „polonizowanie” wiary okazało się zgubne dla niej samej.

Zbyttna tradycyjność i brak głębszego przemyślenia problemu wia-

ry okazały się jeszcze zgubniejsze dla inteligencji. Człowiek niewykształcony nie szuka motywów racjonalnych, ani swej wiary, ani swej niewiary. Jedna i druga są dla niego opcją wynikającą z jakiegoś życiowego przeświadczenia, tradycji lub wpływów środowiska. Mentalność inteligenta jest więcej niezależna od środowiska, bardziej indywidualistyczna i krytyczna. Inteligent, nieprzyzwyczajony od młodości do zdrowego i krytycznego podejścia do wiary, na ogół traci ją bardzo szybko!...

Krytykuje się czasem Kościół polski za to, że wychował zbyt fideistycznie naród. Bezgraniczne zaufanie w cudowne interwencje Boże nie wyrobiło w nas solidności w pracy osobistej i odpowiedzialności za nasze losy. W tragicznych sytuacjach dziejowych ten fideizm dawał nam dużo optymizmu i bronił przed załamaniem się — ale w normalnych warunkach lepiej by było, gdyby nam częściej mówiono o tym, że do bezgranicznej ufności w pomoc Bożą ma tylko ten prawo, który robi wszystko co do niego należy...

4 wreszcie odpowiedzi robią ostre rozróżnienie pomiędzy patriotyzmem a nacjonalizmem, aprobując związek z pierwszym, ganiąc — z drugim.

#### *Katolicyzm polski na cenzurowanym*

Z ujemnym sądem o katolicyzmie polskim zgadza się bez zastrzeżeń 10 osób, w tym tylko dwie, których postawę określiłem jako wyznawczą. Z różnorodnymi zastrzeżeniami i złagodzeniami ujemny sąd w zasadzie potwierdza dalszych 17 osób, w tym aż 11 o postawie wyznawczej.

Przykłady zastrzeżeń, złagodzeń i usprawiedliwień: „Tak. Jest płytki, sentymentalny, zacofany, ale to dobrze... Wystarczy, jeśli przywódcy narodowi będą bardziej uświadomieni” — „był zawsze oparty na ślepej wierze, na obrzędowości, na przywiązaniu uczuciowym, w większości wypadków bez żadnego pogłębienia rozumowego. Dzisiaj katolicy rozumieją potrzebę tego pogłębienia, ale jest ono systematycznie utrudniane, często uniemożliwiane” — „Na pewno nie jesteśmy głębocy w rozmyśleniach... niewielu z nas przebrnie przez „Sumę”... nie potrafimy się skupić... — „Niestety, wszystkie te przymiotniki dobrze określają tradycyjny katolicyzm polski. Są oczywiście jednostki i środowiska, do których nie dałyby się zastosować”. — „stoi wyżej od innych katolicyzmów. Owszem, jest często płytki, sentymentalny, powierzchny, ale — powiedzmy — hiszpański czy włoski są bardziej (takie), a nawet często zacofane...” — „My jesteśmy na ogół sentymentalni i niebardzo filozofujemy, bo życie zmusza nas do posługiwania się instynktem raczej niż wyrachowaniem — bez tego może byśmy przestali, w naszych warunkach geograficz-



nych, być narodem" — „Taki jest polski katolicyzm, jaki jest nasz charakter narodowy... Jeśli nasz katolicyzm jest powierzchowny, to jakże powierzchowna jest polska myśl laicka!" — „jest i druga strona medalu, którą zauważyłem np. w miesięczniku „Więź" o nadzwyczajnie wysokim poziomie" — „To że katolicyzm polski jest na ogół płytki, sentymentalny i td... jest dla mnie faktem korzystnym... dla polskości, która jest w istocie jedyną, ale bardzo silną religią Polaków... Żeby uczynić katolicyzm polski głębokim, racjonalnym i intelektualnym, trzeba by zaczynać od początku, i w interesie Kościoła, nie naszym".

Nie zgadza się z ujemnym sądem 12 osób, w tym połowa o postawie wyznawczej, a reszta silnie związana z katolicyzmem. Przykładowe uzasadnienia: „Kto zna inne kraje, może stwierdzić, że tak głębokiej wiary jak w Polsce nie znajdzie w żadnym kraju katolickim, może w Irlandii" — „Przeciętny katolik polski w porównaniu z przeciętnym katolikiem na Zachodzie wyszedłby całkiem obronną ręką, jeśli chodzi o jego pojęcia ogólne o religii. Jeśli chodzi o praktykę religijną... nie stoi pod tym względem gorzej od innych narodowości... Jeżeli chodzi o głębsze życie religijne, którego brak się zauważa, to objawia się to przede wszystkim w bardzo rzadkim przystępowaniu do sakramentów... Mówi się, że katolicyzm polski nie jest dostatecznie intelektualny. Wiara nie może być w ogóle intelektualna, jest to mylne użycie terminu. Przypuszczam... iż chodzi o to, że katolik polski (nie polski też!) nie ma na ogół głębszego przygotowania zarówno dogmatycznego jak i moralnego..." — „Wszędzie są nierówności — płycizna i wyżyny. I czym je mierzyć: ilością literatury, nabożeństw, rozdanych komunikantów, powołań kapłańskich? Bóg liczy wysiłki i intencje, a nie cyfry i osiągnięcia".

Jedną wreszcie odpowiedź trudno sklasyfikować, gdyż przedstawia po równi obie strony medalu. Czytamy tam np.: „Nie można oskarżać chłopca polskiego o powierzchowność, bo żyje on dosłownie rytmem liturgii Kościoła", a również: „Zdumiewający jest fakt, że w ciągu tysiąca lat tak mało katolicy polscy wnieśli do nauki Kościoła, do teologii...".

Pytanie o kult maryjny w Polsce — echo poprzedniego, ogólniej ujętego — przyniosło 27 odpowiedzi, z których nieco więcej niż połowa (15) przeczy, jakoby przybrał on przesadne rozmiary.

„Znak", „Pax", intelektualiści katolicy w kraju

W 31 odpowiedziach na 8 pytanie trzeciego działu niespodzianką — przykrą, przynajmniej dla mnie — jest znaczna ilość

odpowiedzi (11) nie rozróżniających pomiędzy „Pax"em a „Znakiem" i bardzo krytycznych, jeśli nie wręcz potępiających obie organizacje na równi („wtyczki komunistyczne", „agentury polityki reżymowej", „podjudzają wiernych przeciw duchowieństwu", „służą PZPR jako alibi i piąta kolumna w polityce zagranicznej" i td., czasem jeszcze brutalniej).

pozytywną — choćby z zastrzeżeniami — ocenę „Znaku" zawiera zaledwie 7 odpowiedzi. Z nich 4 wyraźnie odcinają się od „Pax"u, którego działalność uważają za szkodliwą lub co najmniej „zapłaconą zbyt drogo".

Pozostałe odpowiedzi są albo niejasne lub niezdecydowane („nie wiem"), albo też odznaczają się odcieniami, które nie pozwalają ich zaliczyć do powyżej wyliczonych grup. W tych odpowiedziach jeszcze 6 zawiera negatywną ocenę „Pax"u, tak że w sumie występuje ona w 21 odpowiedziach.

Kilka wyjątków z tych trudnych do sklasyfikowania odpowiedzi: (Rola polityczna „Znaku") „faktycznie znikoma, choć dla wielu Polaków ma poważne znaczenie moralne. Komuniści tolerują istnienie tej grupy ze względów czysto propagandowych" — „Pomimo 'kolaboranckiego' charakteru niektórych z tych organizacji, odgrywają one... pozytywną rolę polityczną. Polega ona, jeśli nie na stworzeniu platformy dla opozycji, to przynajmniej na ułatwieniu dyskusji" — „Tak 'Znak' jak i nawet 'Pax' odgrywają rolę mieszane, nie tylko negatywne, ale i czasami pozytywne".

Z zaliczonych już wyżej do pro-„Znakowych" odpowiedzi warto zacytować dwie:

Rola „Znaku" jest pozytywna. Można mieć np. wątpliwości co do roli jego delegacji w sejmie, ale wystarczy pomyśleć o tym, czym byłby Najwyższy Sowiet, gdyby miał ekwiwalent posłów „Znaku".

„Pax", to w ogóle inna sprawa. Jego imperium ekonomiczne, to tryumf polskiej „free enterprise", który można porównać ze stworzeniem Gdyni. Ma też i „Pax" pewne zasługi w obronie wolności umysłu... Ale na ogół „Pax" jest tworem godnym B. Piaseckiego, którego wybrał sobie gen. Sjerow na narzędzie NKWD w Polsce.



„Znak"... jest organizacją prawdziwie katolicką, a nie pseudo-katolicką jak „Pax"... Istnienie „Paxu" w ogóle jest szkodliwe. Wprowadza zamieszanie w pojęciach w Polsce i za granicą i stanowi wyłom w jednolitym froncie społeczeństwa... Nie uważam przy tym ani B. Piaseckiego, ani ludzi wokół niego zebranych... za zdrajców i oportunistów. Jest to człowiek zadufany w sobie, któremu się wydaje, że dużo zdziałać można pozorną współpracą i infiltracją potężniejszego przeciwnika... (co) w stosunku do komunizmu jest śmiesznie naiwne.

Zaledwie 11 osób podjęło się oceny udziału intelektualistów



katolickich w w życiu umysłowym dzisiejszej Polski. Z nich 4 przypisują im poważną rolę („wyróżniają się zdolnościami i uczciwością postawy”, „wiodą prym w najrozmaitszych pracach i dociekaniach naukowych”) pozostałe uważają ją za „niewielką”, „słabą”, „minimalną”. Ponadto 9 osób podkreśla, że udział ten jest „sztucznie zmniejszony” i że jest to „skutek szykan ze strony reżymu”. 17 osób przeprowadza porównanie z okresem międzywojennym, z czego 13 — na korzyść dzisiejszej literatury i prasy katolickiej.

### *Katolicki ruch umysłowy na emigracji*

Opinia jest niemal jednogłówna: „żywy ruch” nie istnieje. Zdanie to wyraża 25 uczestników, przeciwne — 4, przy czym jedna odpowiedź („Tak. Istnieje. Mamy gazety niedzielne.”) robi wrażenie ironicznej. 7 odpowiedzi nie zajmuje stanowiska, najczęściej tłumacząc się słabą znajomością życia emigracji (odpowiedzi z kraju lub od niedawnych przybyszów z kraju). Z odpowiedzi optymistycznych jedna tylko usiłuje dać jakieś uzasadnienie:

... istnieje duży ruch katolicki — polski. Prawda, że więcej patriotyczny, uczuciowy i praktyczny niż umysłowy, ale jest żywy. Kilkanaście polskich kościołów, kilkanaście pięknych domów katolickich polskich — mówię o samej Anglii — są organizacje młodzieży katolickiej, koła sodalicy. Jest instytucja wydawnicza „Veritas”, są pisma... miesięcznik „Sodalis Marianus”... jest pismem świętym, na poziomie światowym. Intelktualistów świeckich i duchownych jest wielu — wymienię choćby Jana Tokarskiego, świętego pisarza i znawcę tych zagadnień...

Przyczyny braku ożywienia na tym polu widzi się w „obojętności religijnej polskiej inteligencji emigracyjnej” lub nawet w „zupełnej obojętności emigrantów... w ogóle wobec jakiegokolwiek bądź umysłowego ruchu”, w bierności, konserwatyzmie, w „braku pieniędzy”, w „starzeniu się i wymieraniu”, w „wymykaniu się młodzieży spod wpływów starszych” i „szybkim wsiąkaniu jej w obce środowiska”, w zmaterializowaniu emigracji („Emigracja dorabia się... Auta mają prawie wszyscy... a o pismach katolickich ani słyhu”, emigracja w ogromnej większości jest „szarą masą zwykłych zjadaczy chleba”, po których nie można „spodziewać się zainteresowania kwestiami filozoficzno-religijnymi”), w tym, że „emigracja koncentruje swą uwagę na polityce i patrzy na katolicyzm pod tym kątem widzenia”. Por. też odpowiedzi Miłosza i Gieratowej.

Z uwag na marginesie pytania wyróżniają się następujące:

„Znak” (miesięcznik) mogą czytać księża i absolwenci wydziału filozoficznego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i inteligencja katolicka na podobnym poziomie... Tego rodzaju publiczności na emigracji w tej ilości nie ma... Nasza inteligencja starej daty na emigracji jest „tradycyjnie katolicka”, ale „Znaku” czytać nie będzie, bo skąd jej do problemów filozoficznych. „Kulturę” paryską mogą czytać i wierzący, i niewierzący. Przykre to zjawisko, gdy wierzący zmuszają redakcję „Kultury” do pisania o religii i soborze, a nawet grożą bojkotem. Jest to nieporozumienie, ale winę ponoszą niecierpliwie katolicy, którym się zdaje, że „Kultura” może, ale nie chce pisać o tych sprawach. Dramat polega na tym, że o problemach religijnych mogą pisać tylko wierzący dla wierzących... Dla niewierzących to, co się pisze o tych sprawach, to niezrozumiały bełkot, bigoteria i przesady, zaprzeczenie racjonalizmu i inteligencji... Zainteresowania niewierzącego mogą zaciekawić katolika, ale niewierzący będzie czytał (nawet) Bernanosa i Mertona z politowaniem”.

### *Narodowa rola Kościoła na emigracji*

Duchowieństwo polskie na emigracji może być słusznie dumne z tego małego „plebiscytu”. 23 głosy przyznają mu wielką rolę („jest jednym z głównych czynników łączących”, „zasadnicza rola”, „przyczynia się — to za mało”, „Sądząc z sytuacji w Ameryce... jest ostoją narodowości wśród emigrantów”, „Z chwilą gdy nasi mężowie stanu na emigracji popełnili polityczne samobójstwo dopuszczając do rozłamu na stronnictwo Zamku i stronnictwo Rady Trzech, Kościół stał się *jedynym* czynnikiem utrzymującym w spoiści polskie grupy emigracyjne... Zjawiskiem dodatnim jest ściśle przestrzegana przez księży neutralność polityczna”, „Poza bardzo rzadkimi wyjątkami życie polskich skupisk emigracyjnych organizuje się koło duszpasterstwa polskiego”, „Jedynie szkoły polskie, jak np. Pitsford i Fawley Court w Anglii zachowały się dzięki staraniom władz duchownych, jakkolwiek władze cywilne miały większe możliwości ku temu...”). Dalszych 6 głosów ocenia tę rolę pozytywnie, choć z pewnymi zastrzeżeniami, jak np.: (odgrywa) „dość poważną rolę w sprawie oświaty i szkolnictwa na emigracji, ale poprzez dążenie do nadmiernej ingerencji w sprawy tego szkolnictwa i życia polonijnego w ogóle powoduje, że ludzie niezwiązani z Kościołem odchodzą od życia polonijnego...”, „W dużym stopniu... Ale ma to i złe strony, gdyż często parafia pamięta tylko o katechizmie i biblii, zapomina zaś, że jest jeszcze kultura polska i literatura ze sztuką” których parafie „nie popierają”, „... w bardzo wielkim stopniu, jeśli idzie o utrzymanie polskości... ale w stopniu o wiele za małym, jeśli idzie o ideę niepodległościową, postawę walki o wolność... Duchowieństwo... zbyt mały bierze udział w naszych politycznych akcjach niepodległościowych...”. Por. też



wypowiedzi Siemaszki i bezimienną z Paryża. Negatywna ocena pojawia się jedynie w 4 pozostałych odpowiedziach. Jedna dotyczy tylko duchowieństwa w Ameryce, któremu zarzuca „skasowanie nauczania języka polskiego w szkołach parafialnych” i „przemawianie po angielsku na polskich imprezach”. Jedna — dziwna — pochodzi od gorliwego katolika: „nie przyczynia się wcale, co zresztą nie jest rzeczą Kościoła, ani jego rolą”, jedna — która znów mówi tylko o Ameryce — poprzestaje na zauważeniu, że „wpływ Kościoła na emigrację należy do przeszłości”, ostatnią wreszcie warto przytoczyć:

Nie ulega wątpliwości, że konserwatywne ugrupowania katolickie są najlepiej i najmocniej zorganizowanymi totalnymi organizacjami na emigracji. Najcharakterystyczniejszym objawem tego jest narzucenie emigracji obchodu tysiąclecia Polski jako obchodu tysiąclecia Polski chrześcijańskiej.

Na marginesie pytania jedna z uczestniczek ankiety zauważa:

Biskup emigracji nie powinien być delegatem Prymasa Polski... Na emigracji mogą się zdarzyć manifestacje wrogie dla Moskwy i reżymu, a biskup może być niejako zmuszony brać w nich udział. Jeśli jest delegatem Prymasa, Prymas jest za niego odpowiedzialny, co pociąga za sobą komplikacje, mogące mieć czasem ciężkie następstwa.

#### *Poziom duchowieństwa, rola w Kościele powszechnym, wkład do soboru*

Znamienne dla pojęć niektórych Polaków o swobodzie dyskusji jest, że kilku uczestników ankiety pytanie to uznało za nieaktowne („Pozostawmy ocenę Ojcu św.”). Z pozostałych 8 wyraża się o poziomie duchowieństwa bardzo pochlebnie („nieprzeciętnie wysoki”, „nawet na wyższym poziomie niż inni duchowni”) 10 — z umiarkowanym krytycyzmem, jak np.: „Emigracyjne duchowieństwo — prócz młodych, wyświęconych na emigracji — uprawia raczej tradycyjny, XIX-wieczny katolicyzm... Mało widać zrozumienia dla ducha reform”, „Jeśli duchowieństwo polskie można by podzielić na trzy zasadnicze grupy: kapłanów-świętych, kapłanów-intelektualistów i kapłanów-budowniczych Kościoła, to tych ostatnich jest ogromna przewaga, tak w Kraju jak i na emigracji”, „poziom różny, przeważa średni”, „niezawsze dostatecznie wysoki”, „nie jest zły, ale oczywiście można i należy go podnosić”, 9 osób uchyla się od odpowiedzi, motywując to przeważnie tak jak jedna z uczestniczek: „Księża są bardzo różni. Są zdolni i mniej zdolni, są bardzo wykształceni i mniej wykształceni...”. Zdecydowanie niska ocena poziomu duchowie-

stwa polskiego występuje w 9 odpowiedziach, z których żadna nie reprezentuje postawy wyznawczej a większość pochodzi od niewierzących.

Niewiele było odpowiedzi na trudne pytanie o roli Kościoła polskiego w życiu Kościoła powszechnego. „Poważną” i „wybitną” przypisują mu tylko 3 odpowiedzi, w tym głos niemieckiego uczestnika ankiety, przy czym dwie widzą tę rolę nie tyle w „świadomym wkładzie”, ile w „wyjątkowej sytuacji politycznej” Kościoła za żelazną kurtyną. O małej lub raczej małej roli mówi 10 odpowiedzi. Niektóre z nich podkreślają, że rola jest „ograniczona, nie z własnej winy (Kościoła polskiego)”.

Wkład polskich ojców soborowych dodatnio („walny”, „bardzo wysoki — w stosunku do możliwości wypowiedzania się”, „niedoceniony, a raczej nie uwypuklony w sprawozdaniach soborowych”, „ważny i cenny”) ocenia 9 osób, a za nikłą, skromną, a nawet w dwu wypadkach szkodliwą („hamowali debaty nad najpotrzebniejszymi reformami”) uważa go 10. Jest również kilka wymownych odpowiedzi: „nie wiem”, „nie orientuję się”, „nie mam danych”, a i z wielu innych raczej nie przebija bliższa znajomość przebiegu debat soborowych. Nie odnosi się to jednak m.in. do dwu odpowiedzi, w których znajduje się nieco szersze omówienie i które tu przytaczam ze skrótami:

Udział naszych biskupów z Prymasem na czele zaważył na ogłoszeniu Maryi Matką Kościoła... Teologiczne naświetlenie... Ks. Prymasa zrobiło wielkie wrażenie... za „ważkie i oryginalne” uznano przemówienia księży biskupów Drzazgi, Klepacza, Wojtyły...

Ważnym wkładem do Soboru był w nim współudział laikatu w Polsce i w niektórych środowiskach na emigracji. Nie zauważyłam w żadnym innym kraju tak żywego zainteresowania i w żadnym kraju to zainteresowanie nie przybrało tylu indywidualnych form, jak u nas w Polsce, np. „Czuwania Soborowe”, dni pokuty, dobrowolne ofiary natury moralnej... Obaj Papieże odczuwali tę pomoc duchową i bardzo ją cenili...”



Episkopat polski nie należy do tych, które się wybijają na pierwsze miejsce w oryginalności i sile interwencji podczas sesji soborowych. Tym niemniej... wkład naszego episkopatu wzrastał z sesji na sesję. Zaczęło się raczej „cienko”, ale następne interwencje były znamienne...

#### *Czy życzyć sobie mianowania nowych kardynałów polskich?*

Pytanie wywołało spore zainteresowanie, większe niż wiele innych trzeciej części. Odpowiedzi — 44. 19 zdecydowanych „tak”, 8 „tak” pod pewnymi warunkami lub z pewnymi zastrze-



zeniami, 10 — „nie”, 7 — nie zajmujących wyraźnego stanowiska („sprawa czysto prestiżowa”, „najzupełniej nieistotne”, „najzupełniej obojętne”, „nie wiem”, „nie przywiązuję wagi” i tp.).

Przegląd argumentów i zastrzeżeń w postaci wyjątków z różnych odpowiedzi:

Polska... ma prawo nie do jednego, ale przynajmniej czterech kardynałów. (Ale) czynniki wrogie Kościołowi niewątpliwie starałyby się osłabić bezkonkurencyjne stanowisko obecnego Prymasa, przeciwstawiając mu ew. innych kardynałów i tworząc zawsze możliwe ko-  
terie...

Tak, ale kilku, nie jednego...

Jedyny kardynał-prymas jest symbolem władzy kościelnej i na nim skupia się całą uwagę: nie ma niebezpieczeństwa rozbieżności w autorytatywnych wypowiedziach.

Nie teraz. Jeden zwraca na siebie więcej oczy świata. No i uwięzić go trudniej.

Nie zapominajmy... że w Kościele jest dwieście kilkadziesiąt narodów, chociaż więc pod względem liczby kardynałów nie jesteśmy uprzywilejowani, to jednak nie należymy do pokrzywdzonych (bo kardynałów jest około 100 — przyp. M.C.).

Tak. Kardynał Prymas i tak zachowałby swe nadrzędne stanowisko ze względu na specjalne prerogatywy i mandaty Stolicy Świętej.

...pożądane byłoby mianowanie arcybiskupa Wojtyły na drugiego kardynała polskiego...

...pod warunkiem, że byłiby to ludzie, których kandydaturę wysunąłby kardynał Wyszyński...

Kardynał Wyszyński nie życzy sobie mianowania drugiego kardynała w Polsce ze względów aż nadto zrozumiałych. Nasze życzenia i ambicje w tej sprawie powinniśmy odłożyć na lepsze czasy...

Jakie motywy wpływają na dość systematyczne pomijanie nas w nominacjach, trudno jest powiedzieć. W każdym razie uważam

za fałszywą opinię tych, którzy twierdzą, że ksiądz kardynał Prymas nie chce mieć obok siebie konkurenta...

...stanowimy szokujący wyjątek! 40-milionowy naród, prawie w 90% katolicki... dający świadectwo swej wierności Kościołowi, zasługuje na więcej niż jednego kardynała... Należy sobie życzyć dwóch nowych — jednego w Krakowie, a drugiego we Wrocławiu...

### Wartość ankiety

Rozstając się z długą, chwilami znużoną, lecz zawsze bardzo dla mnie zajmującą pracą nad wynikami ankiety, chcę innym i sobie bodaj w niewielu słowach odpowiedzieć na pytanie, dlaczego warto ją było rozpisywać i omawiać.

Tu pora wrócić do opinii najsurowszego jej krytyka, Horzelskiego. O ile go dobrze rozumiem, spodziewał on się po ankiecie wyników ciekawych jedynie „literacko”. Myślę, że się nie zawiodł. Ankieta dla szeregu bardzo dobrych piór stała się okazją do poruszenia ważnych zagadnień, nieczęsto przez nich poruszanych i równie rzadko dotykanych w „Kulturze”. Już choćby dla szkiców Miłosza, Mackiewicza, Czapskiego, Jedlickiego i samego Horzelskiego — że wymienię tylko najbardziej znanych autorów — opłacało się ją ogłosić. Ogłoszone w całości lub w obszernych fragmentach odpowiedzi pod żadnym względem nie ustępują temu do czego przywykliśmy w „Kulturze” i — mimo wspólnej tematyki — są tak różnorodne, że o monotonii nie ma mowy. Składają się na numer w każdym razie nie mniej ciekawy od innych numerów miesięcznika.

Lecz co to znaczy „wartość literacka”? Czyżby w grę wchodziły tu tylko zalety kompozycji, stylu, języka? Nie podobna odłączać od nich walorów myślowych. Myśli najwybitniejszych uczestników ankiety — i tak samo wielu mniej wybitnych — nie opierają się co prawda na naukowych studiach przedmiotu, terminologia jest na ogół luźna, argumentacja szkicowa, lecz czy to pozbawia je wartości? Jednym z najbardziej rozpowszechnionych i najmniej uzasadnionych przesądów naszej epoki — napisał kiedyś Aldous Huxley — jest przekonanie, że ludzkość nie miała pojęcia o psychologii przed Freudem, Jungiem czy Adlerem (bardziej naukowo nastroszeni psychologowie naszych czasów i na te nazwiska się skrzywią). Szekspir czy Dostojewskij więcej wiedzieli o duszy ludzkiej od prof. Eysencka, choć nigdy nie slyszeeli o „16 zasadniczych czynnikach osobowości od A do Q4”. Balzac miał pojęcie o życiu społecznym nie gorsze od najbardziej



naukowych socjologów, a o zagadnieniach filozoficznych i religijnych nie definiujący ściśle swych terminów myśliciele pokroju Platona czy Pascala mówili rzeczy głębsze i ważniejsze od wszystkich przedstawicieli analitycznych i logiczno-pozytywistycznych szkół razem wziętych. Toutes proportions gardées, nie widzę powodu, dlaczego tyłu inteligentnych, wykształconych, samodzielnie myślących uczestników ankiety miałyby nie wygłosić wielu sądów prawdziwych, głębokich, oryginalnych, godnych uwagi i zastanowienia. Ostatecznie, nie tylko sądy udowodnione naukowo się liczą, w życiu osobistym i społecznym — nie wiem, czy „niestety” — najmniej może się nimi kierujemy.

Horzelski — nie bez słuszności — krytykuje kilka terminów kwestionariusza, np. „świat naszej kultury”. Mógłby dodać dwa tuziny innych: dechrystianizację, racjonalizm, materializm, antysemityzm, cenzurę, demoralizację, pacyfizm, proletariat, laicyzację, sowietyzację, patriotyzm, nacjonalizm i td., i td... Wszystko to są terminy bardzo luźne, które można rozmaicie rozumieć i rozmaicie też je rozumieli uczestnicy ankiety. Wiele różnic poglądów między nimi sprowadza się najwidoczniej do rozmaitego rozumienia danego terminu. Jednym z pożytków tego rodzaju ankiet jak omawiana jest właśnie to, że unaoczniają nam szeroką skalę możliwości rozumienia różnych obiegowych określeń i przez to zaostrzają nasze myślenie, choć oczywiście nie precyzują go tak dobrze jak mogłaby to zrobić rozprawka jakiegoś semantyka (której wszakże nikt poza specjalistami nie przeczyta).

Przyznałem już Horzelskiemu rację, że jako socjologiczny sondaż opinii ankiet ma wartość, nie powiem: żadną, ale — nikłą. Mimo niewątpliwej niereprezentacyjności grupy uczestników ankiety, pewne wnioski można z niej wyciągnąć ze sporym prawdopodobieństwem. Gdy np. w jakiejś kwestii opinia tej setki osób jest bliska jednomyślności, prawdopodobnie — może nie tak bardzo bliska lub może jeszcze trochę bliższa lecz nie odległa będzie opinia całej inteligencji polskiej na emigracji. Podobnie gdy jakaś opinia jest w ankiecie niemal całkowicie odosobniona, można przypuszczać, że i w szerszej grupie będzie ona opinią nieznacznej mniejszości. Jaka taka wiedza o tych dwu skrajnych typach opinii: „bardzo popularnych” i „heretyckich” jest niezmiernie ważna dla publicysty, a pod tym określeniem rozumiem tu każdego kto w ten czy inny sposób zajmuje się kształtowaniem opinii, a więc i redaktora, nauczyciela, wychowawcę, kaznodzieję... Jego obowiązkiem zawodowym powinno być szczególnie krytyczne spojrzenie na myśli pierwszego typu „doszukiwanie się ziarna prawdy” w myślach drugiego typu. Tylko w ten sposób społeczeństwo unika zastojów myślowych.

Oczywiście, olbrzymia większość myśli wypowiedzianych przez

uczestników ankiety nie jest żadną rewelacją, jest wiele banalnych, ułomnych, wadliwych, nieuzasadnionych, źle uzasadnionych. Każda jednak z osobna ma wartość (choćby jako bodziec) a razem, jako kolekcja, mają wartość jeszcze większą. To prawda, że 90, może 99% wypowiedzianych w ankiecie poglądów można znaleźć — i to lepiej wyrażonych, lepiej uzasadnionych, wmontowanych w systematyczne ujęcie — w publikacjach znawców poruszonych tu, dyletancko, tematów. Lecz próżno byłoby szukać takiego zbiorku myśli w równie poręcznej i łatwo dostępnej postaci. W prasie polskiej i obcej w ciągu ostatnich lat przeczytałem niezliczoną ilość artykułów na poszczególne tematy ankiety, na palcach jednak mógłbym policzyć takie, do których wypowiedzi ankietowe nie wniosłyby nic nowego, której by nie pogłębiły, jako że pogłębieniem każdej wypowiedzi jest wzięcie pod uwagę tych wszystkich punktów widzenia, jakie autorowi samemu nie przychodzą do głowy. A szczególną tu wartość mają myśli diametralnie przeciwne jego pogładowi, gdyż tylko przez przezwyciężenie ich staje się on dostatecznie poważny, przemyślany, przekonujący.

Na tym właśnie polega żywy ruch umysłowy, na którego brak uczestnicy ankiety tak gremialnie i słusznie utyskują. Jeśli przy swoich wszystkich niedostatkach ankiet bodaj trochę przyczyni się do ożywienia naszego myślenia o zagadnieniach religijnych, spełni swą rolę.

*Michał CHMIELOWIEC*



## Odpowiedzi ogólne

### Sytuacja religijna świata

Zadanie każdego pokolenia polega na przemyśleniu od nowa wszystkich problemów, które dręczą daną epokę. W czasach spokojnych przemyślenie problemu przeznaczenia człowieka, społeczności i całej ludzkości, jest udziałem niewielu myślicieli i uczonych. W czasach natomiast burzliwych, w okresie powszechnego kryzysu i zamętu, problem przeznaczenia ludzkości, staje się zagadnieniem centralnym, które obejmuje całe kręgi społeczności ludzkiej i wciąga całe masy do udziału przezwyciężenia zastanej sytuacji.

Współcześni filozofowie kultury i cywilizacji wskazują na przełomowy charakter czasów dzisiejszych, i jednogłośnie stwierdzają fakt powszechnego kryzysu całej kultury i cywilizacji zachodnio-europejskiej, cywilizacji, która wyrosła ze średniowiecznej kultury chrześcijańskiej. Szereg historyków przystąpiło do zbadania historycznych przyczyn współczesnego kryzysu, aby znaleźć odpowiedź na pytanie jak uwolnić ludzkość od niebezpieczeństwa powszechnej zagłady i jak wyzwolić poszczególnego człowieka z niedoli i smutnego losu jego bytowania na ziemi. W poznaniu jednak historycznych przyczyn współczesnego kryzysu szereg badaczy zjawisk historycznych wychodzi z perspektyw wprost kosmicznych. Typowym przykładem takiego podejścia do zagadnienia jest Arnold Toynbee, który zakres poznania historycznego określa następująco: „Historyczny punkt widzenia ukazuje nam fizyczny kosmos, poruszający się odśrodkowo w cztero-wymiarowej strukturze czaso-przestrzeni; ukazuje nam życie na naszej planecie poruszającej się ewolucyjnie w pięcio-wymiarowej strukturze życia-czasoprzestrzeni, oraz ukazuje nam dusze ludzkie podniesione do szóstego wymiaru przez dar Ducha, poruszające się albo ku swemu Stwórcy, albo od Niego”.

Pojęcie kryzysu jest pojęciem wieloznacznym i bardzo złożonym. Samo zaś zrozumienie kryzysu jest uzależnione od szeregu czynników psychicznych i doktrynalnych; między innymi od uprzednio zajętej postawy filozoficznej i życiowej. Pojęcie kryzysu może posiadać jedno z trzech następujących znaczeń: 1) kryzys może oznaczać całkowity upadek; 2) kryzys może oznaczać pewne chwilowe trudności; 3) kryzys może oznaczać stan wyjątkowy, przesilenie, stan poprzedzający zwrot ku dobremu lub złemu.

Powstaje pytanie: w jakim sensie możemy mówić o kryzysie współczesnej kultury i cywilizacji? Które z trzech wyżej wymienionych znaczeń, można odnieść do obecnej sytuacji świata?

Każde społeczeństwo jest żywym organizmem i dlatego wszystkie elementy życia społeczno-kulturalnego są ze sobą jak najbardziej powiązane i zespolone. Kryzys jednego elementu życia kulturalnego jest uzależniony od pozostałych czynników społeczno-twórczych.

Charakterystyczną właściwością współczesnej cywilizacji — jak zapewniają filozofowie kultury — jest jej powszechność i wszechstronność. Kryzys współczesnej cywilizacji obejmuje bowiem wszystkie dziedziny życia. A więc: kryzys języka i słowa, kryzys polityczny i ekonomiczny, sztuki i prawa, nauki i filozofii, wreszcie etyki i religii. Nas interesuje najbardziej ten ostatni. Zgodnie jednak z przyjętymi powszechnie założeniami współczesnej historiografii w analizie kryzysu religii wyjdziemy z przesłanek historycznych. Obecna bowiem sytuacja w świecie jest prostą konsekwencją rozwoju założeń teoretycznych i praktycznych ubiegłych stuleci.

Kryzys współczesnej cywilizacji, a tym samym kryzys samej religijności, wypływa — moim zdaniem — z historycznej formacji Kościoła Katolickiego. Bo czyż jedną z przyczyn tego kryzysu nie są jakieś wewnętrzne antynomie samego rozwoju religii katolickiej? Jakim więc był faktyczny rozwój Kościoła — Mistycznego Ciała Chrystusa — w historii?

Właściwie można mówić o dwóch skryształizowanych formacjach kulturalnych Kościoła. Pierwsza formacja obejmuje okres pierwszej gminy chrześcijańskiej, okres Ojców Kościoła i całe średniowiecze; w tym okresie panuje zdecydowanie tendencja *sakralizacji*. Druga formacja krystalizuje się już pod koniec średniowiecza, odkąd znacznie się rozwija aż po czasy dzisiejsze; ten okres formacji Kościoła cechuje przede wszystkim tendencja *sekularyzacji*. W napięciu między tendencją „sakralizacji” i „sekularyzacji” powstaje kryzys, stan wyjątkowy, z którego świat wychodzi albo wzbogacony albo zubożony.

Z chwilą gdy wiara chrześcijańska została uznana za oficjalną religię całego Imperium Rzymskiego, Kościół siłą rzeczy dąży do ustanowienia nowego porządku świata. Kiełkuje idea odno-



wienia Cesarstwa Rzymskiego, ale już jako *Sacrum Imperium Romanum*. Kościół staje się również spadkobiercą nauki i filozofii, ale stara się je podporządkować wymaganiom wiary i moralności chrześcijańskiej. Wreszcie hierarchia kościelna przejmuję przywileje dawnych kapłanów pogańskich, ale równocześnie podnosi uzyskane dostojeństwo autorytetem misji apostołskiej. Powstaje *Civitas Dei*, którego zadaniem jest *sakralizacja* porządku świata doczesnego, przez poddanie całej rzeczywistości stworzonej pod panowanie porządku świata nadprzyrodzonego. Potęgę Państwa Bożego stanowią trzy podstawowe siły, a mianowicie: studium, sacerdotium i imperium. Sakralizacja porządku doczesnego osiąga swoje szczyty, zwłaszcza w wieku XIII. I tak, w dziedzinie kulturalnej powstają Sumy teologiczne, zawierające całą ówczesną wiedzę ludzką w kategoriach teologicznych. Hierarchia kościelna rozstrzyga wszelkie sprawy sporne przy pomocy Prawa Kanonicznego. W końcu papieństwo, zwłaszcza za Innocentego III, Innocentego IV i Bonifacego VIII, decyduje o losach całych narodów i królestw.

Ze wzrostem jednakże procesu sakralizacyjnego można zauważyć powstawanie tendencji przeciwnej — *sekularyzację*, która usiłuje sprowadzić wszelkie wartości ogólnoludzkie do porządku wyłącznie doczesnego. Prąd sekularyzacyjny cechuje antropocentryzm, który swoje założenia ideologiczne otrzymuje od myślicieli Renesansu i Oświecenia. Pierwsze widome znaki procesu sekularyzacyjnego w dziedzinie życia kulturalnego można zaobserwować już w XIV-tym wieku, kiedy to następuje rozwój nauk przyrodniczych, dążących do całkowitej autonomii i niezależności do filozofii i teologii. W dziedzinie życia religijnego sekularyzacja następuje z ruchem protestanckim, żądającego absolutnej wolności w sprawach wiary i moralności. Wreszcie w dziedzinie życia politycznego budzi się świadomość odrębności narodowej i powstaje tendencja podporządkowania Kościoła państwu, w myśl zasady *cuius regio eius religio*. Jeżeli u podstaw średniowiecznej koncepcji Państwa Bożego stoi Św. Augustyn, Św. Tomasz i Innocenty III, to u podstaw nowożytnej koncepcji porządku świata stoją Descartes, Luter i Rousseau.

W wyniku napięcia między sakralizacją a sekularyzacją powstaje kryzys, który prowadzi życie duchowe Europy w chaos. W dziedzinie życia kulturalnego rodzi się konflikt między wiedzą i wiarą, który w XIX wieku prowadzi do powstawania z jednej strony scientyzmu, pozytywizmu i agnostycyzmu, a z drugiej strony fideizmu, sentymentalizmu i idealizmu. W dziedzinie życia religijnego wiara chrześcijańska ulega rozbiću na niezliczoną wprost liczbę kościołów, sekt i wyznań. Wreszcie w dziedzinie życia politycznego następuje upadek poszczególnych królestw i powstają różne nowe państwa. Marcel'owski „rozbitý świat” („Le monde cassé”) wyzwala potężny potencjał energetyczny, który nieustannie zagraża istnieniu całej ludzkości. W przeciągu niespełna dwustu lat ludzkość przeżywała dwie wielkie rewolucje i dwie wojny światowe. Nastąpił kryzys, jakiego nie zna pamięć

historyczna ludzkości. Duch ludzki opanował niedowład duchowy i umysłowy (Albert Schweitzer). Nastąpiło rozbitcie jedności kulturalnej Europy i utrata podstaw religijnych (Ch. Dawson). Współczesna ludzkość wkroczyła w stan rozkładu i zamętu, oraz kompletnego chaosu (Sorokin). Świat staje się „opowieścią idioty, pełną hałasu i wściekłości” — parafrazuje Szekspira W. Faulkner. Istnienie staje się absurdalne (A. Camus), a życie zamienia się w piekło (Sartre). Dostojewski, Kafka i Beckett ukazują nam wizję tego piekła — piekła wegetacji ludzkiej. Człowiek został zapędzony w ślepy zaułek, z którego nie widzi żadnego wyjścia. Piekło opisane przez Kafkę w opowiadaniu „Świat za drutami” stało się rzeczywistością za naszych dni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Los człowieka został z góry przesądzony; od wyroku nie ma odwołania. Bohater „Procesu” Kafki musi zginąć, a najgorsze to to, że nie wie i nie może się dowiedzieć dlaczego. Piekło współczesnej cywilizacji otrzymuje swoją teologię. *Teologia diaboli* zajmuje miejsce dotychczasowej teodycei, i ma usprawiedliwić istnienie zła na ziemi. *Iustificatio diaboli* staje się apologią wszelkiej zbrodni i proklamacją zła w każdej postaci: „Gdyby zło było możliwe Genet czyniłby zło aby być złym, ale ponieważ zło absolutne jest niemożliwe Genet będzie czynił zło aby zostać świętym” (Sartre). W ten sposób człowiek uległ pokusie osiągnięcia świętości bez Boga, o której mówił szatan do Iwana w powieści Dostojewskiego: „Według mnie nie trzeba nic burzyć, wystarczy zburzyć w ludzkości ideę Boga... Człowiek wzniesie się wówczas do boskiej, tytanicznej dumy i zjawi się człowiek-Bóg”. To co u Dostojewskiego było jeszcze tylko w strefie możliwości, u Fr. Nietzschego staje się rzeczywistością: „Gdzież jest Bóg?... powiem wam to! Zabiliśmy go — wy i ja! Wszyscy jesteście jego mordercami”. Zabijając w sobie Boga ludzkość jednak nie potrafiła usunąć szatana: „Mówiąc popularnie: Boga obaliliśmy, a diabła nie” (Nietzsche).

Ziemia jednak jest nie tylko miejscem potępienia, ale miejscem duchowego odrodzenia. Człowiek zstąpił na samo dno ludzkiego piekła, aby przekonać się że piekło jest niemożliwe i żeby napowrót zatęsknić za duchowym odrodzeniem. Cierpienie i doświadczenie zła jest ogromnym potencjałem energii ducha ludzkiego. Chrześcijaństwo „rozrosło się w latach prześladowań, w długim a bolesnym okresie rozkładu cywilizacji starożytnej” (Toynbee). Z dotychczasowego doświadczenia historycznego ludzkości można wnioskować, że nastąpi odrodzenie chrześcijaństwa: „Nawet gdyby cywilizacja nasza miała zginąć, przewidywać można że chrześcijaństwo nie tylko utrzyma się, ale i pogłębi. Wzrosnie także jego wpływ i powaga. Tak uczy historyczne doświadczenie” (Toynbee).

Pod wpływem cierpienia człowiek odzyskuje utraconą łaskę i dostępuje zbawienia. Człowiek bowiem jest „istotą, która żyje dzięki łasce i dąży do zbawienia” (Huizinga). W ciemnościach Wielkiego Piątku, jakie ogarnęły świat, dostrzegamy jasny promień Poranka Wielkanocnego. Sorokin ustala poszczególne etapy



na drodze odnowienia ludzkości, a mianowicie kryzys — doświadczenie — oczyszczenie — zmartwychwstanie. Książkę zatytułowaną: „The Crisis of Our Age” autor kończy następującymi uwagami: „Po destruktywnej fazie nastąpi faza konstruktywna. 'Atomizację' wartości zastąpi ich uniwersalizacja i 'absolutyzacja': pogoń za przyjemnością i zyskiem zastąpi poczucie obowiązku, rozwiązałość i swawolę obyczajów — świętość i sprawiedliwość, przymus i egoistyczny kontrakt — jeśli nie wszechogarniająca, ofiarna i wybacząca miłość; to przynajmniej zespół stosunków bardziej rodzinnych i altruistycznych. Oczyszczona i uszlachetniona społeczność zbuduje sobie nowy dom na fundamencie Absolutu, Boga, miłości, obowiązku, ofiary, łaski i sprawiedliwości... Społeczność i jednostki będą żyć na nowo bardziej w pokoju ze sobą, z swoimi przywódcami, ze światem i z Bogiem. W taki sam sposób rozpoczynała się faza Renesansu, ze swą długą perspektywą nowego twórczego życia. Taki był nieodmienny przebieg wielkich kryzysów w przeszłości. Taki też jest przebieg naszego własnego kryzysu. Nie ma innej możliwości... Ufajmy, iż będzie nam udzielona łaska zrozumienia i że obierzemy sobie, zanim nie będzie za późno, prawdziwą drogę — drogę, która nas nie będzie wiodła do śmierci, lecz do dalszego twórczego urzeczywistnienia jedyne go twórczego posłannictwa człowieka na tej ziemi: Benedictus qui venit in nomine Domini”.

W obecnym kryzysie przynajmniej jedno jest pewne — świat zmierza do jedności, zarówno politycznej, kulturalnej, jak i religijnej. Toynbee stawia nawet cyfrowe hipotezy odnośnie zjednoczenia świata: na rok 3000 przewiduje zwycięski odwet zgnębionych cywilizacji pozaeuropejskich; w roku 4000 dokonać się ma synteza wszystkich cywilizacji i kultur; wreszcie około roku 5000 ludzie zrozumieją, że jedność świata osiągnąć można w sferze religii, a nie techniki. Zjednoczenia świata pod względem religijnym ma dokonać chrześcijaństwo.

Już obecnie jesteśmy świadkami kiełkowania nowego porządku świata. Napięcie między sakralizacją a sekularyzacją ustępuje procesowi integracyjnemu. I tak, w dziedzinie życia kulturalnego zamiera konflikt między wiarą i wiedzą. Z jednej strony następuje odrodzenie metafizyki i teologii, które szukając wyjścia z impasu coraz więcej nawiązują do osiągnięć nauk szczegółowych. Z drugiej zaś strony, nauki szczegółowe, uświadamiając sobie niewystarczalność swoich założeń, coraz częściej zwracają się o pomoc do metafizyki i teologii, np. Teilhard de Chardin. Świat nauki kroczy ku nowej wspaniałej syntezy wiedzy i wiary. — Podobnie w dziedzinie życia religijnego następuje nowe odrodzenie. Chrześcijaństwo zrzuca się kierowania cywilizacją i rozwojem społeczeństwa (Chenu); swoją rolę ogranicza na wprowadzenie ewangelicznego kwasu do cywilizacji i struktur ludzkich społeczności. Następuje oczyszczenie właściwego posłannictwa Kościoła: „Prawdziwa wiedza odjęła charakter tajemniczy i sakralny zjawiskom natury; przyczyniła się ona do oczyszczenia wiary z różnych naleciałości, z pewnych przesądów, z

kompleksów strachu i niepewności” (Paweł VI). W ten sposób mogło nastąpić: nowe ożywienie kultu przez odrodzenie liturgii i większą znajomość Pisma Świętego; uaktywnienie laikatów przez uświadomienie sobie właściwej jego roli w Kościele; oraz pogłębienie ruchu ekumenicznego przez zrozumienie własnych błędów dokonanych w przeszłości. — Wreszcie w dziedzinie życia politycznego można zauważyć pewne zmiany świadczące o dążeniu całej ludzkości ku jedności, np. pomoc gospodarza krajom zacofanym gospodarczo, międzynarodowa współpraca w rozstrzyganiu problemów spornych między narodami i td.

W skali światowej zatem dokonuje się przewartościowanie wielu dotychczasowych pojęć i idei. Sakralizacja świata ustępuje idej konsekracji świata, polegającej po prostu na uświęcaniu człowieka i spraw ludzkich. Sekularyzacja z kolei zamienia się w inkarnację, oznaczającą wcielanie i realizowanie wszelkich wartości ogólnoludzkich.

A. WOŹNICKI



## Dla « dobra Kościoła » ?

Zabierając głos o „religii bez namaszczenia”, jak do tego namawia Ankieta „Kultury”, rozumiem to w sensie: bez faryzeizmu; bez lęku przed ściągnięciem brwi ze strony osób namaszczonych duchowną czy świecką predestynacją do przemawiania z religijnej czy patriotycznej *ex cathedra*.

Wydaje mi się, że aktualność zagadnienia dałaby się sprowadzić plastycznie do tego, co pospolicie ludzie mają na myśli gdy mówią: „Wszystko ma swoje granice”. — Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli Kościół w swoim stosunku „do świata współczesnego” (XIII schemat obrad Soboru) pewną granicę przekroczy — a czasem zdaje się, że zbliża się do niej fatalnie — światu istotnie grozić może... nie wiem czy de-chryścianizacja, zmierzch chrześcijaństwa (Co by stanowiło odpowiedź na pierwszy punkt pierwszego pytania ankiety) — natomiast de-katolizacja, zmierzch katolicyzmu. Bo wiara w Boga zapewne utrzyma się zawsze; ale autorytet Kościoła może być wstrząśnięty.

Widzialny Kościół Katolicki, jak każda instytucja przez ludzi w doczesnym świecie kierowana, miała w ciągu swej bez mała 2 tysiadczynej historii nie jedną kartę ciemną. Nie wyrzekł się też, nazwijmy to szczerze: jednej z najniemoralniejszych tez wygłoszonych kiedykolwiek przez człowieka, że „każda władza pochodzi od Boga”. Poszczególne fakty niesłusznej, niesprawiedliwej i niemoralnej praktyki i postawy papieskiego Rzymu na przestrzeni wieków, należą do historii powszechnej i są zbyt znane oczywiście, aby je tu przykładowo cytować. Bardzo liczne są może takie, których wykładnia wydaje się sporna, i sporną zostaje po dzień dzisiejszy. Także w historii Polski notujemy liczne interpretacje, które oceniają ujemnie rolę tej lub innej ingerencji Kościoła. Dodajmy, że nawet interpretowane przez polską historiografię pozytywnie, niezawsze i niekoniecznie pokrywały się z moralnością chrześcijańską. Tak np. w polityce wobec pogan, czy w sposobach zwalczania Kościoła Wschodniego, lub inowierców. W dawnych czasach wierzono, że za zerwanie za sprawą papieża

Eugeniusza IV zaprzysiężonego układu z sułtanem Muratem II, Bóg pokarał młodego króla śmiercią i klęską warneńską w 1444... W nowszej historii bądź z oburzeniem reagowano na zalecenia Grzegorza XVI z 1832, który upominał do posłuszeństwa wobec cesarskiej władzy Mikołaja I; bądź ze złości przyjmowano Breve tego samego papieża z 1842, w którym potępiał prześladowania rosyjskie. Sporny można mieć pogląd na stanowisko Leona XIII w okresie pruskiego „Kulturkampfu”, i t.d. i t.d. Aż do dzisiejszej dyskusji, czy Pius XII nie powinien był bardziej stanowczo wystąpić wobec zbrodni hitlerowskich?

Jest wiele przykładów których się używa, częściej nadużywa, dla podbudowania argumentów. Jak zawsze, przykłady ujemne łatwiej jest cytować niż dodatnie. Mógłbym je zilustrować i z własnych obserwacji i przeżyć jeżeli chodzi o, niestety, prawie notoryczną tendencję Kościoła „trzymania” raczej z silnymi tego świata, a w tej liczbie i z władzą, której „pochodzenie od Boga” ośmielam się poddać w wątpliwość.

Kardynał mediolański, Schuster, przemawiając do młodzieży faszystowskiej 26 lutego 1937 roku, mówił:

„... Bóg, który od najdawniejszych wieków przygotowywał, utworzył i chronił imperium Rzymskie, również Benito Mussoliniego, poprzez Jezusa Chrystusa, Syna Boga, Zbawiciela, obdarzył nagrodą która zbliża jego historyczną postać do wspaniałych duchów Augusta i Konstantyna... Po marszu na Rzym i po Pakcie Laterańskim... Bóg odpowiedział z nieba, otaczając pomocą Duce... etc.”.

W kilka lat później, gdy tenże Mussolini utracił władzę, i na Piazzale Loreto, nie tak bardzo odległym od Pałacu Arcybiskupiego w Mediolanie, wywieszony został razem z panią Clarettą Petacci i kilku towarzyszami wysoko nad motłochem, za nogi, głową w dół, jak krwawe tusze w sklepie rzeźnickim... — tenże kardynał zachował się (a śmiem to twierdzić jako świadek naoczny), inaczej niż Piłat. Nie ograniczył się bowiem tylko do umycia rąk, ale tegoż dnia zarzucił miasto drukowanymi ulotkami, wielbiącymi „zasługi kardynała” dla sprawy włoskiego Resistance (nb. w 90% złożonego z komunistów), która właśnie Mussoliniego powiesiła.

Zastanawia mnie, i zapewne nie mnie jednego, dlaczego pokłon „Złotemu Cielcowi” ma być czymś zdrożnym, a pokłon cielcowi władzy czymś zbożnym? Tym bardziej, gdy w praktyce kroczą one zazwyczaj w dosyć ściślej parze...

W kilka dni później, ten sam kardynał (przez żadną przecież instancję kościelną nigdy nie potępiony, a raczej wyniesiony później do wysokich wpływów), gdy grupa Polaków zwróciła się doń, aby zezwolił na uroczystą mszę św. w dniu 3-go Maja 1945 przed ołtarzem głównym katedry mediolańskiej — prośbę tę odrzucił. Zezwolił na mszę cichą i w najbardziej bocznej kapliczce.



Odmowę swą uzasadnił (dowiedziawszy się z jakiej strony pochodzi prośba), że byłaby to manifestacja wyzyskująca świątynię na rzecz polskiego *Governo-Londra*, w sporze z *Governo-Lublino*, a Kościół „nie powinien być wciągany do polityki”. Odpowiedź zatem klasyczna.

Prośba garstki emigrantów zabłąkanych w obcym mieście, to naturalnie nie „prośba” króla w złotej koronie wjeżdżającego na czele hufców do zdobytego przezeń miasta. Do tej różnicy ludzie przyzwyczaili się od wieków, i od wieków chyłą przed nią kornie czoła, równie kornie wszelako wierząc od wieków, że gdy do bram Miasta zbliży się nie Król, lecz Wróg Boga na ziemi i Wróg każdej Wiary, to Kościół te bramy nakaze jednak zamknąć. Bo Kościół nie zamyka bram przed ludźmi i ich królami lecz — jak piszą obrońcy Inkwizycji św. — walczy tylko przeciwko Instytucjom opartym na błędzie.

Sceptycy byli, naturalnie, od zawsze innego zdania. Ale Kościół powszechny nie składa się, a tym bardziej nie opiera się na sceptykach.



„Obrona” Kościoła w kilku słowach, słusznie potraktowanaby została nie tylko przez Ojców i teologów, historyków i filozofów, ale przez przeciętnego czytelnika za naiwność godną pobłażliwego uśmiechu. Dzieło Kościoła w rozwoju naszej cywilizacji i kultury jest bowiem tak olbrzymie w każdej dziedzinie, że trudno sobie wyobrazić czym byłaby dziś ludzkość i podstawy jej moralności, gdyby nie Kościół i jego Nauka. Ta wielkość sprawiła, że odchylenia i błędy, i najgorsze nawet wypaczenia, *summa-summarum* wychodziły dziwnym czy umyślnym zrządzeniem boskim, ku korzyści i krzewieniu Prawdy.

Pobłażliwość leży w naturze człowieka, bo bez niej nie można by wychować dzieci na dorosłych ludzi. Cierpliwość i tolerancja są może bardziej wrodzone człowiekowi, niżby się to na pozór zdawać mogło. Stąd zapewne to głębokie wyrozumienie dla jawnych i ukrytych błędów Kościoła ze strony mas wierzących, nawet do tego wyrozumienia siłą nie zmuszanych. Parafiańskie: „I ksiądz jest tylko człowiekiem...” (wybaczające mu i młodą gospodynię, i żdzierstwa za śluby-chrzty-pogrzeby, i kłótnię o miedzę i inne grzechy powszednie, z których się przecie spowiada jak każdy) — rozciąga się niejako automatycznie na wybaczenie ludzkich słabostek świeckiej polityki i świeckiej dyplomacji Stolicy Apostolskiej.

Poza tym nie należy zapominać, o czym często zapomina się w programowych atakach na Kościół Katolicki, że „reformatorzy”, „heretycy”, „sekciarze” i inni odszczepieńcy, dopuszczali się czasem tylko mniejszych, ale czasem gorszych rzeczy niżli Kościół rzymski. Protestant William Cobett twierdzi np. że rewokując 39 artykuł Edyktu Reformacji z 1571, Elżbieta I angielska i jej lord Burleigh stracili w jednym roku więcej ludzi

Inkwizycja katolicka w ciągu trzech wieków. Markiz Pombal Sebastian José de Carvalho e Mello, minister Józefa I, wróg jezuitów, wolterianin, wolnomyśliciel, „przyjaciel prawdy i oświecenia”, skazał w Lizbonie za konspirację Duque de Abeiro w roku 1759, na niemniejszą karę jak: łamanie kołem, wyklucie oczu, spalenie żywcem i wrzucenie popiołów do morza... Nie, reformatorzy wszelkich odłamów w żadnym wypadku nie byli „lepsi”, i wiedza o tym rodziła nastrój tolerancji także dla — nietolerancji i fanatyzmu Kościoła rzymskiego.

Wszędzie są tylko ludzie.

Poza tym nawiasem w stosunku do ludzi, do człowieka, jego spraw i jego kultury, istnieje przecież nadrzędna rola Kościoła w jego stosunku do Boga, i pośrednictwa pomiędzy Ziemią i Niebem. Ta strona główna, strona Wiary w boskie posłannictwo Kościoła (choć cel nie uświęca środków), stanowiła też główny argument dla zgięcia kolana przed: „Dobrem Kościoła Powszechnego”, jego interesem. Co zresztą laik ma wiedzieć? U Mateusza (XXII, 21) czytamy odpowiedź Chrystusa daną faryzeuszom: „Redde Caesari quae sunt Caesaris, et quae sunt Dei Deo”. A laik, już z istoty swej notoryczna owieczka, nie jest powołany do komentowania, lecz do wierzenia. „Dla Dobra Kościoła” można więc nie tylko wiele wybaczyć ale, bywa, wiele uznać za słuszne. Spowity świętymi tajemnicami Kościół powiada do parafian — w przeniesieniu na wykładnię proboszcza: „Nie waszego to rozumu sprawa”. I słusznie: „Nie nam, grzesznym, o tym sądzić”. Co należy robić „dla Dobra Kościoła”, nie ludzie Kościołowi, lecz Kościół ludziom obwieszcza.

Stąd też, czasem z politycznym zgrzytem zębów, nawet z przykrym posmakiem podejrzenia, przecież bez ostatecznego buntu przyjmowała do wiadomości większość wiernych wiele z tych zaskakujących i na pozór niesprawiedliwych decyzji Stolicy Apostolskiej w jej postawie dziejowo-politycznej, oraz jej skłonność do kompromisów względem licznych, byle silnych władz świeckich. „Dla Dobra Kościoła”. Niech będzie.

Ale, dla Dobra Kompromisu?...



Świat, i my na nim, jesteśmy tak urządzeni że pojęcie: bez granic, nie przekracza wprawdzie naszej wiedzy, ale przekracza możliwość naszego pojmowania. U nas, na ziemi, wszystko ma swoje granice. Dlatego formuła kompromisu: dla „Dobra Kościoła”, nawet... ze szkodą Kościoła, tę granicę by przekraczała.

Gdybyśmy w sztuce Hochhuta „Der Stellvertreter” i we wszystkich zarzutach pod adresem papieża Piusa XII za jego zbyt łagodny stosunek do hitleryzmu, zechcieli zastąpić ten hitleryzm — komunizmem, to jakże w świetle takich zarzutów wyglądała by dopiero postać papieża Jana XXIII!...

Naturalnie, laicka większość dzisiejszego świata nie dopuszcza do takiego porównania. A nawet, jeżeli to czyni, to wynosi ko-



munizm znacznie wyżej pod względem moralno-ideowym od hitleryzmu, faszyzmu i t.d. Nie zmieni to wprawdzie faktu, że komuniści wymordowali wielokrotnie więcej ludzi niż hitlerowcy zdążyli to zrobić, ale dyskusja na ten temat sprowadzi nas znowu w płaszczyznę polityczno-laicką. My zaś mówimy o Kościele. A Kościół nie jest instytucją laicką, lecz duchowną. I nikt rozsądny nie może chyba kwestionować, że nie wróg ludzi na ziemi, lecz wróg Boga na ziemi, za głównego i za bardziej niebezpiecznego winien być uznawany. Nie wróg ciała, lecz duszy ludzkiej. Takich rzeczy uczy się już dzieci w początkowych szkółkach w godzinach religii.

Wprawdzie Hitler był też przeciwnikiem Kościoła, ograniczał go, i tysiące osób duchownych wtrącał do kacetów. Był strasznym zbrodniarzem, na miarę większą niż Herod, jeżeli chodzi o ilość wymordowanych dzieci żydowskich. Ale zniszczenie wszelkiej wiary w Boga, i każdej religii na globie ziemskim, nie stanowiło ani sztandarowego, ani nawet jednego z głównych punktów jego programu. Natomiast stanowiło i sztandarowy i jeden z głównych punktów programu światowego komunizmu, i stanowi po dzień dzisiejszy.

Lenin nazywał Boga (w liście do Gorkiego) „śmierdzącym padłem, który zaduchem swego rozkładu zatrąwa powietrze świata”... Lenin porównywał religię do „opium dla narodu”, czyli do najgorszej plagi. Dziś, laicy wszystkich krajów pocieszają się z nawrotu od „stalinizmu” do czystego „leninizmu”, który ma zapowiadać „ewolucję” ku lepszemu. Pozwólmy tej laickiej większości świata z tego się cieszyć, choć osobiście w tej ucieście nie biorę udziału. Ale dlaczego ma się cieszyć z tego Kościół katolicki? Z tego że w zwalczaniu religii zastosowano bardziej „postępowe” i bardziej skuteczne środki?

Kiedyś kpiono z tępoty Stalina, który miał zapytać: „Papież? A ileż papież ma dywizji?”... Bo dobry chrześcijanin wierzy w słowa Chrystusa, że Jego „królestwo nie jest z tego świata”. A papież jest Namiestnikiem Chrystusa. W tych słowach przebiega ta linia graniczna, której Stalin nie dostrzegał.

Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy Federalne, W. Brytania i t.d. i t.d. to wszystko są „królestwa z tego świata”. I po świeckiej, po laickiej stronie granicy leży to, gdy prezydenci z wyboru politycznego, Kennedy i Johnson, de Gaulle, czy kanclerz Erhardt, czy przedstawiciel koncernu „Kruppa”, czy wreszcie z bocznej linii królewska wnuczka bestialsko zamordowanego przez komunistów cesarza Wszechrosji, Elżbieta II, ze świecko pojmowanej „realnej polityki” ślą serdeczności, pozdrowienia i najlepsze życzenia wodzowi międzynarodowego komunizmu i ateizmu. Ale po innej, po wiążącej duchowo stronie leży, gdy to samo czyni Namiestnik Chrystusa. Nie chodzi tu więc o polityczną ocenę gestu, ale o sam fakt przekroczenia granicy dzielącej, której Jan XXIII zdaje się nie dostrzegał. Po raz pierwszy stajemy w obliczu aż tak rozciągle pojmowanego przez Stolicę Apostolską kompromisu dziejowego.

I tu dopiero rodzi się przygnębiająca wątpliwość, że może wszystko, i to co było, i wszystko to co jest, to — jak powiada punkt 4 pierwszego pytania ankiety — tylko „deklamacyjna fasada”?...

„Dla Dobra Kościoła”?

Czy dla Tego, że w wieku XX-tym ateistyczny komunizm stał się potęgą bardziej dominującą niż monarchie Świętego Przymierza wieku XIX-go?



Chruszczow powiedział w 1964 r. na zebraniu robotników węgierskiego kombinatu chemicznego:

„Jeżeli ktoś mnie uderzy w policzek, to trzasnę go na odlew tak, aż mu się głowa zakiwa na szyi! To jest różnica pomiędzy mną i Jezusem Chrystusem”.

Papież Jan XXIII okazał doprawdy wiele dobrociłości wymieniając z nim uprzejme depeşe, przyjmując na ojcowskiej audiencji jego zięcia, Adżubeja, komiwojażera propagandy komunistycznej w świecie. Katolicka propaganda tego sposobu postępowania papieża, powołuje się na ewangeliczne posłannictwo Kościoła nawracania grzeszników z ich błędnej drogi, i otwierania na ościerz serca i wrót dla największych nawet zbrodniarzy. Skoro jednak powrót na łono Sprawiedliwości co większego złooczyńcy, szczególnie radować ma serca chrześcijańskie — zaś Chruszczow z jego otoczeniem uznani zostali, powiedzmy przykładowo: tylko za drobnych kieszonkowców w zestawieniu z hitlerowskimi złoczyńcami — to bardziej jeszcze o nawrócenie tych ostatnich zabiegać był winien Kościół w swym posłannictwie. Zastanawia przeto, dlaczego ta sama propaganda katolicka nie tylko nie powołuje się *dziś* na analogiczne dobrotliwe gesty, a wręcz przeciwnie zapiera się ich, i usilnie stara się podkreślić tylko nieprzejednane wobec hitleryzmu fragmenty z postawy Kościoła?

Oczywiście, pytanie jest retoryczne. Jesteśmy bowiem na każdym dziś kroku świadkami racji, które wychodzą z elastycznie pojętego założenia: *Comparaison n'est pas raison*. Świat, powiadają, idzie naprzód, *postępuje*. Od tego są zatem „postępowcy” żeby wiedzieli co robić. Według nich nie pokój jest dla ludzi, lecz ludzie dla pokoju. I Kościół winien również przejść na status: „postępowy”...

Współczesny postęp wytworzył w czwartym co do wielkości mieście, w środku Europy, warunki bytu w których możliwość nie wierzyliby zacofońcy wstecznej epoki. Przez centrum miasta przeprowadzono mur. Z tego muru strzela się i zabija, np. osiemnastoletnią dziewczynę za to, że chciała odwiedzić swoją matkę o kilka ulic po drugiej jego stronie. Strzela się do młodych i starych, zabija kobiety i dzieci, mieszkańców tego samego miasta, jak dotychczas około 200 osób; podobnie jak się strzela i zabija więźniów uciekających poprzez normalny mur więzienny.



Dzieje się to w okresie tak ochranianego pokoju i „pokojujowej wymiany kulturalnej”. Więc życie postępuje naprzód, i następuje niebываła w dziejach ewolucja w dziedzinie wynalazczości i pomysłów wydostania się na wolność. Buduje się lochy pod kamienicami miasta, przeprowadza tam elektryczność, zakłada windy, aby ułatwić ucieczkę kobietom i dzieciom. Buduje domowym sposobem wozy pancerne do przełamania bariery na ulicy. Konstruuje specjalne podwozia samochodów dla chowania w nich ludzi; odporne na kule bagażniki. Ucieka na rozpedzonych lokomotywach... Następuje ewolucja przestępstw, których nie mogły przewidzieć wsteczne kodeksy karne: mąż zdradza żonę, po to aby wyszukać po wolnej stronie jej sobowtóra, i wyłudziwszy od kochanki przepustkę, zostawia ją za murem więziennym, uprowadzając własną żonę na wolność z „Republiki Demokratycznej” towarzysza Ulbrichta... Sędziowie w Berlinie łamią sobie głowy nad aspektami tego niewątpliwie ciężkiego i obrzydliwego przestępstwa.

W owym środku Europy ktoś odczytał w gronie znajomych skomponowany przez się wierszyk:

*„Wielki Boże uczyn mnie ślepy,  
Abym nie trafił do muru.  
Wielki Boże uczyn mnie głuchym,  
Abym nie wierzył radiom zachodnim.  
Wielki Boże uczyn mnie niemym,  
Abym nie trafił do więzienia.  
Gdy będę ślepy, głuchy i niemy,  
Będę Ulbrichta ukochanym dzieckiem.*

Za ten odczytany wierszyk skazany zostaje w roku 1965 na sześć i pół lat ciężkiego więzienia.

Dnia 3-go stycznia 1965 roku, papież Paweł VI wymienia z towarzyszem Ulbrichtem depesze gratulacyjne.

A wiadomość o tej depeszy wydziela tłustym drukiem kra-kowski „Tygodnik Powszechny”, uchodzący za dobry-katolicki.

Ale bez złośliwości oceniając współczesną sytuację, każdy chyba przyznać musi, że „duch czasu” postępuje i zmienia się w tempie dla okresu sprzed 50-ciu laty zgoła niewiarygodnym. Jeżeli przyjmiemy do wiadomości, że z wymienionej wyżej republiki „demokratycznej” Ulbrichta, w środku Europy, uciekło przed wybudowaniem muru 3.700.000 ludzi, a po wybudowaniu jeszcze 20.000, mimo najbardziej nowoczesnych i postępowych odrutowań, systemów sygnalizacyjnych i pół minowych, że w dalszym ciągu zza ogrodzenia więziennego zwanego „Żelazną Kurtyną”, uciekają ludzie wszystkich narodowości, błagając o prawo pobytu w wolnym świecie, i że są państwa tego wolnego świata, jak np. Dania, które łamiąc chrześcijańską moralność wydają tych ludzi z powrotem w niewolę, to zgodzimy się chyba że ten niemiłosierny postęp rzeczy nie da się powstrzymać najbardziej nawet żarliwą Encykliką Pokojową Stolicy Apostolskiej.

Powtarzanie banałów nudzi. Stan, o którym wspominam, należy dziś do banału dnia powszedniego. Więc tylko pozwólmy sobie zwrócić uwagę, że od śmierci Piusa XII, żaden z jego następców w swych licznych i pięknych wezwaniach przeciwko zbrojeniom i bombie atomowej, nie uważał za stosowne napiętnować istniejącego stanu *wprost*, ani *wymienić* z *imienia* tych „instytucji opartych na błędzie”, które winne są wywołania i tolerowania tego niechrześcijańskiego stanu.

Lakoniczna interpretacja brzmi: Kościół nie może i nie wtrąca się do polityki. Znamy ją bardzo dobrze. Oczywiście wezwania o pokój na Kubie, w Kongo, w Wietnamie, czy wszędzie gdziekolwiek stawia się opór agresji komunistycznej, nie jest bezpośrednim udziałem w polityce. Być może należy też do spraw ścisłego forum-internum Kościoła, gdy papież udziela uroczystej audiencji i ofiarowuje zegarek po Janie XXIII, czerwonemu bojownikowi Hiszpanii, laureatowi nagrody Leninowskiej, Pietro Nenni. Ale przecierając oczy na wieki ubiegłe, trudno oprzeć się wrażeniu że Stolica Apostolska najbardziej czasem polityczne stanowisko zajmuje właśnie wtedy, gdy powstrzymuje się od „zajmowania stanowiska politycznego”...



Zarzucić mi można, że dobieram przykłady jednostronne, z pominięciem innych, i wykrzywiam przez to zwierciadło Prawdy. W ten sposób, jakoby Kościół katolicki godził się, czy zgoła pochwalał ateistyczny, totalitarny komunizm. Niech Bóg uchwali! Tego nigdy nie miałem i nie mogłem mieć na myśli. A jednostronność wynika po prostu ze skoncentrowania się na rzeczach, o których się przeważnie nie mówi, a częściej nie zna, znać nie chce, lub zna tylko z urywków. Natomiast mam na myśli, że Kościół dał się wciągnąć we współczesny konformizm „postępowy”. Stąd rodzić się mogą słuszne podejrzenia, że wiele pięknych decyzji, i uchwał Soboru Watykańskiego, jak np. o „wolności religii”, stosunku do Żydów i td., same w sobie wniosły, uchwalane są może nie dlatego że są piękne i wniosły, lecz dlatego, że są „postępowe”.

Tak np. inicjatywa pogodzenia i ponownego zjednoczenia Kościoła Zachodniego ze Wschodnim, jest najpiękniejszą i najrozsądniejszą inicjatywą jaka w wieku XX-tym podjęta została przez Kościół Rzymski. Przypomnijmy, że ostatni w tej sprawie Sobór we Florencji w 1439 r. orzekł, że *istota dogmatyczna* obydwu Kościołów jest identyczna, a różni je tylko terminologia. Ale sytuacja obecna uległa pewnej deformacji:

Jeden z Patriarchów tego Kościoła, mianowicie moskiewski, podpadł pod władze bezbożnego komunizmu. Nie będziemy przytaczali tej tragicznej historii. Dziś, liczne poniżające godność Cerkwi i godność ludzką oświadczenia patriarchy moskiewskiego są tak dobrze znane, że wypominanie ich zabierałoby tylko zbyt wiele miejsca w druku. Z *istoty* swej Patriarsza Cerkiew Rosyj-



ska przeistoczyła się w agenturę sowiecką, a jej przedstawiciele wysyłani za granicę, spełniają rolę partyjno-rządowych agentów. To nie jest połajanka, lecz ustalenie stanu faktycznego. Wystarczy przypomnieć, że w lutym 1956 roku metropolita moskiewski Mikołaj na konferencji prasowej w Oslo, na zapytania dziennikarzy odpowiedział: „W SSSR nigdy nie było prześladowań religijnych. Sytuacja ustabilizowała się z korzyścią dla Cerkwi Prawosławnej już od roku 1918 (!!!)”. Ponieważ w Sowietach od 1918-go wymordowano setki biskupów i tysiące księży, a większość świętyń została sprofanowana, bądź zamieniona na muzea bezbożnicze, więc zdumieni dziennikarze zapytują, czy się nie przesłyszeli? — „Podkreślam, odpowiada twardym głosem ten metropolita, od roku 1918!”...

Jeżeli chodzi o nowsze czasy, pomiędzy 1960 i 1962 władze komunistyczne zamykają seminaria duchowne w Kijowie, Stawropolu, Saratowie, Mińsku i Łucku, otwarte za Stalina po drugiej wojnie światowej. Zamykają liczne cerkwie i klasztory. Tysiące „służebników kultu” znalazło się na bruku, a otrzymanie pracy zależne jest w praktyce od wyrzeczenia się przez nich religii, i t.d. i t.d. Ale Kościół prawosławny nie umarł w Rosji, tylko nie jest reprezentowany przez oficjalny Patriarchat. W tej chwili działają tam dwie Cerkwie podziemne: tzw. „Prawdziwa Cerkiew Prawosławna” i tzw. „Prawdziwie Chrześcijanie Prawosławni”. Nawiązują one do tradycji protestacyjnej przeciwko kompromisowi metropolity Sergiusza z bolszewikami z r. 1927, zapoczątkowanej przez metropolitów Józefa i Kirię, oraz biskupów Maksyma, Iłariona, Wiktora i Nektara.

Mniej więcej w czasie, gdy władze sowieckie, przy poparciu oficjalnym Patriarchatu, dokonują najazdu, masowych czystek i aresztów w Ławrze Poczajowskiej...

W jesieni 1962 papież Jan XXIII deleguje do Moskwy sekretarza Soboru Monsignore Dr J. Willebranda, z osobistym listem zapraszającym na Sobór Watykański delegatów „Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej” w charakterze obserwatorów. Ale Monsignore Willebrand zwraca się z listem Jana XXIII nawet nie do oficjalnego patriarchy Aleksego, lecz najpierw do odnośnych władz sowieckich. Tam otrzymuje „pozwolenie na wyjazd delegatów”, które w warunkach sowieckich równoznaczne jest z nakazem. Dopiero po otrzymaniu tego „pozwolenia” udaje się do arcybiskupa Nikodema, który w rzeczywistości jest szefem sowieckiej agentury zagranicznej do spraw religijnych.

W ten sposób na II Sobór Watykański przybywają w charakterze „zaproszonych obserwatorów” delegaci Cerkwi moskiewskiej, a w istocie agenci sowieccy. W Rzymie zostają przyjęci ze wszystkimi oznakami przysługującymi reprezentantom Istoty Kościoła chrześcijańskiego. W danym wypadku nie chodzi o „różnicę terminologii”. Chodzi o *istotę* rzeczy samej w sobie, usankcjonowaną przez decyzję Jana XXIII, może zgodnie z kanoniczną formą, lecz w jaskrawej sprzeczności z obiektywną i oczywistą treścią.

W konsekwencji tego smutnego paradoksu, mógł się zrodzić taki paradoks w interpretacji prasy świeckiej jak ten, iż „zezwolenie na wyjazd dane delegatom Cerkwi moskiewskiej, było ze strony Związku Radzieckiego gestem pojednawczym w stosunku do Rzymu”... Jak gdyby wysłanie własnych agentów obleczonej w maskujące szaty, mogło zaświadczać o czyjeś dobrej woli!...

Paweł VI znacznie złagodził to wyróżnienie przez Jana XXIII agentury moskiewskiej. Pojechał do Jerozolimy i spotkał się tam z patriarchą ekumenicznym Atenagorasem. Z drugiej jednak strony przez niedwuznaczne i częste podkreślenie, że zamierza kroczyć drogą wytkniętą przez swego wielkiego poprzednika, staje się kontynuatorem akcesu do współczesnego Ducha Czasu.

Jest to atmosfera, której ilustracją służyć może do pewnego stopnia „List do Wiernych” z dnia 9 maja 1965 roku, podpisany przez wszystkich biskupów i ordynariuszy katolickich Czechosłowacji:

„Składamy dzięki Bogu... Ojczyzna nasza jest szczególnie wdzięczna Armii Radzieckiej, która jej przyniosła wyzwolenie... Jesteśmy świadkami wielkich osiągnięć etc... Wiemy również, że i przyszłość — nie tylko nasza ale całej ludzkości będzie szczęśliwa, jeśli zachowany będzie pokój zbudowany na niezniszczalnych fundamentach, które określił św. pamięci Jan XXIII w swojej encyklice „Pacem in terris”...

Jeżeli chodzi o stanowisko Kościoła polskiego, to pozycję jego najtrafniej sprecyzował świetny analityk współczesnej rzeczywistości polskiej, Witold Jedlicki, w swej pracy „Klub Krzywego Koła”:

„Jest absolutnym fałszem często spotykany w prasie zachodniej pogląd, że Kościół jest jedyną w Polsce siłą opozycyjną w stosunku do komunistycznego państwa: w rzeczywistości Kościół się tej roli dobrowolnie zrzekł”.

A więc znowu rola sprowadzająca rzecz całą do formalnej fasady: Kościół nie miesza się do polityki. Krytyka tej fasady ze stanowiska wolnej myśli polskiej (poza komunistycznej), jest dziś niezmiernie utrudniona ze względu na odebranie tej myśli jej dawnej giętkości.

Jeżeli chodzi o Kościół w Polsce, prawda jest ta, że się tej prawdy nie chce znać, albo jej unika, albo zastępuje swoistym pomieszaniem sloganów, taktycznych niedomówień, zbożnych życzeń, dobranych skrótów patriotycznych. Czasem trudno się nawet rozeznaczyć, co dominuje bardziej: rozmyślna niewiedza, szczerą ignorancją, czy szczerą wolą samookłamania.

Charakterystyczne jest, że chyba żadne pismo na emigracji nie podało nigdy pełnego tekstu z przemówień i kazań kardyna-



ła Wyszyńskiego, a zawsze tylko wyjątki i urywki. Absolutna większość nie zna nie tylko tekstu, ale nawet nie słyszała o deklaracji episkopatu polskiego z dnia 28 września 1953, podpisanej przez biskupów Klepacza i Choromańskiego.

Naturalnie nie chcemy w tym miejscu mówić o polityce świeckiej. Ale byłoby naiwnością lub rozmyślnym zamykaniem oczu, gdybyśmy przyjęli że program polityczny świeckich sfer katolickich w Polsce pozostaje bez wpływu i znaczenia dla postawy Kościoła w warunkach komunistycznej rzeczywistości. Program ten w najbardziej szerokim ujęciu wskazał Kościołowi „Tygodnik Powszechny” jeszcze w 1959 r. (z dn. 17. 4.):

„Kiedys... nazywano Polskę przedmurzem chrześcijaństwa... Obecnie powinniśmy zmienić rolę i z przedmurza stać się pomostem”...

Powtórzył to arcybiskup Kominek, w wywiadzie telewizyjnym 10. I. 1966; chwając przy okazji Układ Poczdamski, za co pochwalony został z kolei przez Gomułkę 14. I. 1966 r.

Naturalnie program sam w sobie nie jest sprzeczny z Nauką Kościoła. Wszelako dalsze komentarze publicystyczne katolickiej grupy „Znak” i jej prezesa, Jerzego Zawieyskiego, „członka Rady Państwa”, ujawniają o jaki pomost chodzi, i do czego ten pomost ma służyć: do wspólnej budowy socjalizmu przez komunistów i katolików... do gwarancji pokojowych Związku Radzieckiego... do współpracy pokojowej z komunistami i td. — aż do szczytowych może zaleceń w wystąpieniu Stanisława Stommy w sejmie, w czerwcu 1965. Świadczą one, że katolicka grupa „Znak” stoi dziś na pozycjach niemniej kompromisowych w stosunku do komunistów niż grupa „PAX”-u, w każdym razie z okresu 1 lipca 1949, gdy została potępiona przez dekret Kongregacji Św. Oficjum. Dekret ten do dziś dnia nie został odwołany, ale stanowisko grupy „Znak” nie zostało potępione, choć za analogiczną współpracę z komunistami potępiony był PAX. Nigdy też nie potępił stanowisko „Znaku” episkopat polski. Stąd można by wyciągnąć wniosek, że dziś Kościół w Rzymie i episkopat w Polsce, zalecenia „Znaku” i grupy „Tygodnika Powszechnego”, nie uważa za złe.

Czy są dobre, czy złe z punktu widzenia politycznego, ze stanowiska „królestwa z tego świata”, pozostawmy na uboczu. Z punktu widzenia jednak „królestwa nie z tego świata”, tzn. Kościoła, wydadzą się one przede wszystkim — naiwne, jeżeli zechcemy je skonfrontować z doświadczeniem 50-letniej praktyki. A zwłaszcza z tym stanem, do którego doprowadzona została Rosyjska Cerkiew Patriarsza na drodze kompromisów.

Popularny wśród Polaków argument, że w Rosji możliwe to było wskutek nieporównanie z katolickim klerem niższego poziomu kleru prawosławnego, nie da się utrzymać. Przypomina zresztą przechwałki nie jednego narodu przed rokiem 1939, że „komunizm dobry jest tylko dla Rosji”... (Opowiadał mi właśnie niedawno redaktor paryskiej „Russkiej Myśli”, Sergiusz Wodow,

jak przed wojną mówił mu w Pradze Benes: „Nas pan bolszewizm nie nastraszy! Czy może pan sobie w ogóle wyobrazić Czechosłowację komunistyczną?!”...). Otóż ten rzekomo tak dalece niższy poziom kleru prawosławnego, to w dużym stopniu przesada na użytek narodowej propagandy. Zarówno wśród kleru katolickiego jak prawosławnego mieliśmy w okresach przełomowych, moc świetlanych postaci. Z drugiej strony czytamy chociażby w „Pamiętnikach” Wacława Lednickiego, do jak pożądanego godnego upadku potrafili dochodzić niektórzy księża katolicy po powstaniu 1863 roku. Doświadczenia z wieloma pałatami z PAX-u, „Komisji księży”, „Caritasu” i tak licznymi duchownymi w Polsce Ludowej, pouczają nas bardziej plastycznie, że co najmniej nie daleko odbiegli oni od leninowskiej „Zywej Cerkwi”. A wspomniana wyżej, wiernopoddańcza deklaracja episkopatu polskiego z 28 września 1953, potęguje te analogie.

Zwróćmy też uwagę, że Cerkiew Prawosławna w pierwszej fazie zetknięcia z bolszewizmem, zdobyła się na anatemę rzuconą na bolszewików przez patriarchę Tichona 19 stycznia 1918 r. I stoczyła się do dzisiejszego upadku dopiero po latach kompromisów, nie mając zagranicą takiego oparcia jakim jest Rzym dla hierarchii katolickiej. W Polsce zaczęło się od razu od kompromisów, ukoronowanych porozumieniem z 14. 4. 1950. Następne prześladowanie Kościoła i aresztowanie prymasa Wyszyńskiego wynikały nie z tego, że Kościół nie chciał kompromisów, tylko z tego że komuniści nie chcieli kompromisów, a chcieli zupełnej kapitulacji Kościoła. Jak wiadomo zreflektowali się w tych planach jeszcze przed „Październikiem”, gdyż zupełna kapitulacja Kościoła w Polsce nie jest możliwa bez usankcjonowania jej przez Rzym. Stworzenie „Kościoła Polskiego” (państwowego) jest w każdej chwili możliwe, chociażby za pośrednictwem agentów z PAX-u. Ale wtedy Rzymski Kościół przeszedłby do katakumb, czego się właśnie komuniści najbardziej w Polsce obawiają. (A czego nie obawiali się w Rosji, gdyż Rosyjska Cerkiew nie jest zależna od żadnego ośrodka zagranicznego). Nastąpił więc nawrót do polityki kompromisów, który osiągnął swój szczytowy punkt w poparciach przez prymasa Wyszyńskiego w roku 1957 „wyborów” na jedyną komunistyczną listę „Frontu Jedności Narodowej”.

To prawda, stało się to dla „dobra Kościoła”. Ale czy na pewno z korzyścią dla Kościoła? Dyskusja na ten temat nigdy nie została podjęta przez wolną prasę polską na zachodzie, która respektowała bez zastrzeżeń wszystkie decyzje prymasa Wyszyńskiego w granicach jego jurysdykcji, pod rządami komunistycznymi.

W tej chwili sytuacja uległa zmianie. Ze śmiercią arcybiskupa Gawliny, katolicka emigracja polska utraciła bezpośrednią zależność od Rzymu, i niezależność od ośrodka znajdującego się pod władaniem komunistycznym. Przeszła pod jurysdykcję prymasa Wyszyńskiego, który ze swej strony wyznaczył na „opiekuna emigracji” biskupa Rubina. Nie wyznaczył na to stanowisko np.



prałata Meysztowicza, czy kogoś z ogólnie znanych na emigracji wybitnych osób duchownych. Wyzaczył osobę emigracji dotychczas dobrze nie znaną, a widocznie znaną dobrze sobie.



W masie zbrodni popełnionych w okresie minionej wojny, dwie wyróżniają się najbardziej: 1) pod względem i ilościowym i jakościowym — zbrodnia wymordowania milionów cywilnej ludności żydowskiej, gazowania i palenia jej wraz z kobietami i dziećmi; 2) pod względem jakościowym — zbrodnia wymordowania 15 tysięcy internowanych oficerów polskich, zastrzelonych pojedynczo wystrzałem w tył głowy, w Katyniu i w dwóch nieustalonych jeszcze miejscowościach w Sowietach.

W obydwu wypadkach mordowani byli ludzie nie za ich czynność, a za ich istnienie. W pierwszym wypadku z pobudek rasowych, w drugim z pobudek klasowych. Ponieważ nie ma takiego prawa boskiego, ani moralnego, które by mordowanie za przynależność do pewnej rasy uważało za zbrodnię większą od mordowania za przynależność do pewnej klasy (wzgl. światopoglądu, religii i td.), przeto pomiędzy obydwoma tymi zbrodniami, w każdym wypadku z punktu widzenia Kościoła katolickiego, powinien być postawiony jakościowy znak równania.

Zbrodnia Katyńska w jej jakościowej wadze nie da się zrównać nawet ze zbrodnią leninowskich czasów, gdy to pełnomocnik „Czeka”, towarzysz Kedrow, wiosną 1920 roku załadował na przedziurawione statki 1.092 oficerów rosyjskich i potopił ich w Morzu Białym. Tamci oficerowie byli bądź co bądź stroną walczącą w wojnie domowej. Oficerowie polscy nie byli stroną walczącą z Sowietami, a tylko przez nich „internowani”. Co to byli za ludzie wiemy dokładnie nie tylko ze spisów imiennych, ale i ze świetnej książki Józefa Czapskiego „Wspomnienia Starobielskie”. Gdybyśmy jednak ani tych spisów ani tej książki nie znali, wiemy że w każdym wypadku mieli dusze. Za dusze pomordowanych ofiar hitlerowskich odprawiane są uroczyste nabożeństwa w świątyniach całego świata. Za dusze Polaków pomordowanych w Katyniu, ze względu na polityczną sytuację, nie mógł odprawiać uroczystych nabożeństw prymas i biskupi w Polsce. Odprawiał je dotychczas tylko duszpasterz emigracji arcybiskup Gawlina i księża poza krajem. Arcybiskup Gawlina nie taił swego stanowiska, dając się nieraz unieść krewkim słowom, jak np. w „Odezwie” z 25. 9. 1954:

„Bezbożny reżym komunistyczny... Szatańskie zamiary wrogów Boga i Polski... Wszystkich moich Drogich Rodaków gorąco zachęcam do udziału w modlitwach, które za wstawiennictwem Niepokalanej Maryi, Królowej Polski, uproszą zmiłowanie Boże dla naszej cierpiącej dzisiaj Ojczyzny...” etc.

Nowy duszpasterz emigracji mianowany przez prymasa Wyszyńskiego, biskup Rubin, unika wszelkich aluzji o „cierpiącej

Ojczyźnie”; reżymu komunistycznego nie przeżywa „szatańskim”, ani „bezbożnym”; nie używa krewkich słów, które być może słusznie, uważa za zbędne. Ale też i w innych rzeczach zajmuje stanowisko odmienne.

Wiosną tego roku, 1965, przypadła 20-ta rocznica wyzwolenia więźniów z hitlerowskich kacetów. Przypadła jednocześnie 25-ta rocznica masowego wymordowania Polaków w Katyniu. Ks. biskup Rubin udaje się do Dachau i odprawia tam głęboko wzruszające nabożeństwo uroczyste, w asyście licznych duchowieństwa, za dusze ofiar hitlerowskich obozów. Ale, nie odprawia nigdzie nabożeństwa w 25-tą rocznicę mordu katyńskiego, za dusze pomordowanych przez komunistów Polaków. Owszem, nabożeństwa mniej okazałe odbyły się w licznych kościołach na zachodzie, ale nie celebrowane przez samego biskupa. Naturalnie: „modlić się do Boga nie koniecznie trzeba z pompą i przy głównym ołtarzu. Wystarczy po cichu w bocznej kaplicy, bez przydawania temu akcentów politycznych” — pouczał nas w 1945 kardynał Schuster w Mediolanie...

Polityczna emigracja polska jest z pełnym respektem i zrozumieniem dla tych trudności jakie wynikają z rozciągnięcia na nią jurysdykcji przez prymasa w Polsce Ludowej, i pragnie nie utrudniać mu ciężkiego zadania. Dla dobra Kościoła, oczywiście. Przy głębszym jednak zastanowieniu budzą się niejaki wątpliwości. Jeżeli bowiem poto aby nie utrudniać „dialogu z komunistami” w kraju, zaczniemy i w wolnym świecie nawet, liturgiczną formę modlitw za dusze pomordowanych ludzi przez komunistów dostosowywać do taktycznych względów, to dokądże taka droga zaprowadzić może i nas i Kościół? I czy nie będzie to właśnie droga, przed którą przestrzegał papież Pius XII w liście apostołskim z 29 czerwca 1956, mówiąc:

„... Lecz niestety, zdajemy sobie sprawę, że słabość i ułomność ludzka załamuje się... Wówczas to się zdarza, iż niejeden... dochodzi do wniosku, iż trzeba przykazania nauki Chrystusowej dostosować do nowych czasów i okoliczności. Wypaczają i zmieniają tym sposobem zasady religii katolickiej i tworzą pewnego rodzaju amalgamat pomiędzy nią a błędami fałszywego postępu...”.



Łatwo zarzucić mi niekonsekwencję. Dostrzegam bowiem groźbę de-katolizacji świata w tym, co stanowi dziś właśnie o wzroście ogromnej popularności Kościoła. Dawno już bowiem żaden z papieży nie bywał do tego stopnia „kanonizowany” przez świecką opinię publiczną całego świata, łącznie z kierowaną przez komunistów, co Jan XXIII. To prawda. Takż prawdą jest, jak już wspomnieliśmy powyżej, że żaden chyba w historii Polski prymas (nawet tamten z roku 1655, który pozostał wierny prawowitemu królowi, i opuścił wraz z nim granice Rzeczypospolitej, aby nie być zmuszony do uznania obcego uzurpatora) nie



cieszył się tak jednolitym poparciem, jak dziś prymas Wyszyński. Będą to jednak względy świeckie, i popularność świecka.

Jan XXIII miał za sobą doskonałą „prasę” laicką. Ale musimy przyznać, że w pierwszym rządzie prasę tzw. „postępową”, nawet ateistyczną, nawet doktrynalnie komunistyczną. Nie będziemy na tym miejscu rozstrząsać, czy te sfery które udzieliły szczególnego poparcia „polityce — nie mieszania się do polityki” Jana XXIII, dążą do słusznych czy niesłusznych celów. Ale trudno uwierzyć aby właśnie *te sfery* zainteresowane były szczególnie trwałością instytucji Kościoła; ażeby właśnie tym czynnikiem, łącznie z komunistami, leżało na sercu „Dobro Kościoła”! Gdyż takie założenie graniczyłoby z absurdem. Zainteresowane są one wyłącznie w bieżącej polityce Kościoła. Jest to więc typowe poparcie koniunkturalne, ale nie — poparcie istotne.

Kościół jest instytucją patetyczną. Dlatego dobór patetycznych słów w ocenie jego postawy jest tu właściwy. W naturze człowieka drzemie tęsknota do słuszności i prawdy absolutnej, nawet pod najgrubszym popiołem koniunkturalnych namiętności i „realnych polityk”. I Kościół jeżeli ma trwać wiecznie, a takie jest jego boskie powołanie, nawet dla „dobra kościoła” nie może tej tęsknoty lekceważyć. Bo koniunktury się zmieniają, a natura ludzka pozostaje. Z tej zatem perspektywy powinien wystrzegać się zbytniego angażowania w zmienną doczesność i nie szukać popularności w przejściowych oklaskach. Tolerancja jest jedną z najpiękniejszych rzeczy tego świata; ale nie jest równoznaczna z hołdowaniem modzie. Oblatywanie figury Chrystusa na helikopterze, budowanie kościołów w stylu abstrakcyjnych łamańców, wprowadzanie jazzu do nabożeństw — to wszystko podważa powagę Kościoła. Nie dlatego aby te rzeczy były złe, lecz dlatego że w tym wyścigu Kościół zawsze pozostanie na końcu i wygrać go z laickim światem na tej drodze nie może, bo nie jest to właściwą drogą Kościoła. Także w „robieniu demokracji” przez ustawianie zamiast ołtarza stolika pośrodku tłumu modlących. Także w przypodchlebianiu instynktom nacjonalistycznym przez „unarodowianie” liturgiki, co może doprowadzić nie do upragnionej jedności, lecz wręcz przeciwnie, do rozbitcia tej jedności, a pogłębienia waśni i odrębności narodowych.

Tolerancja jest jedną z najpiękniejszych rzeczy tego świata; ale nie jest równoznaczna z kompromisem z największą nietolerancją tego świata, którą stanowi dziś potęga międzynarodowego komunizmu. I zachodzi poważna obawa, aby tym razem pod sloganem tolerancji, tylokrotnie w ciągu wieków naciągana struna kompromisu z silnymi tego świata, nie została przez Kościół przeciągnięta...

Józef MACKIEWICZ

## Na marginesie Ankiety

Ankieta „Kultury” jest znakomitym pomysłem, przeglądając jednak jej pytania, zastanawiam się nad możliwością wybiegów, jakie będą zapewne stosowane przez większość odpowiadających. Gdyż ciekawe byłoby dowiedzieć się nie to, co ten czy ów sądzi o problemach dzisiejszego katolicyzmu ale czy uważa siebie za katolika. Różne rodzaje cenzury i różne „względy”, poczynając od najbardziej godnych szacunku a kończąc na podławych, stoją na przeszkodzie i wątpliwe jest czy ankieta powie coś o zmianach postawy wobec religii. Nie jestem wyjątkiem odczuwając zażenowanie zrozumiałe u piszącego po polsku: ten specyficzny splot opcji religijnych, kulturalnych, ideologicznych nie byłoby łatwo rozplątać. Ograniczę się więc do poszczególnych kwestii, w nadziei, że z moich odpowiedzi wyłoni się jakiś obraz mojego osobistego stosunku do tych spraw.

*Dechrystianizacja.* Jeżeli religia przesuwana się z centrum wewnętrznego życia człowieka na peryferia, wolno mówić o dechrystianizacji i jej postęp od chwili kiedy zdobyto się na pierwsze pomysły „religii racjonalnej” jest faktem. Dość paradoksalnie, wkład Polski w europejski de-sakralizujący racjonalizm był znaczny, po przez pisma Socynian, bardzo popularne w krajach gdzie rodził się deizm albo wręcz ateizm tj. w Holandii i w Anglii. Dzisiaj po wielu krążeńiach, nawrotach i odwrotach, literatura i sztuka — skoro uznamy je za jakiś wskaźnik — świadczą że chrześcijanie są nieliczni, co zresztą ma niewiele, jak się zdaje, wspólnego z pustką albo przepętnieniem w kościołach. „Światopogląd naukowy” osiemnastego a później dziewiętnastego wieku wydaje się nam dzisiaj naiwny a wszechświat Einsteina powinien być raczej sprzymierzeńcem religii w przeciwieństwie do wszechświata Newtona. Jednakże wyobraźnia człowieka jest kształtowana przez szkołę i cały napór techniki w jednym, nieprzychylnym dla religii, kierunku. Istnieje też znany fenomen opóźnienia na poziomie masowym, tak że wyobraźnia przeciętne-go człowieka ulicy ma większą trudność w dotarciu do sakralno-



ści niż wyobraźnia nielicznych wybrednych, rozmyślających nad granicami poznania. Zarazem niezaspokojony głód sprawia, że jesteśmy w sytuacji nieco przypominającej sytuację osiemnastego wieku z jego pociągami do iluminizmu, z jego „łożami mistycznymi” i cudotwórcami w rodzaju Cagliostro. Odchodzeniu od chrześcijaństwa najuczciwszym może młodych, towarzyszy fascynacja buddyzmem Zen, filozofią egzystencji, mistycznym albo pseudo-mistycznym doznaniem kosmicznej jedności.

*Tomizm.* Cudowna aparatura pojęciowa wypracowana w trzy-nastym wieku była tak długo skuteczna, jak długo człowiek organizował przestrzeń w hierarchicznie ułożone obrazy Nieba, Ziemi i Piekła. Gdyż teologiczne argumenty mają moc albo tracą moc zależnie od zawartości wyobraźni. Przestrzeń wymykająca się próbom jej uporządkowania, pozbawiona „góry” i „dołu” jest naszym udziałem a w tych warunkach tomizm, nadal uznawany za oficjalną naukę Kościoła, albo traci skuteczność albo przyczynia się do utraty wiary. Przy wszystkich swoich słabościach, które prowadziły nieraz do dekadencji, kościoły wschodnie, pozbawione „urzędowej” teologii i żyjące liturgią, są może lepiej przygotowane do przyjęcia poszukujących; tutaj byłby punkt dla Dostojewskiego. Być może liturgia ma drogi otwarte ku nowoczesnej wyobraźni, którą należałoby określić jako antropocentryczną; we wszechświecie bez miejsca skąd możnaby zaczynać (bo Niebo przestało być „miejscem”), tylko człowiek przeciwstawiony Naturze, zagadkowy, niesamowity, zawsze potrzebujący rytuału, cielesny i zarazem wznoszący się ponad cielesność, jest jako tako uchwytny. Przyszła teologia będzie zapewne medytacją nad anty-naturalnością człowieka tj. jego historią, w każdym razie tylko w tym widać obietnicę przekładu dogmatów jako pojęć na wyobrażenia: przełom w Historii po przez wcielające się Bóstwo, „skandal” zmartwychwstającego Chrystusa. Odgadywał to chyba Teilhard de Chardin, tak zresztą (mnie osobiście) rażący swoją poetyckością, eklektyzmem i omijaniem problemu Zła, Zacięty, katarski, niemal-manicheizm Simone Weil wydaje mi się ożywczy w zestawieniu z nadmiernym optymizmem antropologa-jezuita. Te dwa nazwiska oznaczają, niezależnie od różnic, zamiar ominięcia tomizmu, podobnie jak nazwisko ojca Fessard, który chce zastąpić heglowską dialektykę dialektyką chrześcijańską. Odgadując (może mylnie?) odpyły tomizmu, nie mam zamiaru pomniejszać jego roli. Pojęcie Czystego Bytu, jako źródła skąd wypływa każdy byt niepełny i cząstkowy, odczuwam jako wyładowane wielkimi możliwościami dla filozofa czy artysty. Niemniej, jak powiedziałem, Tomasz z Akwinu pisał nie dla ludzi, zmuszonych czepiać się ludzi jako jedynej dostępnej dla nich rzeczywistości.

*Reformy.* Dobroć i mądrość Jana XXIII-go dokonały rzeczy niezwyklej: pozwoliły milionom ludzi uświadomić sobie jak bardzo cierpią z powodu swojej bezdomności i jak wielkie jest ich

pragnienie poddania się moralnemu autorytetowi. Zarazem ukazał się kontrast pomiędzy tym czym Kościół jest i tym czym mógłby być. Postacie bezpośrednich poprzedników Jana i jego następcy zaczęto osądzać surowo, gdyż ich niedostatki stały się każdemu widoczne. Wielkie oczekiwania, jakie łączą z Soborem nie tylko katolicy, nie zostały jak dotychczas spełnione, choć wyrokować o tym byłoby jeszcze za wcześnie. Spośród reform o natychmiastowym skutku na pierwszy plan wysuwa się reforma liturgii. Była ona potrzebna, bardziej jednak jako sam fakt przywracający poczucie historycznej względności jeżeli chodzi o formy kultu, niż jako dokonanie, co do którego można mieć spore zastrzeżenia. Trudno właściwie zrozumieć jak ojcowie Kościoła mogli pominąć w swoich deliberacjach zjawisko tak powszechne w naszych czasach jak masowe migracje. Wyrwany ze swojej rodzinnej wioski, alienowany, włoski albo hiszpański robotnik we Francji czy w Niemczech, Meksykańczyk w Stanach Zjednoczonych, Europejczyk w różnych krajach amerykańskiego kontynentu, miał dotychczas jedno miejsce swojskie, dzięki wspólnej całejmu katolicyzmowi łacinie: kościelny budynek. Wprowadzając zamiast łaciny języki narodowe, reforma zmusza tego człowieka do modlitw w języku bardziej mu niż łacina obcym. Zapewne, w ciągu wielu stuleci łacina była dla większości wiernych (analfabetów) tylko magią. Ale reforma następuje w chwili kiedy analfabetyzm znika a książki do nabożeństwa podają równoległe tekst w dwóch językach. Msza w językach narodowych wygląda na „protestantyzację” katolicyzmu, na ustępstwo w dziedzinie, która niejako symbolizuje największą klęskę protestanckich kościołów: ich „przechwycenie” przez obyczaj danej narodowej wspólnoty, tak że przynależność do nich nie oznacza nic więcej niż uległość wobec towarzyskiego konwensansu. Poza tym przeplatając w liturgii język narodowy łaciną, jak to dzieje się obecnie, otrzymujemy się dziwną hybrydę, wzywającą stanowczego rozstrzygnięcia.

*Katolicyzm i sex.* Zmiana seksualnych obyczajów idzie równoległe z coraz większą „antropocentrycznością” wyobraźni. Człowiek ujmuje siebie jako całość, współzależność jego funkcji fizjologicznych i duchowych jest dla niego jedną z głównych zalet do egzystencjalnej medytacji. Dualizm (ciało zamieszkałe przez duszę, która opuszcza ciało po śmierci i unosi się gdzieś w kształcie obłoku) coraz mniej trafia mu do przekonania. Co prawda, mimo że i kler i wierni przez stulecia hołowali dualizmowi, w Credo katolickim nie ma nic o „nieśmiertelności duszy”, pomyśle zresztą, jak wiadomo, późnym i pochodzącym z Grecji. Credo mówi natomiast o życiu wiecznym i o ciałam zmartwychwstaniu, co nie jest tym samym. Przesuwanie się uwagi w teologii z dualistycznego na „całościowy” obraz człowieka musi doprowadzić do spotkania się oko w oko z problemem seksu jako problemem centralnym. Są już znaki odwrotu z dotychczasowych pozycji, choć nadal kler jest skłonny traktować akt miłosny jako „przyjemność”, samą w sobie zdrożną i tolerowaną tylko jeżeli



służy do prokreacji. Dołączają się tutaj nowe elementy podrywające zaufanie do tego celu (prokreacji), mianowicie groźba króliczego mnożenia się stawia przed Kościołem zagadnienie moralnej odpowiedzialności za los milionów ludzi rodzących się na obszarach planety które mogą wyżywić ich z trudem albo nie mogą wyżywić wcale. Zalecany kalendarz „okresów bezpiecznych” jest jednak rozwiązaniem kompromisowym i niepozabawionym sofistyką. Mężczyzna i kobieta stosując kalendarz spełniają akt miłosny z intencją uniknięcia ciąży, dokładnie tak jak w wypadku stosowania antykoncepcyjnych środków. Poza tym kalendarz został wynaleziony przez ten sam obserwujący i wyciągający naukowe wnioski umysł, który wymyślił prezerwatywy i pigułki. Umysł przeciwstawia się naturze, starając się ją oszukać. Wprawdzie integryści (coraz mniej pewni siebie) podkreślają różnicę jaka zachodzi pomiędzy obserwacją natury i ingerencją w jej procesy (prezerwatywa albo diafragma nie pozwalająca na dopływ męskiego nasienia, pigułka hamująca owulację), jednak różnica jest zbyt może subtelna i sprawną do zostawienia naturze pewnych szans — żeby, jeżeli się uprze, mogła być sprytniejsza niż ludzki umysł. Z tym wszystkim zmiana w obyczajach seksualnych, towarzysząca społecznym przekształceniom, zdaje się być nieodwracalna (w przeciwieństwie do erotycznej swobody osiemnastego wieku właściwej klasom uprzywilejowanym) i ponieważ jest widoczna zarówno u niekatolików jak katolików, będzie zmuszać Kościół do liczenia się z tzw. życiem.

*Ekumenizm.* Sobór watykański został zwołany w momencie dla chrześcijaństwa nieprzychylnym. Ogromne części euroazjatyckiego kontynentu są terenem skutecznym przesładowań wszelkiej religii, co dotknęło przede wszystkim Kościół Prawosławny, natomiast w Zachodniej Europie i w Północnej Ameryce różne odmiany protestantyzmu są, z innych powodów, w sytuacji wręcz rozpaczliwej mimo zachowywania pozorów jakiejś takiej żywotności. Z „liberalizmu teologicznego” w Niemczech dziewiętnastego stulecia poprawne wnioski wyciągnął Fryderyk Nietzsche proklamując śmierć Boga. W istocie wraz z odrzuceniem dogmatów jako tajemnic wiary i zamiarem „wytłumaczenia” sakramentów, co zapoczątkował zresztą już Zwingli, rozplynęła się obecność Chrystusa, a zważywszy, że wskutek wspomnianej już przeze mnie antropocentryzacji tylko Wcielenie może być otwarciem ścieżki do obrazu Bóstwa, rozplynęła się też obecność Jehowy Starego Testamentu. Pozostała jedynie nominalna przynależność do któregoś z protestanckich wyznań jako tradycyjna więź towarzyska a np. obojętność albo wrogość wobec chrześcijaństwa większości amerykańskiej młodzieży w *college*'ach jest proporcjonalna do zaściankowych dziwactw przeróżnych „Churches of Christ”. Niezwykle ciekawa i obfita protestancka literatura teologiczna (Barth, Niebuhr, Tillich) nie powinna przesłaniać rozpadu, którego dowodem są takie dzieła jak angielska książka „Honest with God”, starająca się pouczyć że można być chrześcijaninem nie

wierząc w Chrystusa. Katolicyzm żyje silniej, jakkolwiek tracąc znaczną część intelektualistów i masy w krajach przemysłowych, nadrabia drewnianą sztywnością swoich znakomicie prosperujących szkół, instytutów i darem organizacyjnym, którzy zwłaszcza w Ameryce jest godny podziwu. Ośrodkiem jego życia duchowego są przede wszystkim zakony kontemplacyjne budzące zazdrość protestantów (na ich wzór został założony protestancki klasztor w Taizé we Francji, bardzo czynny w swoich poczynaniach ekuumenicznych a za jego przykładem ma powstać luterancki klasztor w Szwecji). Wycofując się z nadużyć kontrreformacji i pragnąc wyjść naprzeciw „braciom odłączonym”, Kościół natrafia na osłabionych partnerów występujących w imieniu nominalnych tylko chrześcijan, co nie może nie hamować jego skłonności do ustępstw. Termin „cywilizacja po-chrześcijańska” jest chyba uzasadniony. Oznacza on, że złoza zostawione przez wiele stuleci są trwałe ale że przeciwstawiać zachodnią „cywilizację chrześcijańską” wschodniej, ateistycznej i materialistycznej, mogą tylko zwolennicy politycznego manewru. Zresztą warto tutaj przypomnieć, nie wdając się w ocenę tego skrajnego sądu, że zdaniem Simone Weil cywilizacja prawdziwie chrześcijańska istniała tylko raz: w dwunastym wieku, w krajach Langue d'Oc; zniszczyła ją francuska krucjata, której duchowym inspiratorem był św. Dominik.

*Literatura katolicka.* Samo pojęcie „literatury katolickiej” zakłada jej przeciwstawienie literaturze w ogóle i byłoby absurdem np. w średniowieczu. Tym niemniej w zachodnich krajach da się wyróżnić pisarzy, których przymiotnik „katolicki” określa dość dokładnie. Niestety w Polsce „pisarz katolicki” jest dotychczas synonimem pisarza drugiego rzędu, sprzymierzonego z czarną czy czerwona czy czerwona prawicą. Tak już jest — i politywizm i Moderna i Skamander i różne awangardy występowały w sojuszu z inteligencją mniej czy bardziej postępową toczącą wojny z konserwatywno-nacjonalistyczną mentalnością. Niezależnie od osobistych przekonań pisarzy, jeżeli proklamowali oni siebie katolikami, było to rozumiane jako polityczny wybór. „Robienie w katolicyzmie” było i jest dotychczas ulubioną chytrą polityków o pewnej orientacji, do których nieźle stosuje się przysłowie: „ubrał się diabeł w komżę i ogonem na mszę dzwoni”. Nieautentyczność czy jakieś inne przyczyny sprawiły, że tzw. katolicka inteligencja do polskiej kultury wniosła niewiele. Dość wymowne są tutaj losy emigracji. Zdawałoby się, że skoro po 1939 roku znalazło się za granicą mnóstwo ludzi ze średnim albo wyższym wykształceniem, gorliwie chodzących do kościoła, a warunki dla swobodnej działalności, przynajmniej w jednej dziedzinie, były sprzyjające, powstaną potężne ośrodki myśli katolickiej, pisma, domy wydawnicze. Nic takiego się nie stało i porównanie poziomu katolickich druków za granicą z poziomem takich periodyków ukazujących się w Polsce jak „Znak” wskazuje na ten paradoks: trzeba było komunistycznego rządu, żeby



katolickie głowy zaczęły pracować. Tym niemniej, mimo że współzawodnictwo z marksizmem okazało się zbawienne dla polskiego katolicyzmu, trwa dotychczas układ, który ustalił się w pierwszej dekadzie po powstaniu 1863 roku: z jednej strony ta inteligencja twórcza, która odziedziczyła różne pozytywistyczne, liberalne i socjalistyczne tradycje (jej genealogia sięga wstecz do Reformacji i Oświecenia), niechętnie usposobiona do religijnej problematyki, z drugiej strony Kościół ze swoimi, lepszymi zresztą niż przed wojną, intelektualnymi przybudówkami.

„Bezreligijność duszy polskiej”. Brzozowski, który użył tego wyrażenia, doświadczył na własnej skórze co znaczy być schwytanym przez oparty na podwójności układ. Jakikolwiek objaw zainteresowania religijną problematyką był oceniany nie sam w sobie, według kryteriów powagi i głębi myśli, ale czysto taktycznie, jako „zdrada” przez postępowców, jako zbożne zbliżanie się do „ideologii narodowej” przez Ciemnogród. Brzozowski porównywał Polskę z Rosją i z krajami zachodniej Europy. Polska nie wydała ani Dostojewskiego, ani Sołowiowa ani Rozanowa, ani Szestowa, ani Bergsona, a daremnie byłoby powoływać się na polską krew Nietzschego. Przyczyn należałoby chyba szukać w końcu szesnastego wieku, kiedy zbyt szybki triumf kontrreformacji zatamował nurt metafizyczny (reprezentowany przez jednego bodaj tylko poetę, Sępa-Szarzyńskiego). Zarazem anabaptystyczne fermenty wśród najbardziej rozbudzonych protestantów tj. Arian zostały opanowane przez Fausta Socyna, który narzucił „Kościółowi Mniejszemu” racjonalistyczną orientację. Nie są to oczywiście jedyne przyczyny i wypadłoby się zastanowić nad cechami narodowego charakteru ukształtowanego przez historię. Może Polacy są narodem wiecznych adolescentów, z całym wdziękiem właściwym niedojrzałości ale i z niedowładem samodzielnego myślenia? Może tak urabiają wieki kultury szlacheckiej, miękkiej i wygodnej, która nie mogła być szkołą wewnętrznej dyscypliny, przesądzającej o tym czy ktoś jest dorosły? Tą szkołą w krajach zachodniej Europy były surowość i okrucieństwo walk o władzę, dworskich i dyplomatycznych intryg, kapitalistycznych przedsięwzięć. W Rosji podobną rolę spełniał zapewne autokratyczny terror, drabina „czynu” i służba w potężnej armii. Tak czy owak, co wychodzi dzisiaj spod pióra Polaków jest najczęściej naznaczone niechęcią do borykania się z „rzeczami ostatecznymi”, które bardziej niż jakakolwiek inna tematyka wymagają myślenia na własny rachunek. Różni to Polaków od ludzi Zachodu, pasjonujących się „tym co jest poza fizyką”, czy są chrześcijanami, czy agnostykami czy ateistami, a zastanawiająca jest religijna powaga u niektórych młodych pisarzy sowieckich. Moi cudzoziemscy przyjaciele (nie-chrześcijanie) opowiadali mi o swoim zdumieniu kiedy spotykając przedstawicieli warszawskiej liberalnej inteligencji, stwierdzali u nich znakomitą bystrość połączoną z zupełnym zablokowaniem w jednym względzie — religijna klapka u nich nie działała („zupełnie jakby

rozwijając się, w tym jednym zatrzymali się na postępowości dziewiętnastego wieku”). To zablokowanie będzie prawdopodobnie coraz mocniejsze u nowych pokoleń bo cokolwiek zatracą o religii otrzymuje dewocjonalne piętno. Poza tym w zakresie filozofii Polska, od znacznie dawniej niż od lat po ostatniej wojnie, jest wystawiona na wpływy anglosaskiej logiki i semantyki, a ponieważ marksiści są zbyt spętani intelektualnie żeby wnieść coś oryginalnego, można wróżyć dalsze zarażanie się neo-pozytywistyczną plagą, która w Anglii i w Ameryce obróciła wydziały filozofii w domy umarłych, omijane starannie przez bardziej krwiastą młodzież, nieskłoną wyrzec się pytań o sens życia i śmierci. Nie widać więc znaków pozwalających przypuszczać, że „bezreligijność duszy polskiej” była czymś mało trwałym.

*Tysiąc lat polskiego katolicyzmu.* Pokonując licznych antagonyistów, tępiąc pogańską prasłowiańskość, później plebejski husytyzm, wychodząc zwycięsko ze zmagania z Reformacją, rozszerzając swoją sferę przez Unię, Kościół ustalił się jako siła coraz bardziej identyfikowana z polskością obróconą przeciwko heretykom i niewiernym z północy, zachodu, północo-wschodu i południo-wschodu. „Niestety — powiedziała w rozmowie ze mną Maria Dąbrowska — to katolicyzm uratował Polskę w czasie szwedzkiego najazdu. Wszystkie bardziej wykwintne umysły były wtedy po stronie protestanckiego króla. I, niestety, tak jest do dzisiaj”. Cena, jaką jednak zapłacono za zepchnięcie religii do roli strażniczki narodowych obyczajów była wysoka i wie coś o tym każdy, kto pamięta tłumy młodzieży w deklach, z pałkami, „służące” na Jasnej Górze. Tym nie mniej byłoby błędem srożyć się na polski katolicyzm tylko dlatego, że od początku siedemnastego stulecia był on ostoją umysłowej inercji. Intelektualista jest zawsze skłonny mierzyć ludzkie sprawy swoją miarą, zapominając o uczuciowych potrzebach, które są zaspakajane inaczej niż przez samotne rozszczępanie włosa na czworo. Niezliczonym pokoleniom obrzęd kościelny dostarczał tego ciepła, bez którego przestrzeń lat do przeżycia jest pusta i przerażająca, a chrześcijaństwo jako więź, jako *religio* nie jest w Polsce pustym słowem. Doznanie wspólnoty w kulcie kryje w sobie nieuświadomione do dziś potencjalności, możliwe zresztą do zauważenia na przykładzie Mickiewicza. Rosnąc w hieratycznym, obrzędowym świecie, Mickiewicz miał w nim uczuciową kolebkę. Religijne liryki Mickiewicza są szczytowym punktem jego twórczości i jednym ze szczytów poezji światowej, porównywalnym chyba tylko z utworami angielskich „poetów metafizycznych”. Natomiast religijna filozofia Mickiewicza jest mało oryginalna. Podobnie jak jego klasycystyczne skłonności wywodzi się z osiemnastego (choć tego drugiego, „mistycznego”) wieku i wszystkie jej składniki można znaleźć u Claude de Saint Martina. Tak samo towiańszczyzna wygląda na odgrzanie teorii nieobcych osiemnastowiecznym łóżom w Lyonie, gdzie zresztą uwijali się też Polacy. A przede wszystkim u Mickiewicza, u Norwida, u Słowackiego, u Krasiń-



skiego dochodzi do głosu oryginalne i tylko u Polaków w tym nasileniu spotykane sprzężenie katolicyzmu z historiozofią, dowodzące że wspólnościowa, narodowo-rytualna religia może owocować rozmaicie, albo dobrze albo źle. Ponieważ „mesjanizm wieszczów” został przechwycony przez ideologię prawicy, która mnożyła dość obłąkane „systemy” aż po okolice pierwszej wojny światowej, zdołano zapomnieć, że treść polskiego romantyzmu jest bardzo wieloznaczna. Jeden Brzozowski na próżno wołał, że nie zinterpretowano jej nigdy na nowoczesny sposób. W istocie przymuszeni dziejowym ciśnieniem Polacy byli zafascynowani pracą Bóstwa dokonywaną po przez ludzi, i po przez ich indywidualną twórczość i po przez całe cywilizacje. „Mysterium Tremendum” miało dla nich ludzką twarz. Obserwując dzisiejszą orientację ludzkiej wyobraźni, wolno dopatrzeć się w tym prekursorskich pierwiastków. Norwid na przykład (a byłoby absurdem mówiąc o nim pomijać fakt, że był praktykującym katolikiem) nie tylko artystycznie wyprzedził wielu swoich zachodnich współczesnych. „Genesis z ducha” Słowackiego przypomina traktaty Teilharda de Chardin, choć powstało sto lat przed nimi. Mimo że postępową inteligencja uznała takie wzniosłe rojenia za szacowne zabytki, wydobywane ze skarbcza od święta, istnieje do dzisiaj to coś, raz przynajmniej zbliżające się do formy i wyróżniające polską umysłowość. Przekonać się o tym można tylko porównawczo, chociażby stykając się z młodymi pisarzami różnych narodowości i starając się wniknąć w ich (najczęściej tylko podświadomy) stosunek do wykonywanego zawodu. Przebłyскуje wtedy jakaś prawda o mocno zakorzenionych polskich nawykach prometejskich, tak że twórczość nie jest uważana tylko za środek prywatnego ocalenia ale za akt, przyczyniający się, choćby w drobnym stopniu, do przerabiania i ratowania danej wspólnoty. Jest to wielki dar, którego wagi nie umiemy ocenić ci co nigdy długo nie mieszkali w krajach Zachodu, gdzie jeżeli niekiedy hołdowano idei „kapłaństwa sztuki”, miało to inny sens niż w Polsce. Być może w tych właśnie pokładach (patrz „Promethidion” Norwida) należałoby szukać zadatków prawdziwej polskiej oryginalności.

*Kościół i nowoczesne społeczeństwo.* „Mater et magistra”, podobnie jak inne papieskie encykliki, stale powołuje się na „naturę ludzką”. Kościół jest przez to jedynym obrońcą pojęcia, którego odrzucenie zbiega się z okropnościami ostatnich dwóch wojen i koncentracyjnych obozów. Gałęzie wiedzy z ich powołania zajmujące się człowiekiem, sprzysięgły się, żeby zredukować go do wiązek odruchów uwarunkowanych przez zewnętrzne bodźce. Stosuje się to zarówno do ekonomii jak psychologii i socjologii operującej statystyką i wykresami. Człowiek ukazuje się jako istota nieskończenie plastyczna, która wszystko zniesie i zaadaptuje się do wszelkich warunków, ale której przyrodzonym potrzebom nie warto udzielać uwagi, bo kto wie czy ma ona w ogóle takie potrzeby. Systemy socjopolityczne jakie znamy,

kapitalizm i socjalizm, nie zajmują się jakością ludzkiego życia i są opętane cyframi statystyk. A przecie łatwo zauważyć, że rzucana w pewne samoczynnie działające mechanizmy istota ludzka wewnątrznie zamiera, choćby z pozoru funkcjonowała poprawnie. Jeżeli jest rzeczą mniej czy bardziej oczywistą, że szkodzi jej ekonomiczna albo polityczna niewola, niszczy ją też mnóstwo innych, mniej widocznych jądów danej cywilizacji, których sama jednostka nie umie określić i które tylko odczuwa jako pozabawienie jej czegoś, jako niejasny ból, niby cmiennie zęba. W zaawansowanych, przemysłowych społeczeństwach dość jest materiału do melancholijnej refleksji nad marnowaniem się ludzkich talentów do braterstwa, przyjaźni, współpracy. Nawet krajo-brazy „nie na ludzką miarę” są tutaj alegorią nowych danych ludzkiego losu: czterotorowe amerykańskie *freeways* ciągnące się setkami mil przez chemicznie uprawiane pustkowia, lśniące, nieskończenie długie korytarze lotnisk jak z Kafki, migot reklam. Ma się prawo mówić o „nieładności” pewnych odmian bytowania, bo „natura ludzka” pomimo wszystko co przeciw niej wysunęli uczeni w piśmie w ciągu ostatnich stu lat, jednak istnieje i troska o to, żeby jej nie pogwałcić musiałaby być pierwszym przykazaniem jakiegoś przyszłego prawdziwego socjalizmu, jeżeli taki kiedykolwiek przybierze konkretne kształty. Nie wnikając tutaj w zalecenia papieskich encyklik (co wykroczyłyby poza ramy tego szkicu) chcę tutaj tylko przypomnieć, że największa może ich wartość i dla katolików i dla niekatolików, tkwi w ich pierwszej przesłance.

*Wychowanie katolickie.* Otrzymałszy bardzo katolickie wychowanie, jest się skłonny śledzić u siebie i u innych tyleż jego dodatnie skutki co spowodowane przez gorliwość wychowawców opory, urazy i spustoszenia. Wychowanie to ma wszędzie wspólne właściwości (przymus uczestnictwa w obrzędach, teologiczna ekwilibrystyka, seksualne obsesje księży i zakonnicy, jakkolwiek różni się też zależnie od kraju. Tak na przykład spowiedź co kwartał i przystąpienie do Komunii było według tego co nas uczono niejako jedną czynnością podzieloną na dwie fazy. Zdziwiłoby to np. amerykańskich katolików, przystępujących do Komunii co niedziela i pouczanych, że spowiedź jest potrzebna tylko jeżeli jest się w stanie śmiertelnego grzechu. W ogóle instytucja spowiedzi zdaje się podlegać dziś raz jeszcze ewolucji i, o ile wiem, teologowie wahają się co z nią zrobić. Katolickie wychowanie w Polsce, niesłychanie, że się tak wyrażę, kontrreformacyjne i integrystyczne, przyczyniało się znacznie do utrwalenia się tej grozy, jaką w postępowej inteligencji budziło religianctwo. Dzisiaj myślę, że szkody wyrządzone przez katolickie wychowanie i w Polsce i gdzie indziej były, jak dotąd, znaczne, (jakkolwiek chyba mniejsze niż szkody wychowania bezreligijnego), i że mogłoby być ono czymś zupełnie odmiennym, nie tracąc nic ze swoich dobrych stron, choć na czym musiałoby polegać, szczerze mówiąc, nie bardzo umiem sobie wyobrazić.



*Czy jesteś katolikiem?* Nie umiemy przeniknąć w to, co się dzieje w wyobraźni. Trudno jest wiedzieć jak sobie radzi większość ochrzczonych w kościele katolickim, raczej ulegających nawykowi środowiska niż dokonującym wyboru, a wystawionym także na wpływy nowoczesnego synkretyzmu. Nie jest wykluczone, że dotychczasowe przeciwstawienia takie jak: katolicy-protestanci, teiści-ateiści tracą sens i że linia podziału przebiega środkiem grup nazywających siebie chrześcijanami, nie-chrześcijanami, ateistami i td. Mówi się o „wierzących” i niewierzących” używając tych terminów jako równoznacznych z przyjęciem albo odrzuceniem pewnych pojęć. Być może jednak należałoby mówić o „wierzących” i „niewierzących” *tout court*, zapominając o jakimkolwiek „w co”? Postawy zasadniczej afirmacji albo negacji życia jako ekstazy i tragedii nie tłumaczą się już (czy jeszcze) na pojęcia nam dostępne. Jakkolwiek zdarzało mi się nieraz nosić skórę tzw. intelektualisty, w istocie uważam siebie za człowieka prymitywnego, we władzy sił potężniejszych niż mój rozum. Toteż ukazywać się tutaj, w tej ankiecie, jako mędrak byłoby dla mnie rzeczą nieprzystojną. Z pewnością mógłbym brać udział w sakralnych tańcach, nie odczuwając żadnej wewnętrznej sprzeczności. Jestem całkowicie solidarny z sowieckim poetą Eugeniuszem Winokurowym, kiedy pisze:

*„Ja czustwuju rozumnost' bytija  
Ja oszczuszczaju, znaju, ponimaju,  
Wsiej triepietnoju płot'ju wopija  
Protiw niczto. Jego nie prinimaju.  
Wieś organizm kak budto by organ  
Zwuczit wo sławu żizni. Razwie możet  
Nie byl' mienia? Mnie wiek biezmiernej dan,  
Niczto mienia uże nie unicztožit.  
Gotow stojat'. Wsie znat'. Wsie pierieniest'.  
Wsiej krow'ju słyszu. Wieriu biez przedieła.  
A koli tak, to tak ono i jest'.  
Nie możet byl' inacze: wierit tieto”<sup>1</sup>.*

Czy i co teologia dwudziestego pierwszego wieku potrafi zrobić z „wierzącym ciałem” to już inna historia. W każdym razie, odpowiadając na ankietę ogłoszoną przez polskie pismo nie mogę nie sprzeciwić się religii, pojętej jako regres w dzieciństwo, w sielskość, w dewocjonalność.

Czesław MIŁOSZ

1. „Czuje rozumność bytu, dotykam, wiem, pojmuję, krzycząc całym wibrującym ciałem przeciw nicości. Jej nie uznaje. Cały organizm jak organ huczy na chwałę życia. Czy może nie być mnie? Dany jest mi bezmierny czas, nie mnie już nie unicestwi. Gotów jestem trwać. Wszystko poznać. Wszystko znieść. Słyszę całą krewią. Bezgranicznie wierzę. A jeżeli tak, to właśnie tak jest. Nie może być inaczej: wierzy ciało”.

## Moja odpowiedź

Nie umiałbym odpowiedzieć na tę ankietę bez zareagowania na sam tytuł działu, w którym się ona pojawiła: „Religia bez namaszczenia”.

Zdawać by się mogło, że tytuł ten został wymyślony żeby odstręczyć od odpowiedzi ludzi religijnych, myślę, że niejednego odstręczył. Za dobrze znam redaktora by móc go o taki zamiar posadzać.

Słowo *namaszczenie* („słuchać z namaszczeniem” w słowniku francuskim *écouter avec recueillement*) wiąże się dla chrześcijanina, katolika z namaszczeniem chrztu, z ostatnim namaszczeniem umierających i nie ma śladu wydźwięku pejoratywnego, ironicznego. Wyraża istotę stosunku do religii, nasz z nią związek.

Odpowiedź na zapytanie II, punkt pierwszy: czym dla Kościoła i świata był pontyfikat Jana XXIII i zwołany przez niego Sobór?

Opowiem tu dwa przeżycia. One zilustrują moją odpowiedź.

Moja najstarsza siostra spędziła jako dziecko parę tygodni w klasztorze Sacré-Cœur w Pradze czeskiej, przygotowując się tam do pierwszej Komunii. Odwiedziła ją w klasztorze nasza babka. Była protestantką. Sympatyczna zakonnica, która miała pieczę nad moją siostrą, zwróciła się do niej po wyjściu gościa: „Jakże smutno, że twoja babcia, taka sympatyczna, będzie po śmierci płonąć w piekle”.

— Dlaczego? — spytała siostra.

— Jest przecie heretyczką!

Moja siostra zalewała się łzami nad okrutnym losem, na który jest skazana ukochana babcia.

Moje pierwsze studia poza domem rodzinnym odbyłem w Petersburgu w 12-ym gimnazjum. W dniu świąt narodowych rosyjskich i różnych „galówek” musiałem wraz z klasą asystować na nabożeństwach prawosławnych. Mój pierwszy spowiednik,



ognisty i gołębiego serca ks. Łoziński (późniejszy biskup Pińska, który umierał jak święty) pouczył mnie:

„Wolno ci asystować przy prawosławnym nabożeństwie — jesteś zmuszony, ale nie wolno ci podczas tego nabożeństwa się modlić, to już będzie grzechem, łączeniem się dobrowolnym z herezją”.

Po pontyfikacie Jana XXIII, po zwołanym przez niego Soborze, oba przeze mnie opowiedziane fakty nie są już do pomyslenia w świecie katolickim, i gdyby gdziekolwiek miały jeszcze zaistnieć byłyby *przeciw* niedwuznacznie wyrażonej myśli Kościoła, i to nie tylko w stosunku do chrześcijan „rozłączonych”, ale wobec Żydów, innych wyznań nie-chrześcijańskich, również wobec niewierzących.

Znaczenie tego faktu jest tak wielkie, że zdaje mi się przerastać wszystkie inne możliwe skutki pontyfikatu Jana XXIII i uchwał Soboru.

Nie odpowiadam na dalsze zapytania ankiety, jednym z powodów jest że przeczytałem książkę Jacka Woźniakowskiego o Soborze, którą tylko co wydał „Znak” w Polsce, „Laik w Rzymie i Bombaju”. Jest ona nasycona znajomością, czuciem długich procesów historii Kościoła i historii w ogóle, najeżona bezcennymi cytatami, wnikliwa i śmiała — wykazała mi przepaść mojej ignorancji w tylu problemach, które Sobór próbuje rozwiązać. Chciałbym zamiast dalszych odpowiedzi na ankietę namawiać każdego, by przeczytał tę książkę i specjalnie rozdział *o wolności*.

Józef CZAPSKI

## Zmiany w polityce Kościoła

Aby zrozumieć zmiany w polityce Kościoła należy przede wszystkim zdać sobie sprawę, czym zostały wywołane. W ten sposób będzie można starać się pojąć intencję tych zmian, ewentualnie popatrzeć na nie krytycznym okiem.

Ale przede wszystkim kilka uwag ogólnych.

Przez politykę Kościoła należy rozumieć jego obecność i oddziaływanie na społeczeństwa a nie tylko jego działalność, jaką się na ogół uważa za „politykę”. Przy czym to oddziaływanie jest dwojakiego rodzaju. Pierwszy to pobudzanie ludzi do życia „sprawiedliwego” to znaczy zgodnego z prawem boskim. Jest to cecha nie będąca wyłącznością religii katolickiej czy też jakiejś innej religii. Ale religia katolicka także pobudza do tego rodzaju życia. Cecha ta jednakże nie będzie stanowiła przedmiotu następujących rozważań.

Chodzi tu natomiast o życie „religijne”, jakie jest wywołane obecnością Kościoła i jakie przejawia się w wielu dziedzinach życia. Żyją nim osoby, o których mówi się, że są „praktykujące”. To życie religijne stanowiło w swoim czasie, z braku władzy, czynników, pokazaną część życia ludzi i to wielu ludzi. Fakt ten ma znaczenie, jeśli się bada, do kogo obecnie zwraca się Kościół.

Swego czasu Kościół, biorąc pod uwagę swe interesy organizacyjne, zwracał się przede wszystkim do warstw posiadających tak pieniądze jak władzę. W samej rzeczy poprawa bytu warstw niższych zależała tylko od postępu cywilizacji. Inne warstwy były zmuszone iść za potężnymi przede wszystkim z braku swobody osobistej a także z powodu nieistnienia innych ośrodków, które mogłyby się równać z Kościołem. Ale z czasem wpływ Kościoła na te upośledzone warstwy, liczebnie potężne, zaczął maleć. I to przede wszystkim wpływ Kościoła jako centrum władzy, gdyż jego wpływ psychologiczny pozostał dłużej i trudniej zanika.

Przykładem tego są rodziny komunistów, nie tylko polskich, gdzie się przestrzega — przynajmniej ze strony jednego z człon-



ków rodziny, zwykle żony — wypełniania praktyk religijnych takich jak ślub w Kościele, chrzczenie dzieci, pogrzeb z księdzem i t.d. To wszystko zwykle bez specjalnego sprzeciwu ze strony innych członków rodziny.

Jakie są przyczyny tego zmniejszania się wpływów?

Przede wszystkim należy się zająć dziedziną praktycznie-religijną, gdyż w politycznej wpływ Kościoła ulega takim losom jak i znaczenie innych partii politycznych (choć Kościół korzysta z tradycji władzy i organizacji). I tak pierwszorzędny element wpływu Kościoła na społeczeństwo, nabożeństwa, nie są już urozmaicheniem czy widowiskiem. Straciły swą oryginalność w porównaniu z tak już licznymi obecnie widowiskami. Również masy, skłonne do poddawania się czyjejś sugestii i do powierzchownego mistycyzmu, znajdują to przy innych okazjach (walka polityczna, ruchy rasowe). Dawniej cóż mogło się oprzeć porywającemu, bo jedynemu w swoim rodzaju, *Dieu le veut?* Przepych liturgiczny został przewyższony przez teatry, rewię i kino. Wpływ „kościół” jako ośrodka towarzyskiego zanikł już prawdzie zupełnie zastąpiony innymi okazjami do życia towarzyskiego (od stadionu do campingów). Pewien ton „czarodziejskości” jest usuwany z innych przyczyn przez sam Kościół (usuwanie łaciny, poprawki liturgiczne). „Cudowność” opowiadań biblijnych robi coraz mniejsze wrażenie w epoce Gemini czy też wspaniałego rozwoju medycyny. Innym ważnym powodem jest zanikanie „przymusu religijnego” oddającego pod mało przychylny osąd bliźnich osoby wyłączające się z powszechnie przyjętych zwyczajów jak chodzenie w święta do kościoła, niepracowanie w niedzielę i t.d. Ten ostatni zanik jest wywołany nadmiarem zajęć, łatwością komunikacji, wzrostem ludności i związanym z tym wszystkim upadkiem parafii jako ośrodka życia kulturalno-towarzyskiego. Trzeba zauważyć, że zanik ten jest powolny i do dziś dnia np. w centralnych stanach U.S.A. czy też w Polsce przymus religijny nawet w miastach jest jeszcze dość silny.

Wymieniony przed chwilą nadmiar zajęć jest wywołany znowu koniecznością poświęcania coraz to większej części dnia na podwyższanie ustawicznie się podnoszącej stopy życiowej. Tak przynajmniej u większości ludzi.

W czasach, gdy potrzeby ludzi były niewielkie a praca ograniczona długością dnia, łatwo zrozumieć, że nadmiar czasu był poświęcony — w braku czegoś innego — życiu religijnemu w formach niezawsze najbardziej budujących, jak np. polowaniu na czarownice.

Te wszystkie przyczyny (i może jeszcze inne) spowodowały że Kościół, nie bez oporu ze strony niektórych, nawet najwyższych swych przedstawicieli, zdecydował się zmienić dotychczasową politykę. Przede wszystkim chodzi tu o stosunek do szerokiej masy, o zbliżenie ich do Kościoła, o zajęcie się nimi. Rzecz prosta w teorii, a w pierwszych latach swego istnienia nawet w praktyce, Kościół zwracał się do wszystkich, wyraźnie głosząc swe upodobanie ubogich (przypowieść o bogaczu i uchu

igielnym). Obecnie także nie zaniedbuje warstw zamożnych, zwłaszcza tam, gdzie nie ma demokracji (w Hiszpanii „Opus Dei” grupuje przede wszystkim przywódców intelektualnych, potentatów finansowych, wysokich urzędników państwowych) ale zaczyna zajmować się czynnie także warstwami niższymi. Wiele znaczący jest fakt, że zaczyna się głośno mówić o dechrystianizacji świata roboczego. Tylko że samo to podejście staje się przedmiotem gwałtownych dyskusji, jak je należy wykonać. Czy w sposób nowy zbliżając Kościół do szerokiej warstw, ułatwiając im udział w nabożeństwach (msze popołudniowe) czyniąc liturgię bardziej zrozumiałą, zezwalając wiernym na udział w pewnych funkcjach kapłańskich, towarzysząc wiernym nawet podczas pracy (eksperyment księży robotników), zmniejszając dystans pomiędzy hierarchią i wiernymi a także niższym klerem. Czy też idąc starą wypróbowaną drogą wymagania posłuszeństwa tradycyjnymi nadziejami i karami. Kto choć trochę obserwuje wydarzenia w Kościele, ten wie, jak wielkim wahaniom ulegają te najrozmaitsze decyzje i jak często są one odwoływane, na nowo wypowiedane, cieniowane i podkreślane. Przykładem dość widocznym tego braku zdecydowania jest np. sprawa żydowskiego bogobójstwa, jaką zajmuje się obecny sobór. Sprawa ta nie wydawałaby się specjalnie ważna dla Kościoła — jako że trudno liczyć na masowe przechodzenie na katolicyzm izraelitów — jest jednak bardzo dyskutowana, choć w istocie dla ludzi myślących jest całkiem oczywista. (Równie dobrze możnaby np. Polaków uważać za naród morderców sług bożych, bo kiedyś jeden polski książę skazał na śmierć swego biskupa). I jak dotychczas nie może się ona doczekać jasnego i stanowczego odwołania dotychczasowej, tradycyjnej nienawiści.

Ale dyskusje nad nową polityką Kościoła to nie tylko wahania pomiędzy stanowiskiem postępowym a konserwatywnym. Na marginesie należy dodać, że jeśli chodzi o stanowisko większości wiernych świeckich, to jest ono z reguły konserwatywne i wrogość jakimkolwiek zmianom. Wrogość ta nie prowadzi jednak do żadnej czynnej reakcji i jest przemijająca. Z nią Kościół nie potrzebuje się liczyć. Ciekawe jest natomiast, że na ogół zmiany te są oceniane przychylnie przez osoby nie praktykujące. Wracając jednak do owej dyskusji: przejawiają się w niej wątpliwości dotyczące samej doktryny, wzgl. — ponieważ jak wiadomo, doktryna jest zawsze ta sama — ustawienia jej różnych, bliższych lub dalszych elementów. Tak więc sprawa kultu świętych a przede wszystkim kultu maryjnego poddawana jest dyskusji. Chcąc usunąć niebezpieczeństwo (wcale nie takie pozorne) niemalże pogańskiego pojmowania religii wielu światlejszych duchownych chce jak najbardziej ograniczyć kult Marii P. i świętych. Sprzeciwiają się im ci, którzy, mniej wrażliwi na wagę zagadnienia monoteizmu, widzą w kulcie świętych potężny magnes przyciągający przede wszystkim ciśniejsze umysły. Jest to w samej rzeczy dylemat: do kogo ma się zwracać Kościół? Czy do ludzi na wyższym poziomie moralnym i intelektualnym, czy



też do tych, którzy ją uważają za jeden z praktycznych sposobów ułatwiających życie? I w tej sprawie Kościół nie zajmuje jasnego stanowiska, choć prawdopodobnie postanowi bronić swego stanowiska praktycznego. Jak chodzi o kult maryjny (którego broni m.in. kler polski), to zdaje się nie będzie on ani usunięty, ani nawet ograniczony. Zresztą trzeba zdać sobie sprawę, że np. w tzw. krajach misyjnych religia katolicka przedstawiona w formie ściśle monoteistycznej nie ma żadnych widoków rozwoju.

Jest jedna dziedzina, w której Kościół zmieni zasadniczo swe stanowisko. Jest to kwestia regulacji urodzin. Stała się bowiem tak istotną, że nie ma możliwości zignorowania jej. Kościół więc z całą pewnością zezwoli na regulację urodzin. Sposób, w jaki na to zezwoli (środki regulujące periodiczność okresów płodności u kobiety) ma na celu formalne zachowanie dotychczasowego zakazu zapobiegania ciąży. W dalszym ciągu więc nie wolno będzie używać środków chemicznych czy też mechanicznych. Wolno natomiast mieć stosunki w dniu, o którym się wie, że kobieta jest bezpłodna. Jak z tego widać choć cel (nie mieć dzieci) jest ten sam, to na jeden sposób zezwala się, podczas gdy inne są w dalszym ciągu potępiane — zgodnie z doktryną.

Trzeba także wspomnieć o ogłoszonej równości ludzi pod względem etycznym — bez względu na wyznanie. Stwierdzenie takie, które już dawno powinno było być sformułowane, gdyż wynika z zasady miłości bliźniego, musiało być ogłoszone w obecnych czasach demokracji. Jest to jednakże stwierdzenie, które w praktyce nie wiele zmienia działalność Kościoła.

Na istotniejsze zmiany nie zanosi się. Stanowi to zawód nie tylko dla obserwatorów świeckich. Także obserwatorzy innych wyznań (jak wiadomo zaproszeni na obecny sobór) daremnie czekają na wyjście im naprzeciw. Dogmatów Kościół nie chce zmieniać ani na jotę. W takich warunkach mowa o zjednoczeniu, o nawiązaniu stosunków, jednym słowem o jedności chrześcijan, która niewątpliwie ponad dogmatami i liturgią, istnieje w istocie nauki Chrystusowej, wygląda na gest lub co gorzej na wezwanie do porzucenia „błędów” i powrotu do jednej wiary. Tak więc próby zwrócenia się Kościoła do szerokich mas mają charakter formalny a nie ułatwiają absolutnie sceptykom zbliżenia się do wiary.

Trzeba zauważyć, że pierwsze kroki Kościoła, mające charakter polityki „masowej”, w czasach nowożytnych, datują się już od dość dawna. Encyklika Leona XIII *Rerum Novarum* będąca odpowiedzią na manifest Marksa została ogłoszona w ubiegłym stuleciu. Pozostała jednak bez jakiegokolwiek praktycznego echa.

Niepewność i dyplomatyczność decyzji odbierają wrażenie szczerości i prawdziwego entuzjazmu, jakie wzbudził swego czasu Jan XXIII, chyba pierwszy z papieży nowoczesnych, który miał odwagę uznać wszystkich, nawet zdeklarowanych ateuszów, za swych bliźnich.

Czy te nowe wysiłki Kościoła spotkają się z sukcesem? Trudno to przewidzieć, ale sądząc po wahaniach, ostrożnościach, bra-

ku zdecydowania, nie dadzą wielu owoców. W pewien sposób odbiją się jednak na życiu społecznym, np. uznanie konieczności regulacji urodzin znajdzie swój wyraz w liberalniejszym ustawodawstwie w tej dziedzinie wielu państw. Zmiany w Kościele katolickim w Polsce będą prawdopodobnie stosunkowo niewielkie i ograniczone do formalnych szczegółów. Będzie to wywołane niższym poziomem wiernych i kleru i związanym z tym konserwatyżmem. Trzeba jednak zdać sobie także sprawę, że Kościół polski, zagrożony przez państwo, nie ma wielkiej ochoty do zajmowania się zmianami swej polityki, która poświęcona jest przede wszystkim walce o prawa, niezależność, byt.

Tak więc ogólnie rzecz biorąc życie religijne nie zmieni się wyraźniej i prawdopodobnie będzie coraz bardziej tracić na wartości. Jeśli zaś chodzi o życie „sprawiedliwe” wspomniane na wstępie, to — miejmy nadzieję — nawet będąc udziałem nielicznych będzie jednak dalej istnieć.

Andrzej JĘDRKIEWICZ



## Odpowiedzi szczegółowe

Jerzy HORZELSKI

Jaki jest cel ankiety? Gdyby chodziło o wysondowanie opinii i poglądów ogółu na tematy wypunktowane w pytaniach, to należy podkreślić, że uczestnicy ankiety nie będą stanowić jakiejś reprezentacyjnej grupy społeczeństwa polskiego, ani nawet polskiej społeczności emigracyjnej. O „grupie reprezentacyjnej” mówię w tym znaczeniu w jakim termin ten jest używany w socjologii przy naukowych metodach badania opinii publicznej.

Uczestnicy ankiety nie będą grupą reprezentacyjną nawet zespołu czytelniczego „Kultury”. Będą oni, w najlepszym razie, przykładem tej szczególnej kategorii czytelników, którzy wypowiadają się w listach do redakcji, do autorów książek i td. Jest to rodzaj bardzo przyjemny dla pisarzy, publicystów i redaktorów, gdyż nie ma nic bardziej zniechęcającego dla autora niż brak jakiegokolwiek odzewu na jego pracę — ale jest to gatunek odbiorców osobliwy i wybór ich wypowiedzi może być ciekawy literacko, nie ma jednak, oczywista, wartości dla konstruowania wniosków ogólnych, obejmujących społeczność.

Zastrzeżenia te i wątpliwości należy natychmiast podnieść do kwadratu, albo i wyższej jeszcze potęgi, gdy ankieta upoważnia do odpowiedzi *anonimowych*. Jeżeli ostatecznie, od biedy, można by uzasadnić zgodę na *nieujawnianie* przez redakcję nazwisk osób piszących z Kraju, to jakąż obiektywną wartość można przypisywać poglądom kogoś, kto decyduje się je wypowiadać tylko jako anonim? Jeżeli znajduje się on w takich warunkach środowiskowych, że jego szczerze poglądy mogłyby go narażać na przykrości, ostracyzm, lub... śmieszność, to istnieje uzasadnione przekonanie, że jego anonimowa opinia będzie psychiczną czkawką — raczej przesadną reakcją na obmierzłe stosunki danego partycypularza społecznego, niż przemyślanym poglądem. W rezultacie będą to wypowiedzi rodzaju zupełnie innego, nieporównywalnego z wypowiedziami jawnymi. Dlatego nie należałoby ich zestawiać razem, ani łączyć brać pod uwagę. Ze względów zasadniczych

jestem zawsze zdecydowanym przeciwnikiem jawnych głosowań i niejawnych opiniowań.

Całkowitym nieporozumieniem jest żądanie danych osobowych. „Wiek, wykształcenie, zawód” jako kategorie paszportowe znaczą mniej niż niewiele. Jako sposób na uplasowanie odpowiedzi w układzie współrzędnych reprezentacyjnej próbki społecznej jest w tym wypadku bezwartościowy, skoro grupa reprezentacyjną nie jest.

Kategorie „wierzący”, „praktykujący” — to wymiar zupełnie inny i prowadzący do kompletnego bałamuctwa. Jeżeli czytelnicy A, B, C i td. samookreślą się jako „wierzący”, to istnieje przecież możliwość, ba! nawet pewność, że w każdym z tych wypadków rzeczywista treść przymiotnika „wierzący” będzie inna. Wierzący — w co? w Boga? w niebo i piekło? w credo nietzscheańskie? w zespół dogmatów? jeżeli tak, to jak skodyfikowanych i sformułowanych? w orzeczenia proboszcza czy kapelana?

A także wierzący — jak? z pełnym wewnętrznym spokojem przekonania? ze świadomym odpychaniem wątpliwości przez metody „racjonalnych” rozumowań i „dowodów”?... lub przez serie ćwiczeń „duchowych”? z odtrąceniem zwątpień w obawie groźnych konsekwencji jeżeli wszystko to jednak okaże się prawdą? z ulegania sugestii silniejszej osobowości?

„Praktykujący” — ale dlaczego? z przekonania intelektualnego? z potrzeby emocjonalnej? z przywiązania do tradycji rodowej? z obowiązku społecznego? pod naciskiem proboszcza? aby na wszelki wypadek być w zgodzie z formalistyką obrządku? dla świętego spokoju?

Są to wszystko różnice subtelne, trudne do ujawnienia, o granicach międzyrodzajowych niewyraźnych, a przecież wpływające bardzo istotnie na intelektualną pozycję wypowiadanych opinii. Wpływające jaskrawo na samo ich sformułowanie.

Jeżeli autorzy ankiety chcą mieć jakiś zarys sylwetki osobowości uczestnika ankiety, to czemu nie interesują się jego rzeczywistym profilem psychicznym? jego pozycją na skalach wymiarów takich jak sizotymia — afektotymia, emocjonalizm — niewzruszoność, dominacja — submisja i td. i td. (choćby w zakresie ograniczonym do 16 zasadniczych czynników osobowości od A do Q4). Jasne jest, że nie można spodziewać się właściwego samookreślenia czytelnika w tym zakresie (ale i samookreślenie w zakresie „wierzący” jest w istocie bałamutne), istnieje jednak możliwość sformułowania takich kwestionariuszy, których wypełnienie pozwoliłoby nakreślić profil psychologiczny wypełniającego z dużym stopniem dokładności. (Naturalnie, najskuteczniejszą metodą byłoby wybranie odpowiedniej grupy — reprezentacyjnej dla opracowywanej społeczności — i przeprowadzenie wywiadów-rozmów przez osoby o fachowym psychotechnicznym wykształceniu. Wyobrażam sobie, że mogłyby się znaleźć jakieś fundacje lub instytucje, naukowo-religijne lub społeczno-religijne, które gotowe byłyby nawet sfinansować poważny projekt takiego rodzaju).



Tyle co do ankiety w ogóle.

Co do wypunktowanych pytań, mam uwagi tylko do niektórych, a i te muszę poprzedzić naszkicowaniem wstępnych stwierdzeń i założeń.



W rozważaniach na temat „kultury” posługujemy się tak szerokim i mglistym znaczeniem pojęcia „kultura”, że wypowiedzi różnych osób stają się często całkowicie niewspółmierne i nieporównywalne z przyczyn czysto terminologicznych. Dyskusje stają się szermierką z cieniem. Tutaj może być miejsce tylko na najbardziej szkicowe zaznaczenie mojej pozycji:

W każdej społeczności istnieć muszą jakieś wspólne metody zaspokajania potrzeb organicznych, a więc jakieś formy organizacji ekonomicznej. W każdej istnieć muszą środki odnawiania i uzupełniania zespołu nowymi pokoleniami, a więc jakieś urządzenia edukacyjne. Wszędzie podstawą funkcjonowania jest współdziałanie grup, zespołów, rodzin i jednostek indywidualnych, a więc niezbędne są urządzenia dla sankcjonowania zwyczajów, rytyn, etyk i praw, oraz ochrony przed czynnikami destrukcji z zewnątrz i z wewnątrz.

Wreszcie, istnieją potrzeby integracyjne i te są zaspokajane przez czynniki takie jak wiedza, religia, sztuka i rozrywki.

Wszystkie te czynniki razem i łącznie jako całość stanowią to co nazywamy naukowym terminem KULTURA (tak jak go sformułował Bronisław Malinowski). Każdy z wymienionych czynników może działać tylko w formie organizacji, dla których trudno o lepszy termin niż *instytucja*.

Tak więc jednostkowa, integralna grupa społeczna posiada zespół instytucji, których istnienie, wzajemna zależność i współdziałanie stanowi kulturę grupy.

Ankieta używa zwrotu „świat naszej kultury”. Czy chodzi tu o kulturę polską, europejską, białej rasy, czy jeszcze jakąś inną? Choć bowiem są to kultury spokrewnione, to jednak stanowią dość wyraźne jednostki osobne. Sformułowanie pytań ankiety zdaje się nie rozróżniać tych odrębnych grup kulturowych.

Kultura europejska, jeżeli można by ją rzeczywiście uważać za ukształtowany i czynny fenomen — byłaby w pewnym sensie przedłużeniem kultury „świętego imperium”, do której to kultury w pewnym okresie rozwojowym została świadomie i celowo wprowadzona przez Konstantyna instytucja religijna kościoła chrześcijańskiego dla zastąpienia obumierających już i niesprawnych instytucji religijnych.

Do tej epoki grupa społeczna tej kultury była stosunkowo niezbyt liczebna, a rozszkana po dużym terenie wybrzeży Morza Śródziemnego. Do grupy społecznej i kultury nie należały bowiem najliczniejsze masy: chłopstwo i niewolnicy. I jedni i drudzy stanowili jakby przedmiot — dobro materialne — narówni z dobrami mineralnymi, fauną i florą, posiadanymi przez społecz-

ność kultury. Chłopi mieli, oczywiście, swoje stare, drobne, odrębne szczepowe grupy kulturowe, z własnymi instytucjami kulturalnymi, nie wyłączając edukacyjnych, religijnych, artystycznych i td. Niewolnicy zaś byli luźnym piaskiem jednostek oderwanych od własnych kultur, zsypanych razem jako motłoch.

Pojawiały się wreszcie spoza horyzontu nowe obszerniejsze grupy społeczne, które musiały być albo zniszczone, albo włączone do kultury imperium.

Instytucja religijna chrześcijaństwa miała za zadanie dokonanie penetracji kultur szczepowych i grupowych, i rozpoczęcie integracji kulturalnej, uzupełniając w ten sposób działanie innych instytucji, takich jak ekonomiczne, polityczne, militarne i td. Organizacja religijna chrześcijaństwa okazała się zdolną do przetrwania wstrząsów i katastrof politycznych, militarnych i gospodarczych imperium. Co więcej, zdołała ona w tych katastrofach opanować i narzucić hegemonię innym instytucjom kulturalnym: etycznym, wychowawczym, naukowym, nawet częściowo gospodarczym i politycznym. Jednak, mimo to, mimo objęcia pozycji nadrzędnej, swego zasadniczego zadania kulturalnego instytucja religijna chrześcijańska spełnić nie zdołała, gdyż ostatecznie kultura imperium rzymskiego rozszczępiła się na grupę kultur narodowych. Te różniczkujące tendencje są w dziedzinie kultur nadal całkiem żywotne i aktywne; odwrotne tendencje całkujące zdają się jednak pomimo to narastać.

Uwagę o de-chryścianizacji naszej kultury (kultur narodowych?) możnaby pojmować jako stwierdzenie faktu, że instytucje religijne chrześcijaństwa nie tylko są same rozbite na odrębne grupy (i to nie tylko dogmatyczne ale także i narodowe), ale nie ujawniają realnej aktywności integracyjnej. Raczej wręcz odwrotnie.

Ponadto, instytucje religijne, a na terenie hipotetycznej kultury europejskiej w szczególności instytucje katolicyzmu, ujawniają ostrą tendencję dominowania nad innymi instytucjami kulturalnymi, majoryzowania ich, przez co kultura traci wewnętrzną strukturę i jej równowaga zostaje zwichnięta, staje się ona jednotorowa i zubożona. Siły rozwojowe kultury zostają pogwałcone. Instytucje kulturalne katolicyzmu zdają się coraz bardziej tracić zdolność rozumienia współpracy z innymi instytucjami kulturalnymi w formie innej niż dominacja i hegemonia. Gdy zaś w tych instytucjach budzi się reakcja i sprzeciw wobec takiej formy „współdziałania”, to w kołach instytucji religijnych formułowana jest diagnoza „de-chryścianizacji”.

W wypadkach gdy jakakolwiek instytucja kulturalna, w mniejszej czy większej społeczności, zaczyna obejmować hegemonię, to albo kultura tej społeczności kosztownie i paretycznie się, albo też dana instytucja kulturalna zostaje stopniowo z kultury wyobcowana i odrzucona, jak z organizmu ciało obce. Kultura może takiego procesu nie przeżyć, ale może także wytworzyć nową analogiczną instytucję kulturalną i rozpocząć nowy proces rozwoju.



Kto wie czy należałoby mówić nie tyle o de-chryścianizacji kultury, ile o de-chryścianizacji instytucji religijnych. Starając się uchwycić władzę i decyzję w instytucjach innych — wychowawczych, społecznych, nawet politycznych, artystycznych i in. — instytucje religijne zdają się tracić żywotność i aktywność w swej właściwej dziedzinie. Jeżeli to jest kryzys chrześcijaństwa to chyba tylko jako organizacji administracyjnej, hierarchii, oraz taktyki i strategii. Potrzeba instytucji religijnej w kulturze istnieje tak samo jak zawsze. Czy chrześcijaństwo może się do tej roli w nowoczesnej kulturze dostosować? Oto zagadnienie. Nie uważam się jednak za kompetentnego aby na nie odpowiadać. Diagnoza taka wymagałaby bardzo obszernych, gruntownych i specjalistycznych studiów.



Konflikt pomiędzy wiedzą i wiarą jest wyrażeniem metaforycznym, którego nie należy brać dosłownie. W istocie nigdy nie było i być nie może konfliktów między wiedzą i wiarą, gdyż są to dziedziny (zjawisk psychicznych!) odrębne i bezpośrednio od siebie niezależne. W rzeczywistości, to co takim konfliktem potocznie się nazywa, to jest albo spór między *instytucją* religijną i *instytucją* naukową, albo też, częściej, sprzeczność pomiędzy jakąś *interpretacją* zasady dogmatycznej a *hipotezą* (teorią) naukową, uogólniającą pewien zakres obserwacji. Przeważnie, po upływie mniejszego lub większego czasu (to znaczy, pokoleń) okazuje się, że możliwa jest taka re-interpretacja zasady dogmatycznej przy której rzekoma sprzeczność znika. Tak było na przykład z teorią Kopernika, którą w sformułowaniu Galileusza uznawano za pomniejszą herezję, sprzeczną z zasadami chrześcijaństwa; tak dzieje się zapewne z teorią ewolucji — aby przypomnieć dwa najgłośniejsze przykłady.

Konflikt taki nie jest zatem jakimś procesem kulturalnym, który może wzrastać lub maleć, ale jest to przypadkowy ewenement zależny od osobowości i wpływu indywidualnych dogmatyków oraz ich giętkości lub sztywności intelektualnej.

Odnosi się to nie tylko do dogmatyzmu religijnego, ale znacznie ogólniej, również do dogmatyzmów legalnych, gospodarczych, filozoficznych i tp., a więc i przypadków racjonalizmu, materializmu, idealizmu i td.



O tyle o ile komunizm jest ruchem filozoficznym, dążącym do stworzenia nowej, integralnej kultury o odrębnych, swoistych instytucjach gospodarczych, politycznych, religijnych (tak!) i td., będzie on instytucje religijne chrześcijańskie (zresztą także judaistyczne, muzułmańskie i tp.) starać się wyeliminować drogą upartej, długofalowej polityki, tak jak eliminuje i przetwarza inne instytucje kulturalne. W tym sensie chrześcijaństwo można

uważać za instytucję, która jest zwalczana przez komunizm. Nie da się jednak widzieć w chrześcijaństwie *alternatywy* w stosunku do komunizmu, ani też, oczywiście, uważać chrześcijaństwo za „ideologię” demokracji. Chrześcijaństwo może się przeciwstawić komunizmowi *skutecznie* tylko i wyłącznie działając w kompletnym koncercie z innymi, pozostałymi instytucjami kultury, nie zaś w izolacji i, naturalnie, nie jako hegemon.

Komunizm jest systemem filozoficznym totalizującym całość kształt instytucji kulturalnych. Musi on więc w rezultacie doprowadzić albo do skostnienia swej społeczności, albo do powstania sił które złamią komunizm-filozofię i odrzucą go (choćby nawet zatrzymały pustą nazwę). Niestety jednak trzeba zaznaczyć, że procesy kulturalne przebiegają w szczególnej skali czasowej: liczą się tu nie dziesiątki lat, ale pokoleń!

O ile zaś komunizm będzie się traktować jako instrument polityczny, to jasne jest że tym bardziej chrześcijaństwo nie może być jego właściwym przeciwnikiem.

Jeżeli ktoś chciałby pojmować chrześcijaństwo jako ruch dążący również do stworzenia nowej integralnej kultury, o stotalizowanym całokształcie instytucji kulturalnych — to byłoby ono nie tyle przeciwnikiem ile konkurencyjnym współzawodnikiem komunizmu i równie skazanym na bankructwo. (Możnaby tu wspomnieć dzieje Arkadii Paragwajskiej Jezuitów).

Pytanie Nr 5 pokrywa już uwaga naszkicowana we wstępie ogólnym.

Dział pytań w grupie II jest konglomeratem zagadnień różnorodnych o tak szerokiej tematyce, że trudno je traktować poważnie jako część jednej ankiety. Są tam takie pytania, z których każde mogłoby wystarczyć za temat oddzielnej, obszernej ankiety.

Niektóre pytania poruszają zagadnienia historyczne, dla oceny których potrzeba olbrzymiego zakresu wiadomości czysto dokumentalnych i wieloletnich studiów. Na takie pytania jak np. Nr 1 będzie można starać się sformułować odpowiedź może za lat 50, a może jeszcze nie. Pytania takie jak Nr 6, 9 i 10 należą właściwie do zakresu patafizyki (kłania się Alfred Jarry).

Inne pytania sprowadzają się naprawdę do zagadnienia czy instytucja religijna powinna rzetelnie współpracować i koordynować swe akcje z działaniem innych instytucji kulturalnych dla ułatwienia rozwoju kultury i umożliwienia jej integracji z pokrewnymi kulturami narodowymi.

Dział pytań w grupie III skierowany jest zapewne wyłącznie do czytelników z Kraju, wymaga on bowiem tak ścisłej znajomości spraw krajowych jakich nie można nabyć z drugiej ręki, ani z krótkich, turystycznych wizyt.

27 lipca 1965.

Artro, Penrhyncoch, nr. Aberystwyth,  
Cards. W. Brytania.



## NIEPODPISANA WYPOWIEDŹ Z PARYŻA

## I.

1. Na pewno kryzys. Kryzys wynikający z faktu wcielania się chrześcijaństwa w nową cywilizację, której tworzenie się i obecność jest oczywista. Trudność polega na tym, że ta nowa cywilizacja nie jest w przeważnej mierze tworem chrześcijaństwa (tak jak średniowieczna), ale że potraktowała ona chrześcijaństwo jako jedno tylko ze swych źródeł paralelnych, zwracając głównie uwagę nie na istotę ideologii chrześcijańskiej, ale raczej na jego wartości kulturalne.

2. Konflikt między wiarą i wiedzą w naszych czasach uległ na pewno bardzo wyraźnemu złagodzeniu, przeciwnie do XIX w. i okresu przedwojennego.

3. Z jednej strony trudno zaprzeczyć kryzysowi zaufania do wiedzy jako jedynego źródła odpowiedzi na każde pytanie, z drugiej wszakże, dla wielu ludzi zdobycze dzisiejszej (i przyszłej) nauki stają się pomocą w niektórych problemach wiary. Wydaje się, przykładowo, że dziś dogmat zmartwychwstania ciała wzbudza mniej niepokoju aniżeli w XIX w. I to właśnie ze względu na nowe horyzonty wiedzy. Wydaje się także, że prawdziwy materializm jako ideologia, nie praktyka, jest już mocno przestarzały i prymitywny.

4. Trudno jest trochę zestawiać chrześcijaństwo z komunizmem jako dwie ideologie. Ich cele są zupełnie różne, a to przecież specyfikuje. Ale jeżeli już się zestawia, to trzeba uznać zasadniczy i nie do pogodzenia konflikt między nimi. Wynika on z zupełnie innej koncepcji człowieka, osoby ludzkiej. Dlatego też, mimo wszystkich błędów KOŚCIOŁA jako instytucji TAKŻE ludzkiej, błędów przeszłości, teraźniejszości, a także, co nieuniknione, przyszłości, chrześcijaństwo jest w swojej istocie obroną godności i wolności ludzkiej przed każdą agresją totalizmu, jakiegokolwiek, a więc dziś przede wszystkim komunistycznego.

## II.

1. Sądzę, że adekwatne danie odpowiedzi na to pytanie przekracza możliwości człowieka żyjącego prawie w pokoleniu Jana XXIII. To jest pytanie dla historii przyszłości. Ale: pontyfikat Jana XXIII był NA PEWNO jednym z najdonioślejszych w dziejach Kościoła i świata. Prawdopodobnie będzie zestawiany kiedyś z pontyfikatem Grzegorza Wielkiego, Grzegorza VII i Innocentego III. Oczywiście nie chodzi tu o „gatunek” pontyfikatu, ale jego doniosłość. Wielkość Jana polegała na decyzji wielkiej wagi (wedle niektórych bardzo ryzykownej) otwarcia Kościoła dla współczesności, to znaczy nadania mu w tym, co może podlegać reformie, takiego oblicza, które dzisiejszemu człowiekowi stałoby się bliskie, swoje. Nawet niewielkie reformy mogą zmie-

nić wiele, jeżeli zlikwidują poczucie tego wyobcowania Kościoła ze „zwykłości” życia człowieka, który, mimo wszystko, jest dziś dosyć zagubiony.

2. a) i b) — odpowiedź wyłącznie pozytywna.

c) Sprawa antysemityzmu jest zbyt skomplikowana aby można ją całą tutaj rozpatrywać. Oczywiście, że błędy tak Kościoła jak i społeczeństwa świeckiego bywały czasem ogromne. Nie upraszczajmy jednak zbytnio. Na całe szczęście, to chyba już dziś domena historii (mimo, że czasem bardzo niedawnej). W dzisiejszym świecie nie ma miejsca dla uzasadniania jakiegokolwiek rasizmu a więc i antysemityzmu.

d) Indeks w obecnej formie na pewno jest anachronizmem. Co do proponowania nowych form, to zawsze jest to niebezpieczne, ale wydaje się, że dziedzina objęta dzisiejszym indeksem powinna być, jedynie tylko w bardzo ważnych wypadkach, oceniana przez kompetentną władzę kościelną i to, nie jako zakaz ale jako rada. Poza tym, a raczej przede wszystkim, trzeba zwrócić uwagę na pozytywne i dostępne człowiekowi współczesnemu pouczenie o istocie chrześcijaństwa i jego założeniach moralnych.

3. Dalsza reforma liturgii, może nawet pewna przebudowa mszy, uproszczenie ceremoniału oraz tytulatury, większa decentralizacja, przełożenie na język współczesny nauczania filozoficznego i teologicznego, reforma seminariów, może w kierunku także pewnej decentralizacji, powrót do formy przedtrydenckiej, tak jak jest to już praktykowane w pewnych diecezjach niemieckich, ale przede wszystkim należy spodziewać się „reformy”, jeśli tu jest to słowo stosowne, „spiritualité” współczesnego chrześcijanina. Zbyt to szeroki temat, żeby go tu szczegółowo omawiać i będzie on chyba raczej wynikiem całości reform powziętych na Soborze, niż jakoś zadekretowanym bezpośrednio. Chodzi mi tu przede wszystkim o przywrócenie pierwszego miejsca w życiu tak poszczególnych ludzi jak całego Kościoła, wartościom pierwszorzędnym, metafizycznym” w znaczeniu filozoficznym, głoszonym przez Ewangelię, a przyćmionym z czasem przez pewne wartości, dobre same w sobie, lecz tylko drugorzędne. To powinno wpłynąć także i na sprawy moralności, na pewną rewizję także i etyki seksualnej, o którą pyta się punkt e).

4. Na pewno istnieje potrzeba nietyle rewizji dogmatów, co ich wytłumaczenia, a raczej „opowiedzenia”, językiem współczesnym.

5. Istotnie, w niektórych krajach, a raczej okolicach, kult maryjny przybiera pozory wielobóstwa. Jest to zawsze związane z niedokształceniem religijnym.

6. Pacyfizm chrześcijański jest pożądany jedynie w postaci poza politycznej. Nie wydaje się, aby udział duchowieństwa w rozmaitych kongresach pokoju o wyraźnej inspiracji politycznej był pożądany, ponieważ może to być wykorzystywane wieloznacznie. Rozsądny pacyfizm opierający się jedynie na Ewangelii wystarczy.



7. Tak, rewizja powinna nastąpić. Dotyczy to głównie stosunku do własności prywatnej, którą zbyt długo uważano za „sacrosanctum” nie podlegające ograniczeniom.

Wpływ doktryny społecznej Kościoła na świat pracy był i jest bardzo zróżnicowany, w zależności od kraju. Często jej znajomość jest nikła, często też była ona wykorzystywana przez polityków do ich własnych celów jako etykieta oficjalna. W sumie — nie wydaje się, żeby ten wpływ był istotnie wielki. Sytuacja powinna się zmienić po dokonaniu rewizji przez sam Kościół, z ograniczeniem się wyraźnym od jakiegokolwiek polityki.

8. Sformułowanie pytania niewłaściwe. O jakie dokładnie kraje chodzi? Trudno uważać Francję jako przykład typowy. Tu przyczyny dechrystianizacji były inne. Stany Zjednoczone, będące najwyższym przemysłowym krajem, dają zupełnie inny przykład społeczeństwa prawie „pietystycznego”.

9. Odpowiedź na pierwszą część pytania w dużej mierze jest już zawarta w innych punktach. „Aggiornamento”, prawdziwe, powinno ułatwić kontakt z każdą grupą społeczną.

Fenomen księży-robotników był specyficznie francuski, tak terytorialnie jak i koncepcyjnie. Akcja została zahamowana z tej prostej przyczyny, że saldo okazało się ujemne. Pomijając już wszystkie elementy ujemne odnoszące się do samych kapłanów (wynaturzenie ich życia „zawodowego”, samotność, wyizolowanie, dwuznaczność polityczna...), fenomen ten zawierał w sobie à rebours ujemne cechy powiązania z klasą posiadającą. Wystarczy posłuchać przemówień niektórych przywódców księży-robotników, żeby stwierdzić istnienie jakiejś „nienawiści klasowej”.

Kler francuski, zgodnie z naturą swego narodu, chętnie ulega szeregowi złudzeń odnośnie do „klasy robotniczej”. Robotnik francuski o niczym innym nie marzy tylko o przejściu do klasy petite bourgeoisie. Oczywiście, że wśród księży-robotników można też spotkać ludzi o wielkiej wartości wewnętrznej i duchu prawdziwego poświęcenia, wydaje się tylko, że nie tędy droga.

10. I tak i nie. Może w zależności od krajów czy kontynentów. Na pewno wielką zdobyczą byłoby doświadczenie sposobu życia własnych „owieczek”, ale też brak wolności rozporządzania tylko własnym istnieniem i działaniem przyniosłby wielkie zubożenie. Wydaje się, że mimo wszystkich punktów ujemnych celibatu, stanowił on niepośredni składnik aktywności duchowieństwa katolickiego (w przeciwieństwie do prawosławnych).

### III.

1. Proces dechrystianizacji w Polsce przebiega wolniej, z opóźnieniem. Prawdopodobnie działa tu wtórnie element polityczny. Kościół polski, mimo wszystkich swoich wad, jest napewno jedynym wyraźnym przeciwnikiem systemu rządzącego.

Możliwe, że dzięki powziętym reformom soborowym i posoborowym, Polska „nie zdąży” ulec takiej dechrystianizacji jaka

jest na Zachodzie. Możliwe też, że „natura polska” nie jest aż tak zmaterializowana jak np. francuska.

2. Laicyzowanie się życia polskiego, zresztą mimo wszystkich pozorów nie tak głębokie jak się czasem myśli, jest wynikiem tak zamierzonego działania reżymu jak „importu” zachodniego. Poprostu upodobniamy się *zewnątrznie* do reszty Europy.

Propaganda ateistyczna daje wyniki raczej przez swoje istnienie niż istotne działanie. To ostatnie jest albo zbyt prymitywne, albo oceniane przez społeczeństwo jako import ze Wschodu, a więc *ipso facto* wrogi narodowi.

3. Krępowanie i szykanowanie. Jedynie dlatego, że sytuacja wewnętrzna kraju nie pozwala na prześladowanie.

4. Jak w punkcie 1. Oczywiście sytuacja jest niezmiernie delikatna i niebezpieczna, bo każde zabarwienie polityką działania Kościoła może wypaczyć jego prawdziwe oblicze i powołanie.

5. Wydaje się (znów raczej sprawa przyszłej historii), że poza początkowymi błędami, wynikającymi z pewnej naiwności i nieznamości reżymu, polityka Kościoła polskiego wobec komunizmu jest właściwa.

6. Powiązanie katolicyzmu jest możliwe tylko z prawdziwym patriotyzmem a nie nacjonalizmem. Ten ostatni z natury swojej jest przeciwny uniwersalizmowi chrześcijaństwa.

Pamiętajmy o tym, że katolicyzm był wielokrotnie w Polsce jedynym terenem manifestowania wolności wewnętrznej. I chyba dziś także.

7. Bez wątpienia „natura polska” niesie z sobą wiele niebezpieczeństw odnośnie przeżywania chrześcijaństwa. Jednakże: Po wojnie zmieniło się wiele na lepsze, prawdopodobnie pod presją sytuacji politycznej, skłaniającej do refleksji i wyboru (katharsis religijności polskiej?). A także: Element polski wydaje się, po porównaniu z innymi środowiskami narodowymi, wcale nie taki najgorszy... Co do kultu maryjnego: miejmy nadzieję, że po pewnych ekscesach, wynikających zresztą z najlepszej woli, odnajdzie on właściwą równowagę teologiczną i kultową.

8. a) „Znak” miał w pewnych momentach (zaraz po zakończeniu wojny i w 1956) dużą szansę odegrania niepośledniej roli także politycznej. Okazja ta, z różnych przyczyn, minęła. Nie wchodząc w ocenę „kulisów” personalnych i sytuacyjnych, wydaje się, że zgrupowanie to nie dostosowało się do istotnego „zapotrzebowania społecznego” zapatrując się zbyt mocno na Zachód (Francję). Nie wydaje się, aby w przyszłości „Znak” uzyskał jakąś wybitniejszą rolę polityczną. Nastąpiło pewne rozczarowanie w społeczeństwie. Jego wydawnictwa są chętnie czytane bo dają gwarancję ortodoksyjności.

b) „Pax” jest zupełnie słusznie oceniany przez społeczeństwo. Wiadomy rodowód wywodzący się ze skrajnej prawicy, co najmniej dwuznaczne nawrócenie przywódcy na współpracę z reżymem i dwuznaczna sytuacja wobec hierarchii. Wielkim atutem są wydawnictwa, które są jednak wyraźnie oddzielane przez czytelników od ugrupowania.



c) Reszta, tak jak „Dziś i Jutro”, nie liczy się.

9. Gdyby była inna sytuacja wewnętrzno-polityczna, na pewno ujawniłoby się wiele niepoślednich talentów intelektualnych wśród katolików polskich. W każdym razie, wydaje się, że mimo wszystko, sytuacja jest lepsza niż przed wojną.

10, 11. Trudno mi się wypowiadać na ten temat nie należąc do emigracji. Ogólnie, z obserwacji: Emigracja inteligencka składa się w większości z ludzi średniego i starszego pokolenia z charakterystyczną formacją religijną sprzed wojny, która, mimo wszystko, jest dość różna od dzisiejszej krajowej. Emigracja robotnicza jest zbyt zklerykalizowana żeby zdobyć się na jakieś odświeżenie myśli. Duchowieństwo polskie na pewno odgrywa pryncypalną rolę w zachowaniu odrębności narodowej emigracji. Niestety, samo posiada dość mierną formację intelektualną, co wpływa na „owieczki”, utrzymując je w pewnym prymitywizmie religijnym i kulturalnym.

12. Na pewno poziom duchowieństwa w kraju pozostawia wiele do życzenia (myślę o poziomie intelektualnym i kulturalnym), jednakże na pewno jest o wiele wyższy niż przed wojną i wyraźnie poprawia się. Prawdziwym nieszczęściem w tej dziedzinie jest brak powołań inteligenckich. Jak do tej pory wieś stanowi przytłaczającą większość tak w parafiach jak na tronach biskupich i klasztorach. Paradoksem jest, że sama wieś, od strony wiernych, podlegała już znacznej ewolucji kulturalnej.

Nie wydaje się, aby wkład episkopatu polskiego w obrady soborowe był istotnie ważki. Z wyjątkiem abpa Wojtyły, który niezaprzeczalnie „zabłysnął” w pracach komisji schematu XIII (O świeckich w Kościele).

13. Tak, są bardzo pożądane nominacje kardynałów Polaków tak w kraju jak w Kurii. Jeden kardynał na 31 milionów to rząca dysproporcja w porównaniu z innymi krajami, często z mniejszością katolicką (Kanada!). Kardynał Prymas i tak zachowałby swe nadrzędne stanowisko ze względu na specjalne prerogatywy i mandaty Stolicy Świętej.

Ewa GIERATOWA

I. 1)

O zmierzchu, schyłku, można mówić dopiero po osiągnięciu szczytu. Czy był takowy? Czy istniało państwo chrześcijańskie, czyli oparte na zasadzie miłości? Może jesteśmy dopiero po stronie wstępującej, może dopiero wspina się, linią falistą, z licznymi krepysami? Nam współczesny wydaje się najgłębszy, ponieważ jest najszerszy, nie ma dziś zjawisk lokalnych tylko glo-

balne. 2000 lat to okres bardzo krótki w historii ludzkości. Dopiero jesteśmy u progu wielkiego skoku w mikro- i makrokosmos. Albo się unicestwimy lub co najmniej pomniejszymy i opóźnimy drastycznie, albo wzniesiemy się wyżej niż nam się dotąd śniło. (Lecz nie oznacza to naiwnego raję na ziemi; postęp idzie w parze z ogromnymi cierpieniami). O erze „po-chrześcijańskiej” można by mówić, gdyby większość ludzi przestała uznawać wartość miłości. W każdej szkole świata uczą współdziałać z towarzyszem, nawet jeśli w szkole chińskiej wpajana jest jednocześnie nienawiść do Ameryki. Przyszłość chrześcijaństwa leży w uzdrawianiu międzyludzkich stosunków, a ściślej, w dostarczaniu pomocy Boskiej do spełniania tej najszczerzej aspiracji ludzkości. Może jesteśmy dopiero u progu ery chrześcijańskiej, odkąd uświadomiliśmy sobie wspólnotę losu ludzkości?

I. 2)

Zarówno wiara jak wiedza są zbliżaniem się do Prawdy, na dwóch różnych płaszczyznach. W istocie rzeczy, konflikt nie może istnieć. Stan nauki, zwłaszcza XIX-wiecznej, oraz sposób uczenia prawd wiary katolickiej, były przez wieki w jaskrawej sprzeczności. Nauka dzisiejsza jednak jest pokorna, argument o rzekomej „nienaukowości” religii nie przemawia do ludzi wykształconych, odczłowieczenie grożące ze strony techniki widoczne jest nawet dla dość prymitywnych umysłów, które zdają się dawną wiarę w anioły zamieniać na wiarę w elektrony. Psychologia, socjologia, cała wiedza o człowieku i o wszechświecie, wykazuje dziś wspólną zbieżność z poglądem religijnym, a mianowicie, że miłość jest do ludzkiego życia niezbędna. Trudnością naszych czasów nie jest wiedza, w sensie faktów, odkrywanych przez nauki przyrodnicze, ale: 1. statyczne koncepcje teologiczne, zupełnie oderwane od dynamizmu dzisiejszej nauki, zwłaszcza w dziedzinie biochemii, biofizyki, genetyki; 2. wielki subiektywizm, nieumiejętność obiektywnego spojrzenia na Prawdę. Przyjmujemy tylko te wycinki, które nam osobiście odpowiadają, albo które są w danej chwili przyjmowane w naszej grupie, środowisku. Nie chwyamy powiązań, współzależności, całości.

I. 3) 4)

Nie uznajemy autorytetów, co najwyżej przyjmujemy porady fachowców. Doktryny i wszelkie -izmy traktowane są jako „lipa” bo nie pasują do konkretnych sytuacji życiowych. Ale każdy zawsze na swój sposób szuka harmonii, pełni, prawdziwości, przeżyć, pokoju, miłości. Racjonalizm, materializm, komunizm, wersja katolicyzmu którego nas zwykle uczono (sucha doktryna, organizacja kościelna, obowiązujące praktyki) dają tylko częściowe odpowiedzi i częściowe zadowolenie. Wrogiem Nr 1 nie jest żadna przeciwstawna idea czy system, ale dehumanizacja, zagrażająca od strony technologii, cybernetyki, biologii — które jedno-



cześnie otwierają możliwości wyzwolenia od głodu, nędzy, znoju, możliwości rozwoju duchowego o jakim dotąd nikt nie marzył. Na razie, u progu nowej ery, technologia niesie oderwanie od przyrody, zatrucie wody i powietrza, nerwowy pośpiech wielkomiejski, schorzenia psychiczne, brak równowagi w całym życiu, między ubóstwem treści a bogactwem form, możliwością jednoczesnej komunikacji z całą ludzkością a samotnością w tłumie i nieumiejętnością komunikacji z najbliższymi, wizją wyzwolenia od pracy na poziomie niżej-ludzkiem i umożliwienia każdemu zajęć naprawę człowieka i twórczych — a groźbą targnięcia się na Życie Planety w ogóle, życie ludzkie w szczególności.

Dechrystianizacja nie jest wynikiem przeciwstawnej religii, idei, lecz wynika z depresji, apatii i strachu, braku zainteresowania dla czegokolwiek poza osobistą wygodą i łatwą dzisiejszego swego dnia. Trudno to nazwać „materializmem”, nie chodzi bowiem tylko o nowy samochód i syte, pasywne leżenie przed telewizją, ale o nieangażowanie się psychicznie, ani w cudze troski, ani we wszelkie „sprawy”, które przez sam swój ogrom wydają nam się stracone.

Ilościowo, w proporcji do całej ludzkości, procent chrześcijan z metryki zmniejsza się. Natomiast jakościowo, chrześcijaństwo jako całość — a nie tylko poszczególni chrześcijanie — usiłuje rozwiązywać kwestie socjalne, psychologiczne, ekonomiczne, angażując się w poprawę bytu mas ludzkich i coraz wyraźniej w praktyce stojąc po stronie wszelkich — nawet o sztydnie ateistycznym — sił i prądów kierujących świat ku miłości, humanizmowi i poprawie bytu, a nie przemocy, niewoli, nędzy. Obyczaje są dziś łagodniejsze niż w przeszłości, na okrucieństwo, niewolę, niesprawiedliwość i nędzę oburzamy się, nawet jeśli praktycznie nie umiemy przeciwdziałać. Dawniej „dobrzy ludzie” uważali za normalne to co my dziś piętnujemy. W tym sensie jest postęp i mimo cofania się Kościoła jako organizacji (podobno 20.000 kościołów zamknięto we Francji z braku wiernych), można mówić o postępie w duchu chrześcijańskim jeśli chodzi o chęć ulżenia ciężkiej doli człowieczej i o poszukiwanie sensu życia.

Na płaszczyźnie ludzkiej, chrześcijaństwo i teorie komunistyczne mają bardzo dużo wspólnego. Różnica leży w praktyce i w płaszczyźnie ponad-ludzkiej, której komunizm nie uznaje, a więc, w logicznej konsekwencji, podporządkowuje jednostkę społeczności. W świecie bez Boga, bez osoby, jest to przeciwstawianie się naturalnemu egoizmowi. Chrześcijaństwo uznaje osobę, związki międzypersonalne, za najwyższą formę życia, za jego zasadniczą treść i cel: Bóg Trój-Osobowy, stosunek między osobą ludzką i osobą boską, stosunki międzyludzkie. Nadrzędność osoby, która może się w pełni rozwijać tylko w społeczności i tylko w wolności, stanowi zasadniczy punkt w konflikcie chrześcijaństwa i demokracji z wszelkim totalizmem, a więc i z komunizmem.

## I. 5)

Odraza, nie tyle do szeroko pojętej wiary, ile do sztywnego staroświeckiego katechizmu i do formalistycznego sposobu praktykowania, jest dość zrozumiała. Wykształcenie, wiedza religijna wielu katolików — zwłaszcza Polaków starszego pokolenia — nie wiele przekracza przygotowanie do I-ej Komunii. Trudno aby tak prymitywny i słaby fundament, kładziony XIX-wiecznymi narzędziami, utrzymał problemy dorosłego, zapędzonego *Homo Technicus*.

## II. 1), 2)

„The good Pope John” wstrząsnął światem, gdyż personifikował chrześcijaństwo jako żywą, dynamiczną miłość, a nie suchą, statyczną doktrynę. Nie przeszkodziła bardzo XIX-wieczna i a-intelektualna formacja, nie przeszkodziła młodzieńcza klerykalna pobożność dawnego typu, budząca dziś uśmiech politowania. Pamiętniki i zapiski tego wspaniałego papieża mogą dla niejednego być szokiem; intelektualistom swego chowu dają „po nosie”, a dla wierzących stanowią niezbyty dowód, że „drogi moje nie są drogami waszymi” i że obojętne w jaki sposób człowiek się na łaskę Boga otwiera, byle tylko otworzyć się zechciał.

Sobór i jego reformy są ważne jako otwarcie okien, świeże powietrze, wzmoczenie obiegu krwi w organizmie. Kościół przywykliśmy uważać za skostniałą strukturę a nie za żywego Chrystusa, za prawniczo-businessowy system, gwarantujący zbawienie pod warunkiem dopełniania pewnych formalności i nie wykraczania poza przepisowe normy obyczajowe.

a) Reforma liturgii spóźniona o parę wieków. Największą trudnością jest ilość ludzi, wielkość parafii. Proboszcz i wikary, plus 100 rodzin aktywnych, drugie 100 letnich marginesowych, to byłby zespół, organizm, który mógłby spełniać zadania jakie teoretycznie stawiamy dobrej parafii. Cóż tu mówić o pięknej, skupionej liturgii gdy parking samochodowy musi się zdążyć wymienić między jedną a drugą Mszą, gdy przy konfesjonale czeka zniecierpliwiony tłum w grzecznym ogonku, gdy z miłej i swojskiej gościny klasztornej na weekend tuzina osób robi się tłumnie nawiedzany dom rekolekcyjny. Rozwiązania ogólnego, masowego, nie widzę. Tym ważniejsze prywatne rozwiązania osobiste, znalezienie sobie kościoła, zespołu, księdza, nabożeństwa, które akurat mnie się podoba. Chwalebna jest swoboda szczegółów pozostawiona diecezjom, a nawet parafiom. Dyskusje na temat nowej liturgii i łaciny powinny być jak najżywsze w obecnym stadium eksperymentalnym. Na obszarze tzw. cywilizacji zachodniej, zostawiłabym części stałe po łacinie, a wszystkie części zmienne w języku miejscowym, głośno recytowane przez celebransa (lub lektora). Części stałe łacińskie recytowane lub śpiewane przez wszystkich, z tekstów drukowanych równoległe po łacinie i w



języku miejscowym, a dla wielu — z pamięci. Przy komunii słowa „Corpus Christi” najchętniej słyszałabym w formie „Oto ja, Chrystus”, w języku aramejskim, z odpowiedzią „amen”, tak samo na całym świecie. Chleb powinien być łamany, grubszy, a nie papierkowy ze sztancy; nie wiem czemu musi być koniecznie pszeniczny, a nie z mąki ryżowej, kukurydzianej, chodzi o to żeby był najpopularniejszy, najtańszy miejscowy chleb. Afryka i Azja, jeśli chodzi o język i w ogóle o formy modlitewne, to odrębne zagadnienie. Taniec, przyroda, cisza, powinny być uwzględnione. Na razie lepiej utrzymać łaćcinę niż zmieniać ją na francuski lub angielski. Narzeczta miejscowe są zbyt liczne, tłumaczenie naszych pojęć i modlitw nieraz niemożliwe lub śmieszne, np. Ave Maria — Mario, siedz w tym miejscu gdzie w tej chwili jesteś. W miarę kształtowania się form państwowych, kształcenia młodego pokolenia, można będzie zdecydować język liturgiczny.

b) Ekumenizm — nareszcie! Różnice między wyznaniem chrześcijańskimi, a nawet między poszczególnymi religiami, są mało istotne w stosunku do zasadniczej różnicy, to jest postawienia samego siebie (względnie „Historii ludzkości”) na miejscu centralnym i najwyższym, czy też podporządkowania swego „ja” obowiązkom miłości i służby, w której owo „ja” rozwija się i zdobywa życie większe i wyższe, obfitsze i lepsze.

c) Antysemityzm, jak każda anty-miłość, jest *ipso facto* niechrześcijański, a jak każda nienawiść ogłupia i zaślepia.

d) Indeks i cenzura na szczęście stają się bezcelowym anachronizmem, zarówno praktycznie jak i psychologicznie. Przysparza tylko reklamy. Władze kościelne i organizacje katolickie powinny rzetelnie informować, kształcić umysł, wyrabiać smak, wrażliwość. Potrzebne są wskazówki, ostrzeżenia, ocena mądrego i liberalnego zespołu. Ale nie arbitralny zakaz, o którym autor nie jest nawet powiadomiony i nie ma możliwości dyskusji. Na szczęście, zarówno prawda jak i rozum ludzki odznaczają się tą wspaniałą właściwością, że na długą metę przyciągają się byle nie były krępowane i naciągane.

e) Niezależnie od prawdziwej nauki Kościoła, Pieśni nad Pieśniami i przepięknych seksualności w liturgii, faktem jest, że księża i nauczycielki-zakonnice całym pokoleniom wypaczyli pojęcia na temat seksu oraz cnoty czystości. Protestantko-wiktoriańskie poglądy, purytańskie i obłudne, też przyczyniły się do odchylenia wahadła ku obecnemu rozwyrzeniu, czyli do ściągania całej sprawy na poziom wyłącznie fizjologiczny, bez żadnej kultury uczuć, estetyki, wbrew prawdziwym potrzebom psychicznym a nawet fizycznym, po prostu dla sportu i spędzania czasu. Wskazaniem od którego Kościół nie może odstąpić, a którego na ogół „nie uczono nas w szkole”, jest podkreślanie wzniosłości życia płciowego, które może dać najwyższą obok mistycyzmu pełnię przeżyć. Niemniej ważnym wskazaniem jest wyjaśnienie związku nie tylko dwóch odrębnych istot, jak w całej przyrodzie, ale dwóch różnych, równorzędnych osób, w odróżnieniu od chęci użycia drugiej osoby jako przedmiotu. Trudno upierać się, że

reprodukcja jest jedynym celem sexu, w epoce gdy 10-letnie dzieci czytają w tygodniku LIFE wielki tytuł o możliwości bezpłciowej reprodukcji ludzi, a na towarzyszącej fotografii widnieją próbówki z etykietkami: było, owce, świnie, ludzie, przeznaczone do wystrzelenia na księżyc.

Zupełnie nieuzasadnione wydają mi się obawy, że zelzenie do tychczasowego sztywnego stanowiska kościelnego spowoduje jeszcze większą rozwiązłość seksualną. Chodzi przecież nie o przerywanie ciąży, czyli zabijanie człowieka, lecz o dozwoleństwo środków antykoncepcyjnych w małżeństwie. Jeśli rzecz nie dojrzała do ostatecznego wypowiedzenia się papieża *ex cathedra*, musi na razie być pozostawiona sumieniu poszczególnych małżeństw i spowiedników, z wyraźną instrukcją do księży aby nie ciskali gromów, nie podkreślali wielodzietności jako ideału, nie odmawiali rozgrzeszenia osobom, którym szczerze zależy na sakramentach. Trzeba co prędzej wyjść z paradoksalnej sytuacji, w której przez pół życia można się w kółko spowiadać że się kradnie, cudzołoży, przepija zarobki z krzywdą rodziny, opuszcza Mszę niedzielną — a nie można mówić o chronieniu się przed następnym dzieckiem, tylko trzeba odciąć się od sakramentów w ogóle, gdy są one najpotrzebniejsze.

## II. 3), 4)

Reformy paragrafów zawsze będą potrzebne, w miarę zmian ludzkich warunków życiowych. Ich cel, ich kierunek niezmienny: praktyczne realizowanie chrześcijaństwa jako miłości, to jest rozwój osoby w ramach społeczności. Oby tylko panował duch liberalny, tolerancja, oby kierowano spojrzenie w przyszłość. Na przykład, w przeciwstawianiu się komunizmowi, uważam za wielki błąd pakowanie Teilharda na indeks i wycofywanie go z seminariów ponieważ marksści chcą z niego zrobić swego proroka. Moim zdaniem należy z jego wspaniałej, atrakcyjnej wizji wydobyc i podkreślać to, czemu marksizm zaprzecza, a więc: nadrzędność osoby nad ilością, kierunek ewolucji ku Bogu, działanie Boga w świecie (wszystko zawsze i wszędzie *per Christum Dominum nostrum*). To jest pozytywna (i jedyna) metoda wytrącania przeciwnikowi oręza, a nie zakazy.

Od strony codziennie-praktycznej spodziewam się np. realniejszych, bardziej przemawiających interpretacji piątkowego postu, spowiedzi, ujmowania dogmatów. Razi mnie talmudyczny, formalistyczny stosunek do wielu spraw. Np. wolno w piątek delektować się homarem, a nie wolno zjeść parówki i odgrzanego wczorajszego rosołu. Post ma być umartwieniem, posłuszeństwem, jednocześnie się wyznawców. Powinniśmy w ten dzień ograniczyć ilość i wykwinność jedzenia, ale mięso czy ryba jest bez znaczenia, przepisy te prowadzą do całkiem nieascetycznego zaabsorbowania sprawami kuchennymi. Słuszne były gdy szlachcic wcinał pół cielaka na jedno posiedzenie, ale nie w nowoczesnej kuchni i przy zalatanyim życiu. W krajach ubogich bez chłod-



ni (np. Brazylia) od dawna zniesiony jest zakaz mięsny i wobec tego idea postu piątkowego w ogóle zanika. Należałoby uniwersalnie utrzymać głęboki i mądry sens postu, odłączając go od mięsa. W Anglii członkowie ruchu katolickiego PAX nie jedzą wcale lunchu w piątek lecz składają zaoszczędzone pieniądze na dożywianie głodnych w Azji.

Spowiedź inaczej wygląda w dobie psychoanalizy, tragicznej samotności człowieka w tłumie, gwałtownej potrzeby wygadania się przed bliźnim — niż w czasach gdy mogła ewentualnie służyć za narzędzie kościelnych machinacji i politycznych nacisków na możnych tego świata. Zamiast wyliczania się z nieodmówionych pacierzy i zjedzonych w piątek całotygodniowych resztek mięsnych, za które należy odklepać trzy zdrowaśki, punkt ciężkości przenosi się na rzadsze lecz głębsze rewidowanie swego stosunku do ludzi i godzenie się na ingerencję Boga w rzekomo „moje własne” sprawy.

Dogmaty właściwie rozumiane na ogół chyba nie sprawiają zbyt trudności? Lecz sposób ich podawania pozostawia wiele do życzenia, odbiega od współczesnej formacji myślowej. Ale można znaleźć coraz więcej ciekawych ujęć, jak np. o Eucharystii od strony *trans-signification instead of transsubstantiation*, co jakoś kojarzy się z alchemią i ludożerstwem. Polski termin „przeistoczenie” wydaje mi się doskonały, *trans-signification* bowiem jest pojęciem niedostatecznym, za małym. Podobnie jak Wniebowzięcie Matki Boskiej, pewne ujęcia możliwe są dopiero w naszych czasach, dla umysłów pojmujących wymienną energię i materii, wymienną różnych rodzajów energii z psychiczną włącznie, różnice między „prawdziwą rzeczywistością” a świadectwem ludzkich zmysłów. Zastanawiające jak wiele trafnych ujęć z pierwszych wieków chrześcijaństwa uległo później zdegenerowaniu i zwicnięciu, skostnieniu w formach, w których żywa, a więc dynamiczna i organiczna treść, nigdy się nie zmieści.

## II. 5)

Kult maryjny nieraz jest przesadny. Podobno w Centralnej Ameryce ludowi znane są „dwa sakramenty”: chrzest i procesja ku czci Matki Boskiej z Gwadelupy. W myśl zasad przekory, oraz „na złość mamie odmrozę sobie uszy”, przez lata czciło się Matkę Boską i papieża aby lepiej odróżnić się od protestantów. O Polsce poniżej.

## II. 6)

Broń atomowa, biochemiczna, czyni z wojny zbrodnię przeciw ludzkości, przeciw Życiu. Żadne tradycje rycerskie, wolnościowe, heroiczne, nie zmieniają tego faktu, żadne ideologie ani patriotyzmy nie mogą tej zbrodni równoważyć. Pojęcie wojny zaczepnej czy obronnej jest bezprzedmiotowe. Nie rozumiem jak można uważać się za chrześcijanina i nie być pacyfistą przynajmniej w przekonaniu jeśli nie aktywnie. — Walka z „komunizmem”

przy użyciu podłych metod (torturowanie jeńców, zakłamanie i propaganda, zastraszenie ludności, broń chemiczna) jest *ipso facto* uleganiem złu, zamiast przeciwstawiania się złu.

Tyle w teorii. W praktyce i konkretnie, wojna wietnamska jest skomplikowaną gmatwaniną moralną i polityczną, w której się nie rozeznaję. Podobnie jak hiszpańska inkwizycja paliła człeka na stosie dla jego dobra, aby jego duszę wyzwolić od herezji, tak dziś, za moje podatki obywatelki amerykańskiej, pali się strzechy Wietnamczyków aby ich wyzwalać od komunizmu. Nie mogę jednak, na rzecz problematycznego pokoju w Wietnamie prowadzić wojny domowej z kochanym mężem, bo na ten daleki pokój nie mam żadnego wpływu a na tę codzienną wojnę — zasadniczy!

Uwaga: Pytanie o pacyfizm *chrześcijański*, używam terminu w znaczeniu: przeciw-wojenność, niezależnie od specyficznego wydźwięku prokomunistycznego, jakiego to słowo nabrało dzieląc los demokracji, liberalizmu i wyzwalań. To jest też uleganie złu, owo pomieszanie pojęć i przyjmowanie zakłamanych terminów.

## II. 7), 8), 9)

Gminy pierwszych chrześcijan były samopomocą rodzinno-sąsiedzka. Potem kler się wzbogacił i upolitycznił. Poprzestawało się w praktyce na filantropii bogaczy i na miłosierdziu świętych, oraz poświęceniu zakonnym. Oficjalne chrześcijaństwo w postaci ambony parafialnej, a potem i prasy katolickiej więcej zajmowało się anty-nagością i anty-cielesnością niż poprawą ludzkiej doli i walką o wolność osoby. *Quadragesimo Anno* i *Rerum Novarum* nie wyszły poza watykańską szufladę, aż było za późno. Rozdawnictwo starych ubrań, bułki dla głodnych dzieci, paczki gwiazdkowe dla bezrobotnych czy dla powodzian — to „program chrześcijańsko społeczny” mego dzieciństwa.

Wydaje mi się, że jedyne dojście chrześcijaństwa do utraczonego proletariatu prowadzi poprzez świadectwo życia poszczególnych ludzi i małych zespołów, jak np. *Petits Freres Charles de Foucauld*, wspólnota w Taizé (protestancka), Benedyktyni w Indiach współżyjący z mnichami hinduskimi, i t.p. siły duchowe. Czynne zaangażowanie się Kościoła jako instytucji w akcję podnoszenia stopy życiowej na długą metę, w pracę nad włączeniem krajów zacofanych do wspólnego życia umysłowego i gospodarczego ludzkości, jest faktem; ale jest to cel całej zorganizowanej ludzkości, wszystkich państw zasobnych. Ludzie słusznie uważają, że to się im należy, nie z łaski Ameryki czy Watykanu, czy Międzynarodowej Organizacji Zdrowia, tylko po prostu jako ludziom. Od szpitalika na zapadłej misji, gdzie chrzci się jednocześnie z przemywaniem zaropiałych ran, Kościół musi szybciej przestać się na kształcenie elit, które zajmą stanowiska w państwie, w kulturze, w administracji w przemyśle, w *management*. Benedyktyni w Indiach prowadzą szkołę, której wychowankowie wca-



le nie stają się chrześcijanami, ale nasiąkają najwyższymi wartościami chrześcijańskimi. Niesienie tych wartości w świat, niezależnie od instytucjonalnego Kościoła i niezależnie od indywidualnych chrztów, jest najważniejszą działalnością apostołską (na zasadzie drożdży w cieście).

Księża robotnicy we Francji: inicjatywa szlachetna i na czasie, ale utopijna, zakładająca z góry bohaterów i nadludzi. Czasowo, psychicznie, fizycznie, normalny człowiek samotny nie może pogodzić tych dwóch powołań. Natomiast konieczne są parafie „proletariackie”, to jest nie różowiułki proboszczunio z brzuszkiem, któremu gospodyni gotuje smakołyki, lecz zespół (proboszcz + 2 wikarych) żyjący spartańsko, na najwyższym poziomie intelektualnym i duchowym. Konieczna zmiana stylu życia biskupów, zejście z tych wyżyn książęcych. Pałace biskupie powinny być ośrodkami gdzie parafie znajdują bibliotekę, galerię sztuki, dom studiów, przytulny, ciepły psychicznie dom rekolekcyjno-noclegowy, gościnny, piękny, kulturalny. Mieszkanie biskupa i pomocników w dawnym skrzydle służbowym pałacu. Samego pałacu nie zamieniać na biura diecezji, nie rozwalać starych marmurów dla instalowania komputerów! Zarówno pałac biskupi jak i plebania powinna być domem. To drobny przykład jednego ze sposobów odzyskiwania sympatii ludzkich dla kleru. Proboszcz musi żyć tak jak większość parafian, biskup o szczebel wyżej, jak klasa średnich managerów.

Kościół może być bardzo bogaty a nie być społecznie „kościółem bogatych”. USA, kraj kapitalistyczny wysoko uprzemysłowiony, Kościół katolicki zbudowali biedni imigranci. W Europie środkowo-wschodniej, włącznie z Polską, również Kościół nie stał się kościołem bogatych, pozostał ludowy aż do ostatnich czasów, stracił — jak wszędzie — ludność miejską. Oprócz utraty proletariatu chyba boleśniej w skutkach jest utrata inteligencji, klasy coraz liczniejszej, wpływowej. Przepaść stylu życia między proletariatem a inteligencją zaciera się, a więc groźnym zarzutem, oprócz bogactwa, staje się nie-współczesność, a-intelektualność kleru.

## II. 10)

Ksiądz będący mężem i ojcem musi dbać o dochody, mieć czas dla rodziny, nie może poświęcić się parafianom tak jak ksiądz-kawaler. Z drugiej strony, jak ma proboszcz być doradcą i przewodnikiem, skoro nie zna życia małżeńskiego, rodzinnego będącego udziałem jego parafian? Być może należałoby znieść celibat duchowieństwa świeckiego, a znacznie rozbudować kontakty osób świeckich z duchowieństwem zakonnym.

## III. 1), 2)

Proces nietylde dechrystianizacji ile odkościelnienia i laicyzacji jest nieunikniony i dla polskiej religijności może nawet mieć pewne dobre strony. Np. oddzielenie Kościoła od urzędu stanu cywilnego: niemożność zawarcia małżeństwa lub zarejestrowania

novorodka inaczej niż w kościele, w Polsce przed wojną, uważam za obniżenie wartości i sensu sakramentu, którego przyjęcie powinno angażować człowieka, a nie stanowić narzuconą formalność. Dziś jest wyraźna sytuacja, ciepło lub zimno, na niekorzyść letniości.

Utrudnianie i szykanowanie nauki religii jest dość skuteczne w walce z Kościołem, natomiast propaganda ateistyczna chyba mało skuteczna. Ateizm jest oficjalny, partyjny, sowiecki, *ipso facto* nie pociąga. Zresztą na tej samej zasadzie państwowa religia, oficjalnie narzucana, też nie pociąga.

## III. 3)

Znamy tylko poszczególne fakty, trudno objąć całość z przyczyn zarówno propagandowych jak i technicznych. Oficjalne źródła reżymowe są zabarwione, zaś aparat kościelny nie ma możliwości nowoczesnego zebrania, przepracowania i rozprowadzenia informacji.

Krępowanie i szykanowanie Kościoła wydaje mi się terminem prawdziwszym niż prześladowanie. W każdym razie jest znacznie skuteczniejsze i perfidne. Wszędzie na świecie krew męczenników jest posiewem wiary. Specjalnie w Polsce, o tak silnych tradycjach martyrologii na wzniosło, prześladowanie wzmocniłoby Kościół.

## III. 4), 5)

Kościół odgrywa wielką rolę w oporze przeciw sowietyzacji dając ludziom poczucie wartości absolutnych, nie czasowych i nie materialnych; oraz poczucie wspólnoty, zarówno w sensie lokalnym (parafia, ogólne „my”, w odróżnieniu od „oni”, rządzący komuniści), jak i światowym.

Celem Kościoła jest nauczanie Prawdy i zapewnienie ludziom sakramentów, wszystko inne jest tylko środkiem, taktyką, czyli może i powinno być elastyczne. Każda diecezja, nawet parafia, musi zmieniać strategię zależnie od okoliczności. Formy państwowe i system ekonomiczny są dla Kościoła bez znaczenia *per se*. Te formy i systemy nieraz w historii bywały jaskrawie sprzeczne z założeniami chrześcijaństwa: niewolnictwo, okres uprzemysławiania Anglii, podboje nowych ziem i td. Ugodowa lub nieprzejednana polityka Kościoła wobec rządu dyktowana być musi wyborem mniejszego zła w danej chwili.

## III. 6), 7)

Temat gorący, osobisty, pełen urazów. Poplątanie polakatolickie uważam za ujemne dla dojrzałości człowieczej i dla religii. W amerykańskim katolicyzmie razi mnie oczywiście bałwochwalstwo aktywizmu i pieniądza (na zbożne cele); w polskim razi mnie bałwochwalstwo patriotyzmu, używanie religii dla celów narodowych. Uważam że religii nie wolno do niczego „używać”, jest to wywracanie porządku rzeczy. Łatwiej mi usprawiedliwić chodzenie do kościoła „na złość komunistom” w Polsce, niż „wycieranie sobie gęby” Panem Bogiem i pomstowanie na komunis-



tyczne bezbożnictwo przez patriotycznych emigrantów, jeśli ich bezbożnictwo ani ziębi ani grzeje. Denerwuje mnie sadowienie Pana Boga na tronie udrapowanym flagą biało-czerwoną i nabożeństwa do orła białego w koronie.

Kult maryjny wybujał na gruncie patriotycznym: potop szwedzki, śluby Jana Kazimierza, ryngrafy, Królowa Korony Polskiej. W odróżnieniu od Lourdes czy La Salette, czyli kultu związanego z osobą Marii i Jej objawieniami w danym miejscu, w Częstochowie czcimy obraz związany z historią narodu. Nasza tragiczna i krwawa historia na pewno wywarła duży wpływ na naszą narodową religijność: bezradne i skrzywdzone dziecko po prostu chce się wypłakać na matczynych kolanach, jest to psychicznie reakcja bardzo zdrowa.

Nie znam wsi polskiej. Sprzed wojny pamiętam katolicyzm „panienek” z warszawskiej pensji, oraz jakąś dziwną wstydlivość inteligentką, traktującą praktykowanie (a może religię w ogóle?) pobłażliwie, a najlepiej „wcale”. Pamiętam wielki mój strach że po maturze (maj 1939) nie znajdę sobie miejsca na uniwerku pomiędzy klerykalnymi endekami „bij Żyda”, a lewicowymi ateistami. O nie-endeckim katolicyzmie studenckim, o jakimś „Odrodzeniu”, nie słyszałam, choć obito mi się o uszy coś o Laskach.

### III. 8), 9)

ZNAK, TYGODNIK POWSZECHNY — pisma i zespół ludzki — bardzo podniosły polski katolicyzm w mych oczach i zbliżyły mnie do niego. Nie znam się na polityce i sprawiedliwa ocena pociągnięć krajowych z emigracji wydaje mi się niemożliwa; ale oburza mnie łatwe postępowanie tych ludzi, nazywanie ich „oportunistami”, drwiny na temat „koncesjonowanych katolików”. Ciekawam kto w danych warunkach, robiłby pożyteczniejszą robotę, zarówno dla Polaków jak i dla Pana Boga?

Co do Paxu trudno wypowiedzieć się pozytywnie. Osiągnięcia wydawnicze, zacząwszy od Nowego Testamentu, ratowanie wartościowych ludzi — to niewątpliwie ważne sprawy, ale być może zapłacone zbyt drogo.

Wydaje mi się, że większa jest dziś waga i znaczenie intelektualistów katolickich niż przed wojną. „Przewodnik katolicki” jest o niebo lepszy. Jeśli nie wychodzi zbyt wiele „Rycerzyków Niepokalanej”, to tym lepiej (przy całym szacunku dla świętości Ojca Kolbe).

### III. 10)

Sentymentalno patriotyczny katolicyzm polski nie może utrzymać pisma na emigracji. ŻYCIE upadło nie tylko z nadmiaru czasopism polskich, braku piszących, braku funduszy, niechęci polskiej inteligencji do podtytułu katolickiego czy w ogóle religijnego. Upadło, o ironio, z powodu braku życia. Współczesny dynamizm religijny, gorący klimat, przejawia się dziś z natu-

ry rzeczy w środowiskach postępowych, o szerokim oddechu międzynarodowym, społecznie lewicowych, pacyfistycznych. Tego rodzaju atmosfera liberalna musi być uważana przez emigrantów za prokomunistyczną, oportunistyczną, a w najlepszym razie idealistyczno-naiwną. Emigracja musi być gettowa i zamknięta albo przestaje być emigracją. Zaś „nowa fala” wśród katolików tubylców, to ośrodki otwarte, ekumeniczne. Gdzie jest magnes i potencjał emigracyjnego katolicyzmu? Być może, emigracja np. Francuzów — ale nie Polaków — stałaby się podporą intelektualną swoich katolików w kraju w dyskusji filozoficznej z marksizmem, dostarczając im wszystkiego. nowego i ciekawego co się wydarzyło na polu religijnym w ostatnim 20-leciu. Ale my heroicznie wydajemy 20 tomów Summy św. Tomasza, a o współczesności i przyszłości nikt pisać nie umie. A czasopismo, to współczesność.

### III. 11)

Parafie przyczyniają się znacznie do utrzymywania emigracyjnej polskości. O ile modlitewna łącina była swojska i strawna, o tyle Msza po angielsku jest dla wielu Polaków nie do zniesienia. Znam rodzinę, która wiele mil wiezie dzieci na niedzielną Mszę polską, jako że Msza angielska stała się jeszcze jednym elementem odpolszczającym. Ale tym samym pozbawiają te dzieci elementu lokalno-swojsko-koleżeńskiego-przyjacielskiego. Niedzielną Mszą w pobliskiej parafii powinna być wspólną ofiarą i posiłkiem sąsiadów — to jest ideał, który reformy liturgiczne mają umożliwić. Ale dla Polaków, raz jeszcze, ważniejsza jest narodowość niż religia.

### III. 12)

Poziom intelektualny duchowieństwa wszędzie na świecie, a więc i polskiego, na pewno pozostawia wiele do życzenia. Sytuacja polska jest oczywiście znacznie gorsza, ponieważ Polacy w tej chwili bronią twierdzy, trzymajmy się nie dajmy się, w Polsce komunizmowi, na emigracji wynarodowieniu. Pochłania to energię proboszcza i parafian.

Intelektualny wkład Polski do Kościoła powszechnego i do Soboru chyba nie jest znaczny, natomiast wkład duchowy jest poważniejszy niż nam o tym wiadomo. Trudno to ująć „statystycznie”, ale wymowne fakty przeżywania Soboru w Polsce, w odróżnieniu od zupełnej obojętności w Ameryce (na poziomie parafii, przy wielkim zainteresowaniu prasy wszelkich odcieni) — dowodzą żarliwości autentycznej, godnej dawnego leżenia krzyżem. Mam na myśli nabożeństwa soborowe w parafiach i księgi uczynków na intencje soboru, gdzie Basia wpisuje uśmiechnięte połykanie gorzkiego lekarstwa, Janek opiekuje się niemowlęciem żeby wyreczyć mamę, a stara Walentowa, mimo bólu w krzyżach, „lepiej niż potrzeba” szoruje fabryczną podłogę, żeby się ludziom przyjemniej pracowało.



Pieszna doroczna pielgrzymka warszawska do Częstochowy, podczas której młodzież podobno prześciga się w praktycznej pomocy ludziom starszym, niedołącznym, matkom z dziećmi, również stanowi wartościowy wkład na tle powszechnego egoizmu, wygodnictwa i „tumiwizmu”.

### III. 13)

Nie przywiązuję dużej wagi do narodowości białych kardynałów. W teorii powinna być jakaś rozsądna proporcja w stosunku do ilości katolików danego obszaru geograficznego. Należy dążyć do odwołania Watykanu. Zależy mi bardzo, aby nowomianowani byli typu Bea a nie typu Ottaviani *et consortes* z kurii rzymskiej. Cieszy mnie i wzrusza kardynał żółty, czarny, brązowy, nawet jeśli intelektualnie nie dorósł jeszcze do tak wysokiego stanowiska.

Drugi lub trzeci kardynał w Polsce może zarówno ułatwić jak utrudnić prymasowi politykę i codzienne ciężkie „użeranie się” z rządem. Nie wiem jak jest... nie tyle „lepiej” ile „praktyczniej”.

P.S. Skończyłam pisać dnia 4 października 1965, Papież Paweł VI w Nowym Yorku. Delegaci Polski Ludowej w United Nations kłękają i całują go w pierścień! Wybiera się do Chin...

90 lat temu „New York Herald Tribune” pisała, że papieństwo już się przeżyło. 4 miliony nowojorczan dziś wiwatuje, cała Ameryka na TV łączy się w papieskiej Mszy o pokój.

Żyjemy w fascynujących czasach!

Witold JEDLIŃSKI

Ankieta składa się z trzech części, i odpowiedzi na każdą z tych części wymaga odmiennego rodzaju kompetencji. Pierwsza część jest właściwie adresowana do każdego, kto ma jakieś przemyślenia na temat roli religii we współczesnym świecie. Tu nic nie stoi na przeszkodzie, żeby na wszystkie pytania odpowiedzieć, tym bardziej, że są one sformułowane naprawdę prowokująco. Z drugą częścią jest inaczej. Mimo, że ankieta jest adresowana zarówno do wierzących, jak i niewierzących, myślę, że niewierzący znajdują się w nielada kłopotcie, jeśli zechcą na pytania tej części odpowiadać. Logicznie rzecz biorąc, ateista nie może wybierać pomiędzy monoteizmem a politeizmem (pyt. II/5), albo człowiek przeciwny wszelkim dogmatom pomiędzy dogmata-

mi tradycyjnymi a zreinterpretowanymi (pyt. II/4). Dlatego tę część pomijam, z jednym tylko wyjątkiem pyt. II/2/c: tutaj bowiem opinia Żyda i Izraelczyka, być może jedynego wśród respondentów, może figurować w charakterze osobliwości. Trzecią część ankiety też pomijam w całości, tym razem bez żadnego wyjątku. W swoim czasie przedstawiłem, w mojej książce o Klubie Krzywego Koła, pewien pogląd na kwestie poruszane w tej części ankiety. Twierdziłem na przykład, jakby w odpowiedzi na pyt. III/5, że polityka Kościoła wobec komunizmu jest zbyt ugodowa. Ale w międzyczasie zaszły nowe fakty takie jak list kard. Wyszyńskiego do Hourdina albo informacja Kardynała o Paxie. Coś się w Polskim Kościele politycznie zakotłowało. Powstała jakaś nowa sytuacja, której ja już nie chwytam dobrze, bo już trzy lata mnie tam nie ma, i obawiam się strzelić gaffę. Ten sam motyw powstrzymuje mnie od odpowiadania na pytania dotyczące roli Kościoła na emigracji: tym bardziej, że w Polsce przynajmniej kiedyś byłem, a w życiu emigracji polskiej nie brałem żadnego udziału na dobrą sprawę nigdy. Po prostu więc nie wiem, jaka jest obecnie rola Kościoła, czy to w Polsce, czy w Polskich środowiskach emigracyjnych. A więc z konieczności odpowiadam tylko na część pierwszą oraz na to jedno jedyne pytanie części drugiej, dotyczące Żydów. Aha, jeszcze dane personalne. Więc mam lat 36, wykształcenie wyższe, jestem socjologiem, jestem zupełnie niewierzący, nigdy żadnego wychowania religijnego nie odebrałem.

### Pytanie I/1

Zmierzch? Kryzys? Dechrystianizacja? Przecież przeżywamy rozkwit chrześcijaństwa zupełnie niebywały. Porównajmy z czasami nie tak bardzo dawnymi, kiedy, specjalnie po zdobyciu Rzymu przez Włochów w r. 1871, wydawało się, że przynajmniej Kościół Katolicki jest w agonii. Gdzie są masowe rozruchy, masowe bunty antykościelne? Jak daleko jesteśmy od r. 1878, kiedy w Rzymie wybuchły rozruchy, których jedynym celem była desekracja zwłok zmarłego papieża: tak straszna była nienawiść tłumów? Albo od r. 1904, z rozruchami antywatykańskimi w Rzymie, już na innym tle, politycznym? Gdzie jest dzisiaj naród, który, jak Katalończycy jeszcze w r. 1936, byłby zdolny do spalenia, zniszczenia lub sprofanowania niemal wszystkich kościołów na terenie całego kraju i do masowych aktów gwałtu na swoim klezrze? Komuniści, nawet przy uruchomieniu maszyny swojego terroru, nie wydają się być dzisiaj nigdzie zdolni do zorganizowania jednej nędznej ulicznej manifestacyjki antychrześcijańskiej, a cóż dopiero mówić o ruchach spontanicznych!

Albo weźmy inne kryterium. Gdzie są dziś ci wielcy myśliciele, którzy jak Marx, Freud, Nietzsche, Bakunin i całe plejadi innych, atakowaliby religię frontalnie? Jeden jedyny Bertrand Russell, ale on ma 90 lat i należy do tamtej epoki. Dziś nazwiska



najbardziej znane i najwięcej czytane, nazwiska ludzi, którzy dostarczają czytającym masom najwięcej przemyśleń, to teologowie, albo ludzie głęboko religijni: wspomniany Toynbee, Schweitzer, Martin Luther King, Tillich, Niebuhr, Barth, Teilhard de Chardin, a z pisarzy niedawnej przeszłości Gandhi, Simone Weil, Bierdiajew, Ortega y Gasset. A ci, którzy nie wierzą, też religii nie atakują, mniejsza o to z jakich powodów. Nawet Sartre w gruncie rzeczy nie atakuje religii. Nawet Erich Fromm ma słowa zrozumienia dla wierzących. Nawet uczeni demografowie, kiedy piszą o eksplozji populacyjnej: dają wprawdzie do zrozumienia, że katolicyzm to nieszczęście, ale w słowach tak grzecznych, jak tylko potrafią. Bez żadnej policji i bez żadnej cenzury katolicyzm w szczególności, a religia w ogólności cieszy się immunitem: jest ponad atakiem i nawet ponad krytyką. A w Ameryce komercyjnie zorientowani wydawcy wiedzą, że na teologii i zwłaszcza na religijnym moralizatorstwie zarobią lepiej, niż na porografii czy sensacji.

Nie mogę się rozwinąć nad przyczynami tego stanu rzeczy: za wiele byłoby o tym pisać. Jest ich z pewnością wiele, i są one różnorakie. Rozczarowanie do ruchów rewolucyjnych, rozczarowanie do laickiej moralności, antykomunizm i sympatia dla ofiar prześladowań religijnych, konformizacja intelektualistów i uczonych, specjalizacja i rozdrobnienie się nauki, przesunięcie się kulturalnego ośrodka ciężkości z laickiej Europy Zachodniej do namiętnej religijnych Stanów Zjednoczonych, zwykłe ludzkie dążenie do respectability, do posiadania jakichś korzeni w tradycji i do wylegitymowania się jakimiś konkretnymi wartościami, jakie się uznaje — wszystkie te rzeczy i jeszcze wiele innych odgrywało tu rolę. Dla mnie osobiście najciekawszym tu problemem byłoby wzajemne zależności pomiędzy zmianami w postawach wobec religii i zmianami w postawach wobec władzy. Wiek XIX jest wiekiem kryzysu władzy: wszelkiej władzy, od politycznej poczynając, a na rodzicielskiej kończąc; nasz wiek, w porównaniu z wiekiem poprzednim, jest okresem kultu władzy. Religia, a specjalnie katolicyzm, z jego normami miłości i szacunku dla władzy jako władzy (o tym niżej) był potrzebny, używając żargonu socjologów, był funkcjonalny w tym procesie pozbywania się wątpliwości na temat naturalności stosunku przełożonego do podwładnego; niezależnie od tego czy impuls do tego procesu wychodził z kół socjalistycznych, czy nacjonalistycznych, czy jeszcze innych. Ale rozkwit religii jest nie tylko skutkiem nabożnego stosunku do władzy: jest także jego przyczyną. Doktryny religijne współdziałały z socjalistycznym interwencjonizmem i nacjonalistycznymi ideologiami obłączonej twierdzy w wytworzeniu tego jakiegoś klimatu kulturalnego świętego przymierza: mam na myśli zjawisko, że w naszej epoce przyjmuje się tak jakoś za rzecz samo przez się zrozumiałą i niepodlegającą wątpliwościom, że interesy narodu najtrafniej reprezentuje jego rząd, kościoła jego kler, związku zawodowego jego boss, pracowników firmy jej dyrekcja, klasy szkolnej jej nauczyciel, i dzieci ich rodzice.

### *Konflikt między wiedzą a wiarą...*

Pytanie jest sformułowane dwuznacznie: nie wiadomo, czy chodzi o konflikt w sensie logicznym czy historycznym. W sensie logicznym moim zdaniem nigdy takiego konfliktu nie było, podobnie jak nie ma konfliktu pomiędzy treścią bajek dla dzieci a nauką, albo treścią filmów fabularnych a nauką. Religia, nauka, bajki, filmy — każda z tych rzeczy spełnia jakąś odmienną, pożyteczną lub niepożyteczną rolę, zaspakaja jakieś odmiennie potrzeby ludzkie. Ta odmienność roli i potrzeb moim zdaniem sprawia, że dopatrywanie się konfliktu pomiędzy wiarą a wiedzą jest pozbawione uzasadnienia. Natomiast w sensie historycznym ten konflikt istniał. Najlepszym dowodem są zarówno tomistyczne pretensje, że wiara jest wiedzą, tylko lepszą, jak i wysiłki dziewiętnastowiecznych scjentystów, żeby pokazać, że nauka religię obala. W tym sensie można odpowiedzieć na pyt. I/2 twierdząco: tzn. że konflikt ten istotnie uległ zgaśnięciu. Wydaje się nawet, że współcześni teen-agers już raczej rzadko się martwią o to, czy ich religia odzwierciadla prawdę obiektywną. Wciąż jeszcze niewątpliwie przeżywają kryzysy religijne, ale chyba już przeważnie na innym tle.

Proszę mi pozwolić powiedzieć coś nie całkiem na temat. Przekonanie, które tu wyraziłem, sprowadza się do tego, że wartości religii nie można mierzyć testem, którym mierzymy wartość nauki tzn. testem prawdziwości (w potocznym tego słowa znaczeniu). Ale z tego nie wynika modne dzisiaj przekonanie, że religia powinna stać ponad wszelkimi testami. Podobnie jak nauka, bajki lub filmy, religia może, spełniać rolę pożyteczną lub szkodliwą, może zaspakajać potrzeby, które ma zaspakajać albo nie zaspakajać ich albo zaspakajać potrzeby jednych kosztem drugich. Potrzeby zaspakajane przez religię są wielorakie. Obawiam się tutaj pewnego automatyzmu myślowego u czytelnika, który sobie może pomyśleć, że mówiąc o potrzebach zaspakajanych przez religię mam na myśli to, co zwykle się nazywa potrzebami religijnymi tzn. potrzeby pewnego typu przeżyć emocjonalnych. Otóż tak, mam to na myśli, ale nie wyłącznie, i w ogóle to jest jeszcze najmniej ważne. O wiele ważniejsze jest na przykład to, że funkcją religii jest ochrona stałości rodziny: ochrona żon przed porzuceniem przez mężów, i dzieci przed porzuceniem przez rodziców. Albo zapewnienie jakiegoś takiego ładu społecznego, specjalnie tam, gdzie nie zapewnia go prawo państwowe. Albo zaspakajanie potrzeb zrzeczania się, kontaktów międzypersonalnych, szczególnie w środowiskach prowincjonalnych. Albo zaspakajanie potrzeby demonstracji obrzędowej: jak nieszczęśliwa byłaby większość kobiet, gdyby ich związki małżeńskie były zawierane bez rytuału, strojów, muzyki i tp. I tak dalej. Otóż jest moim głębokim przekonaniem, że katolicyzm, poddany temu testowi tzn. sądzony wedle tego, jak zaspakaja potrzeby, które poza religią zaspokojenia nie znajdują, jest naj-



gorszą z wielkich religii świata. Sama jedna tragiczna sprawa eksplozji populacyjnej wystarczyłaby do takiego wniosku: bądź co bądź żadna inna religia z taką nonszalancją nie prowadzi ludzkości do katastrofy. Trudno o bardziej straszliwe oskarżenie katolicyzmu, niż niemal każdy tom United Nations Demographic Yearbook, z tablicami pokazującymi, że sytuacja demograficzna w Ameryce Łacińskiej jest gorsza, niż w niekatolickich krajach zacofanych, i że wielkie sukcesy w opanowaniu żywiołowych procesów demograficznych, które nie pociągają za sobą, jak w Irlandii, wielkich nieszczęść ludzkich, zdarzają się tylko w krajach niekatolickich<sup>1</sup>. Ale sprawa demografii to bynajmniej nie wszystko. Przede wszystkim z rozwoju technik antykoncepcyjnych można zrobić inny jeszcze użytek poza demograficznym: humanitarny. Jak długo nie było rzetelnej antykoncepcji, tak długo niezbędnym regulatorem procesów demograficznych była wstrzemięźliwość. Ale w warunkach rozwiniętej antykoncepcji jaki jest cel upierania się przy wstrzemięźliwości, i ustawicznego wywierania presji w tym kierunku przez Kościół na ustawodawstwa państwowe? A sprawa rozwodów? Wszystko to razem prowadzi do nikomu niepotrzebnych nieszczęść ludzkich, i znowu żadna inna religia świata nie spogląda z taką beztróską na fakt, że tyle jest na świecie jej ofiar, począwszy od Sophii Loren, a skończywszy na każdej dziewczynie wiejskiej, która zachodzi w ciążę. Ale najgorszą rzeczą — dla mnie osobiście nawet jeszcze gorszą niż sprawa eksplozji populacyjnej — jest etyka miłości i czci dla władzy jako władzy. Czy władza jest dobra czy zła, czy cię chroni, czy cię prześladowa, zawsze pochodzi od Boga. Czy twój biskup albo proboszcz jest świętym czy łajdakiem, będziesz ekskomunikowany, jeżeli sprawę przeciwko niemu skierujesz do sądu państwowego. Czy twoi rodzice kochają cię i dbają o ciebie, czy się nad tobą znęcają albo tyranizują po pijanemu, masz ich czcić, bo tak sam Bóg nakazał na górze Synaj. Czy twój szef jest porządny człowiek czy świnia, masz się do niego odnosić z szacunkiem, bo on jest twój szef. To jest przecież zupełne barbarzyństwo. W innych religiach mogą być elementy tej samej tendencji, ale chyba w żadnej w tym stopniu i z tym nasileniem, co w katolicyzmie.

1. Krajem, który może się poszczycić najbardziej imponującym sukcesem w tym zakresie jest oczywiście Japonia. W Irlandii efekt był może i podobny, ale kosztem ogromnych cierpień ludzkich, jak na to wskazuje najwyższy na świecie średni wiek zawarcia małżeństwa i najwyższy na świecie procent kobiet, które nigdy nie zawarły małżeństwa i nigdy nie wydały potomstwa. Jeśli chodzi o Amerykę Łacińską, to podwójny rekord bije Costa Rica: najwyższa na świecie stopa urodzeń, i najwyższy na świecie odsetek dzieci pozamałżeńskich. Innym krajem tego terenu do pobicia obu rekordów Costa-Riki na ogół brakuje niewiele. Fakt, że klęska dzieci pozamałżeńskich wystąpiła na taką skalę wyłącznie na tym niemal stuprocentowo katolickim terenie, wskazuje niezbicie, że Kościół nie jest zdolny do spełnienia w zakresie ochrony stałości rodziny nawet tych funkcji, do spełnienia których aspiruje.

*Czy również cofanie się racjonalizmu i materializmu...*

Jak już pisałem w punkcie I/1, nie ma dechrystianizacji, jest rechrystianizacja. Materializm jest zlepkiem różnych metafizycznych doktryn, których dzisiaj się na ogół już poważnie nie traktuje. Natomiast racjonalizm, przynajmniej w tej wyjątkowo klarownej postaci, w jakiej doktrynę tę sformułował K. Ajdukiewicz (tzn. jako zasadę intersubiektywnej komunikowalności oraz intersubiektywnej kontrolowalności: to sformułowanie wydaje się wyjątkowo dojrzałe, ale jest wiele innych sformułowań, które rzeczowo nie odbiegają od koncepcji Ajdukiewicza w sposób istotny) nic ze swojej aktualności chyba nie stracił. Odpowiedź na ostatnie pytanie tego punktu wynika już właściwie z tego, co powiedziałem poprzednio. Religia nie odpowiada, i odpowiadać nie może, na żadne pytania. Potrzeby ludzkie, które religia zaspakaja są innego typu, niż potrzeby poznawcze. Samo sformułowanie tego pytania jest dla mnie jakimś *far cry* tych czasów, kiedy ludzie się kłócili o to, czy religia potwierdza naukę, czy ją obala, zgodnie zakładając, że te dwie rzeczy mają jakąś sferę wspólną.

*Współzawodnictwo z komunizmem...*

Potoczne przekonanie głosi, że nie można nawoływać do uprawiania cnót, których się nie uprawia we własnym domu albo na własnym podwórku. Ale czy to prawda? Sformułowałbym to pytanie tak: jakie są szanse na to, że taki kaznodzieja będzie nawoływał ludzi do uprawiania cnót bezkarnie, a jakie, że jego kazania się w końcu obrócą przeciwko niemu w tym sensie, że słuchacze zażądają od kaznodziei zdania rachunku z tego, jak on sam te cnoty uprawia? Oczywiście to zależy od tego czy system jest otwarty czy zamknięty. Nikt nie może przyjść do członka K.C. i zapytać, jak to tam jest z jego ideowością, albo poszanowaniem mienia społecznego. Ale jeżeli system jest otwarty?

Mam na myśli fakt nieobieralności władzy kościelnej. Znowu katolicyzm jest tu w sytuacji odmiennej, niż wiele innych religii: np. żydostwo i wiele sekt protestanckich zna różne, poważnie dalekie od doskonałości, formy obierania swoich kapłanów na różnych stopniach hierarchicznych. Katolicyzm poza operetką conclave (kardynałowie są przeciw nominatami poprzednich papieży) nie zna żadnych takich form, i konsekwentnie żadnych form odpowiedzialności kleru przed wiernymi.

Jest dla mnie psychologiczną zagadką, dlaczego katolicy tak bez szemrania godzą się na to, żeby wszystkie decyzje personalne w ich kościele zapadały w ciszy gabinetów. Przecież nie ma dogmatu, że proboszcz albo ordynariusz diecezji ma być mianowany, a nie wybierany! Jedyne wyjaśnienie, jakie mi przychodzi na myśl, to kult władzy, który w społeczeństwie katolickim posu-



nał się już tak daleko, że paraliżuje wszelką zdolność do okazania niezadowolenia. Ale sam czuję, że to wyjaśnienie jest za proste, i dlatego piszę, że sprawa jest dla mnie zagadką. Nie wiem, jak mogło się zdarzyć, że — o ile mi wiadomo — w całej historii Kościoła nie było ani jednego nieschizmatycznego ruchu za obiecalnością biskupów i księży.

Pytanie więc brzmi, moim zdaniem tak: jakie jest niebezpieczeństwo, że identyfikacja Kościoła z systemem, którego fundamentem jest zasada obieralności władzy, obróci się w końcu przeciwko Kościołowi w tym sensie, że rozsądzi jego całą autorytatywną strukturę, dopuszczając do głosu masy wiernych, umożliwiając wywieranie przez wiernych presji na władze kościelne i t.p. Nie wiem, ale obawiam się, że w momencie, w którym to niebezpieczeństwo będzie realne, Kościół zacznie szukać dróg wycofania się ze swego sojuszu z państwami demokratycznymi, i zbliży się do państw totalitarnych, choćby komunistycznych. Nie wiem, czy ta groźba będzie kiedykolwiek realna; jak już wspominałem, cisza na froncie walki katolików o demokrację w Kościele jest jak dotąd zupełna; z drugiej jednak strony obecna sytuacja jest krzyżującym paradoksem. W czasie pontyfikatu Jana XXIII zastanawiałem się wielokrotnie, czy nie szukał on dróg wyprowadzenia Kościoła z kłopotliwego położenia, w jakim się Kościół znalazł wskutek sojuszu z demokracjami zachodnimi. Ale nie wiem.

Celowo dotąd nie sięgałem do historii: chodziło mi o zanalizowanie czysto funkcjonalnego aspektu identyfikacji Kościoła z demokracjami zachodnimi. Ale warto parę słów powiedzieć także o genetycznym aspekcie tej identyfikacji. Autor ankiety miał tu chyba jakieś wątpliwości, skoro zasugerował możliwość, że jest to „deklamacyjna fasada”. No bo rzeczywiście: zwykle to się tak jednym tchem mówi o tych wartościach, co to są i chrześcijańskie (albo judeo-chrześcijańskie), i zachodnie, i demokratyczne, i wolnościowe, i że na tym kompleksie wartości cała nasza kultura się zasadza. Ale jak się tak przyjrzeć, jak to było, kiedy myśl demokratyczna powstawała i rozwijała się, za czasów Locke'a i Montesquieu'go, Jeffersona i Madisona, a nawet Milla i Actona, to Chrześcijaństwo owszem było, ale dość niedwuznacznie po drugiej stronie barykady. I nie mogło być inaczej, bo dla tych pisarzy pierwszą powinnością ludzką było władzę podejrzewać i jej nie ufać, a dla Kościoła czcić ją i słuchać. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że obecna konfiguracja z Kościołem po stronie demokracji jest sprawą przypadkowej koniunktury politycznej czy „deklamacyjną fasadą”. Chcę natomiast powiedzieć, że z tym kompleksem wartości, na których to niby nasza cała kultura zachodnia się zasadza, jest coś nie w porządku.

Ale tu muszę Kościoła bronić. Całe to gadanie o tym, jak Chrześcijaństwo jest demokratyczne, a demokracja chrześcijańska, pochodzi raczej od skonformizowanych uczonych i pisarzy, niż z oficjalnych źródeł kościelnych. Kościół nie angażował się

w tę kombinację za bardzo: to raczej jego w nią angażowali inni. To, w co Kościół się politycznie angażował, to antykomunizm. I to było szczerze i naturalne: to tylko niektóre gesty powitalne Jana XXIII brzmiały nieszczerze i nienaturalnie. Co do demokracji, to w sto lat po „Syllabusie” Piusa IX Kościół jest oczywiście gotów ją tolerować. Ale nie znam żadnych oficjalnych wypowiedzi kościelnych, świadczących, że w mariażu z nią Kościół czuje się jakoś szczególnie szczęśliwy. Jeżeli więc istnieje na ten temat zakłamanie, to nie Kościół jest jego źródłem.

#### *Odejście od wiary...*

Muszę na wstępie wyjaśnić pewne rzeczy z mojej biografii. Ani przed wojną, ani po wojnie nie miałem praktycznie żadnego kontaktu z żadną religią, i tym samym żadnej okazji do stania się człowiekiem religijnym. Jedyny okres, w którym to praktycznie mogło nastąpić, to był okres wojny tzn. w moim życiu lata 10-16. Jedyną religią, jakiej wyznawcą mógłbym w tym okresie zostać to katolicyzm. Jedyny sposób, w jaki mógłbym się wtedy stać katolikiem, to poprzez przymusową koniunkturalną katechizację, dokonywaną w celu odwrócenia podejrzeń, że się jest Żydem.

„Aryjczycy” mogli oczywiście być nawet Buddystami, ale ukrywający się Żyd musiał zginąć w tłumie, nie mógł się niczym wyróżniać, niczym zwracać na siebie uwagi, i dlatego nie miał innego wyboru, niż udawać Katolika. Poto, aby mógł to robić z powodzeniem, musiał się nauczyć przynajmniej katechizmu. Sprawa stała się absolutnie paląca od chwili, kiedy stało się wiadome, że w przypadkach wątpliwych Gestapo egzaminuje z katechizmu celem identyfikacji Żyda. Przy tym niesamowitym stopniu izolacji kulturalnej i wzajemnej ignorancji, jaka dzieliła Żydów i Katolików przed wojną, dla wielu ocalałych Żydów ta przymusowa katechizacja była pierwszą w życiu okazją, żeby się czegoś o katolicyzmie dowiedzieć. I rzecz ciekawa: o ile fala chrztów wśród Żydów na początku wojny była zjawiskiem czysto koniunkturalnym<sup>2</sup>, o tyle fala nawróceń na katolicyzm wśród ocalałych Żydów w końcowym okresie wojny lub po wojnie wydaje się być zjawiskiem szczerym i głębokim. Czynnikiem decydującym była tu jednak zazwyczaj identyfikacja z wiarą osób, którym ocaleni zawdzięczali swoje ocalenie.

Otóż ja tego doświadczenia nie miałem. Nigdy nie zetknąłem się z księżmi, czy choćby z osobami wyraźnie identyfikowalnymi jako katolickie, dla których miałbym powody czuć specjalną wdzięczność. Co więcej, miałem doświadczenia bardzo niedobre.

2. Wierzono jeszcze, że chrzczeni Żydzi będą lepiej przez Niemców traktowani. Aczkolwiek to się nie sprawdziło, to jednak chrzty te okazywały się użyteczne w tym sensie, że przez nie Żydzi nawiązywali często pierwsze w życiu kontakty bardziej osobiste ze światem nieżydowskim, które później były niezbędnym warunkiem przetrwania.



A więc jakiś ksiądz, Komisaryczny Zarządca Mienia pożydowskiego, który upodobał sobie mieszkanie moich rodziców (wkrótce potem się wprowadził), i w tym celu dopilnował, żeby przeprowadzili się oni w terminie do getta: tzn. nastął policję (granatową), w rezultacie czego znalazłem się nagle w wieku lat 11 na bruku, bez dachu nad głową, odseparowany od rodziców. A więc jakiś inny ksiądz, który uprawiał pośrednictwo handlowe dla jakiejś wypożyczalni książek w ten sposób, że opowiadał ludziom (jesień 1942), jak to wszystkie inne wypożyczalnie są opalone przez Żydów, a ta jedna jest prawdziwie katolicka. A więc jakiś mszalik Ojców Redemptorystów, z tezą, że wszystkie grzechy przeciwko szóstemu przykazaniu są grzechami śmiertelnymi, ale to nie znaczy, że te wszystkie grzechy są równie ciężkie: tak np. stosunek seksualny z osobą wolną jest grzechem lżejszym niż z mężatką, z mężatką lżejszym niż z Żydówką, z Żydówką lżejszy niż z zakonnice. Doświadczenia niewątpliwie przypadkowe, do których dzisiaj nie przywiązuję większej wagi, choć myślę sobie czasami, że może za bardzo jednostronnie ciepłą rączką Kościół się za pomoc okazaną wtedy Żydom chwala. Ale wtedy to się jakoś na treść mojego obrazu katolicyzmu składało.

Człowiek nie jest z kamienia: i sam bym się sobie dziwił, gdybym jako dziecko, będąc wystawiony na taką porcję indoktrynacji, pozostał zupełnie nieczuły na jej treści, jakkolwiek niedobre mogły być moje osobiste doświadczenia z reprezentantami doktryny. Jakies tam swoje problemy religijne namiętnie przeżywałem. Ale trwały to bardzo krótko, i już w r. 1943, w wieku lat 14, kiedy doszedł moment rozbudzonego seksualizmu, zrzuciłem z siebie to wszystko jak obce ciało, i do końca wojny nie było już nic zupełnie poza symulacją.

A teraz? Jak już to wynika z poprzednich moich uwag, w moim stosunku do katolicyzmu jest jeden moment zupełnie zasadniczy, w porównaniu z którym wszystko inne jest rzeczą uboczną. Ten moment to myśl, której najdojrzalsze sformułowanie znalazłem u uczonego i pisarza, który wpłynął na ukształtowanie się moich osobistych poglądów w stopniu chyba większym, niż ktokolwiek inny: Friedricha von Hayeka. Otóż prof. Hayek zastanawia się gdzieś nad tak typowym w naszej kulturze, chyba w szczególności wśród intelektualistów, wstrętem do handlu, i do wszystkiego, co do handlu podobne: do typu osobowości przez handel ukształtowanej, do stosunków międzyludzkich takich jak stosunki handlowe. I Hayek powiada, że jedna jest tylko tego alternatywa, że stosunki międzyludzkie mogą być tylko takie jak w handlu albo takie jak w armii. Brzmi szokująco, prawda? Jakby ten człowiek nie wiedział, że stosunki międzyludzkie to mogą być stosunki oparte na miłości, uwielbieniu, altruizmie, bezinteresowności, wzajemnym zrozumieniu i masie innych pozytywnych emocji, które wszyscy tak bardzo cenimy, i dla których nie ma miejsca ani w handlu, ani w armii. A przecież teza Hayeka to samo-oczywista tautologia: jej sens sprowadza się do tego, że stosunki między ludźmi są równe albo nierówne.

Rewelacyjność tej tautologii polega tylko na tym, że ludzie sobie chyba rzadko ją uświadamiają: konkretnie, że nie uświadamiają sobie tego, że stosunki oparte na miłości, uwielbieniu, altruizmie, bezinteresowności i tp. także są równe albo nierówne: czasami takie, a czasami takie. I tu Hayek, jak go rozumiem, dokonuje wyboru. Wyboru moralnego. Tylko takie stosunki, oparte na wymienionych emocjach, które zakładają równość partnerów, są rzeczą wartościową. Nie ma powodu się rozczulać nad miłością męża do bitej żony, nad miłością matki do „krótko trzymanego” dziecka, nad miłością spowiednika do upokarzanego penitenta, czy nad miłością dyktatora do narodu z kagańcem na pysku. I odwrotnie: nie ma powodu się rozczulać nad miłością żony do bijącego męża, dziecka do żadnej władzy nad nim matki, penitenta do Chrystusa reprezentowanego przez osobę upokarzającego go spowiednika, czy skoszarowanego narodu do zbawcy ojczyzny. Wpierw kryterium równości, a dopiero potem wszystkie inne kryteria.

Ja sobie przecież doskonale zdaję sprawę z tego, że w toku odpowiadania na tę ankietę, zanim jeszcze wspomniałem o Hayeku i jego tezie, wielokrotnie wywołałem w czytelniku ten sam typ zdumienia, które wywołuje ta teza. Jestem niemal pewien, że typowe reakcje czytelnika na różne moje sformułowania były mniej więcej takie: „Czy Jedlicki zupełnie zapomniał o przeżyciach i uczuciach religijnych, które konstytuują społeczność kościelną i sprawiają, że Kościół nie przypomina stowarzyszenia ani klubu?” „Czy dla tego człowieka stosunek rodziców do dzieci jest wyłącznie stosunkiem władzy?” „I w ogóle skąd i po co ta obsesja władzy? To doktrynerstwo na temat władzy? Po co to powracanie do tego tematu w każdym paragrafie? Czy nie wystarczyłoby w jednym?”. I tak dalej. Po moim komentarzu do tezy Hayeka odpowiedź na te pytania powinna być jasna. Nie zapomniałem, nie pomijam, nie wyłącznie. Ale równa dystrybucja władzy jest dla mnie sprawą ważniejszą, jest wartością naczelną. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że ta moja biedna wartość naczelna prezentuje się osobiście abstrakcyjnie. Ale przecież kiedyś, w dawnych czasach, tak nie było. Ta abstrakcja miała jedną prostą nazwę. Było jedno proste słowo, które nie oznaczało nic innego, jak właśnie równą dystrybucję władzy: Słowo „wolność”.

Otóż w moim obecnym stosunku do Kościoła Katolickiego

3. Od czytelników zorientowanych w problematyce teorii politycznej oczekuję tu zarzutu, że tak mocno opowiadając się za koncepcją *check-and-balance*, siłą rzeczy występuję przeciwko tak modnej dziś koncepcji identyfikowania wolności z *civil rights* czy *civil liberties*: koncepcja *check-and-balance* zakłada bowiem, że wolność może się różnić stopniem, ale nie rodzajem, podczas gdy koncepcja *civil rights* zasadza się na pojęciu rodzaju wolności. Otóż zarzut taki byłby jak najsluszniejszy. *Civil rights* są prawdopodobnie najlepszym środkiem realizacji wolnego społeczeństwa, ale powszechne identyfikowanie wolności z nimi, czy w ogóle pojmowanie ich jako celu walki o wolność, z różnych powodów, nad którymi nie mogę się tu rozwodzić, uważam za prawdziwie niebezpieczeństwo naszej epoki.



momentem zupełnie zasadniczym jest obserwacja, że tak strasznie wiele w nim z armii, a tak strasznie mało z handlu.

### Kościół i Żydzi...

Nie potrafię spojrzeć na stosunek Kościoła do Żydów oczyma Hochhutha i Marii Czapskiej: ostatnie nazwisko jest dla mnie symbolem entuzjazmu z powodu procesu odnowy za dwóch ostatnich pontyfikatów. Nie trafia mi do przekonania schemat, że za Piusa XII było czarno, a za dwóch następujących papieży biało. Myślę, że Hochhuth zupełnie nie zrozumiał sytuacji, jaka istniała za pontyfikatu Piusa XII, i myślę, że przynajmniej jedno ważne wydarzenie obecnego pontyfikatu: jednodniowy pobyt Pawła VI w Izraelu, pokazało, jak bardzo entuzjazm Marii Czapskiej był przedwczesny.

Zacznijmy od pierwszej sprawy. Dyskusje historyków nad przyczynami milczenia Piusa XII w sprawie mordowania Żydów, i w szczególności braku jego protestu z powodu eksterminacji getta Rzymskiego, są znacznie dawniejsze, niż sztuka Hochhutha. Sformułowano, o ile wiem, trzy zasadnicze wyjaśnienia. Wyjaśnienie historyków katolickich: subtelność pozycji dyplomatycznej papieża i obawa przed narażeniem katolików europejskich na represje. Wyjaśnienie Leona Poliakowa: względy doktrynalne. Wyjaśnienie Geralda Reitlingera: strach.

Co nowego wniósł właściwie Hochhuth, poza szeroką popularyzacją postawionego przed nim problemu? Zauważmy przede wszystkim, że Hochhuth w gruncie rzeczy przyjął wyjaśnienie historyków katolickich. Dwaj uczeni historycy sformułowali oskarżenia znacznie mocniejsze. Hochhuth nie sformułował więc żadnego nowego wyjaśnienia faktu: to, co zrobił, to była jedynie nowa ocena podanych w tym wyjaśnieniu motywów. To samo, co u historyków katolickich było treścią obrony papieża, u Hochhutha stało się treścią oskarżenia. Ale Hochhuth zrobił coś jeszcze: postawił zagadnienie, które już w kompetencji historyków nie leżało. Zagadnienie typu „co by było gdyby”. Co by było, gdyby papież był mniej zajęty subtelnościami dyplomatycznymi, oglądaniem się na możliwe reperkursje swoich czynów, majątkiem Kościoła, własną osobą i t.p. a więcej imponderabiliami moralnymi, gdyby był bardziej człowiekiem zasad i moralnej żarliwości?

Otóż moja odpowiedź na tak postawione pytanie brzmi: mogłoby być jeszcze gorzej.

Zdecydowaną wyższość w rozumieniu ówczesnej sytuacji ma nad Hochhuthem Koestler, ze swoją koncepcją „moralnej epoki lodowcowej”. Koncepcja Koestlera przynajmniej zakłada zrozumienie zupełnie nieuwzględnionego przez Hochhutha faktu, że tradycyjne kategorie moralne tak sobie jakoś w tej epoce na pewien czas uległy zawieszeniu. W wielu miejscach na świecie, bynajmniej nie tylko w Niemczech ogłaszano, że jakaś kategoria ludzi jest zakałą ludzkości, i wszelkie wątpliwości co do słusz-

ności i celowości wytopienia tej zakały ludzkości znikają. Impulsy humanitarne w stosunku do ludzi takiej kategorii przestały odgrywać jakąkolwiek rolę. Odnosiło się to bynajmniej nie tylko do Żydów.

Ale i w sformułowaniach Koestlera jest sugestia moim zdaniem najzupełniej fałszywa. Sugestia jakiegoś prawa dżungli. Jakiegosy braku jakiegokolwiek moralności. Tymczasem tę epokę charakteryzuje nieznanne chyba od czasu Wojen Krzyżowych natężenie żarliwości moralnej. Najlepszą, najobiektywniejszą miarą jest tu chyba proporcja wypowiedzianych zdań oceniających do zdań opisowych. Porównajmy pod względem tej proporcji „Völkischer Beobachter” z „New York Times'em”, młodzież z nacjonalistycznych pochodów z młodzieżą z uniwersytetów, przemówienia Wyszyńskiego na procesach moskiewskich z przemówieniami Cyrankiewicza w sejmie w ostatnich latach. Zjawisko, które opisał Koestler polegało na raptownych, rewolucyjnych zmianach w treści potocznych pojęć moralnych, ale nie na wyrzeczeniu się jakiegokolwiek moralności. Mordowano, ale mordowanie ludzi pewnych kategorii było rzeczą szlachetną.

Zakładam, że Pius XII był rzeczywiście taki, jakim go maluje Hochhuth. Żydom Rzymskim nie pomógł: nic by zresztą pomóc nie mógł; to jest zawracanie głowy. Potem napisał list do Horthy'ego. Też niewiele pomógł, bo zaczęła się okupacja Węgier i rządy Szalasi'ego, i nikt się więcej z jego listami nie liczył: najlepszy dowód, że tym bardziej by się nie liczone w okresie wcześniejszym, kiedy nie było jeszcze zjawiska asekurowania się wódzów Trzeciej Rzeszy na wypadek przegranej. Przy tym wszystkim jednak ten zimny Pius XII miał dostatecznie dużo zdrowego rozsądku, żeby przewidywać, że interes nazistowski jest interesem niepewnym, śmierdzącym, i że lepiej trzymać się od tego interesu z dala. Był ostrożny. Żydom nie pomógł, wątpliwe, czy mógłby pomóc, ale i nie zaszkodził. Być może ponosi odpowiedzialność za głosowanie Centrum Katolickiego w Reichstagu za pełnomocnictwami nadzwyczajnymi dla Hitlera w r. 1933: to może być kwestią dyskusyjną. Ale obciążanie go jakąkolwiek odpowiedzialnością za *Endlösung* jest czystą demagogią.

Załóżmy teraz, że Pius XII był taki, jakim go chciał mieć Hochhuth: żarliwym moralnie, jak jego epoka. Otóż stawiam tylko pytanie: czym mogła być żarliwość moralna u włoskiego arystokraty, powiązanego tysiącem więzi z Niemcami? W sytuacji, w której antysemityzm, nawet w swoich skrajnych formach, był przynajmniej w całej Europie Centralnej i Wschodniej nie tylko rzeczą niemal powszechną, ale nadto traktowaną jako coś najzupełniej oczywistego? W sytuacji, w której antysemityzm był naturalnym *band-wagon effect*, naturalnym kierunkiem konformizacji, w której ci nieliczni, którzy się mu przeciwstawiali, robili to zwykle jakby z jakimś zawstyżeniem, trafnie czując, że ich opór gwałci obowiązujące kanony moralne niczym zdrada małżeńska albo korzystanie z usług prostytutek. (Proszę zajrzeć do znakomitego opisu Singera w „Od Witosa do Sławka”, jak to



zjawisko wyglądało w przedwojennym sejmie polskim). Pod jakim szantażem moralnym Hitlerowców musiały się taki żarliwy moralnie papież znajdować w związku ze sprawą deicidium i sloganem obrony Chrześcijaństwa przed Bolszewizmem? Ale nawet gdyby się nie poddał dominującym w jego epoce nastrojom, gdyby obrał taką drogę, jaką sobie wyobrażał Hochhuth, jak jego wezwania do żarliwości moralnej byłyby rozumiane przez kler i wiernych w całej Niemieckiej Europie? Komunikacja była w znacznej mierze przecięta i trzeba by było porozumiewać się przy pomocy aluzji. Jakby te aluzje rozumiał kler Ukraiński i Słowacki, Niemiecki i Polski? Czy od mas kleru i wiernych byłoby rozsądne oczekiwać aż takiego nonkonformizmu moralnego, aż takiej zdolności do oparcia się dominującym kategoriom myślowym? Czy w tych warunkach z konieczności niejasne, i ogólnikowo apelujące do poczuc moralnych wezwania do pomocy ofiarom nie byłyby rozumiane jako wezwania do pomocy mordercom?

To są tylko pytania. Wiem, że wielu odpowie: Chrystus, ewangelie, miłość bliźniego, braterstwo między ludźmi. Ale na to ja mam odpowiedź: historia Kościoła. Idee są interpretowalne w swe przeciwieństwa, i w tej postaci determinują wydarzenia historyczne.

Przechodzę do drugiej sprawy: do przykładu innego papieża, któremu zabrakło opanowania i ostrożności Piusa XII, który dał się ponieść emocjom, i w rezultacie wpakował się w śmierdzący interes polityczny, wyrządzając tym wielką szkodę zarówno zainteresowanym, jak i chyba samemu sobie.

Paweł VI, choć był poprzednio w Jordańskiej części Jerozolimy, odmówił przejścia na terytorium Izraela przez Bramę Mandelbauma, zmuszając w ten sposób Szazara do wyjazdu na powitanie do jakiejś dalekiej Pipidówki granicznej. Osobliwa koncepcja, zakładająca że późniejszy przejazd w towarzystwie tegoż Szazara przez Jerozolimę nie przesądza uznania praw Izraela do tego miasta, ale ceremonia powitalna w tym mieście uznanie takie by przesądzała. Potem przemówienie powitalne skonstruował tak, żeby nie wymienić nazwy kraju, na terytorium którego się znajdował. W tym kontynuował zresztą tradycję Piusa XII: Orkiestra Filharmonii Izraelskiej w czasie audiencji w Watykanie w r. 1955 na chwilę przestała się nazywać Orkiestrą Filharmonii Izraelskiej, i nazywała się „Orkiestrą Żydowskich uchodźców z 20 krajów Europy”. Ale te dwa pierwsze akty Pawła VI to były jeszcze drobne afronty, nadające się w gruncie rzeczy do rozpatrywania głównie w kategoriach taktu i reguł zachowania gościa w stosunku do gospodarza. Po nich nastąpiły obelgi. Paweł VI odmówił złożenia hołdu sześciu milionom w Izbie Zagłady na Syjonie. Przechodził tamtędy, i cała ceremonia trwa parę minut: nie można więc tej odmowy tłumaczyć brakiem czasu. Również nie można jej tłumaczyć względami religijnymi: ani miejsce, ani ceremonia nie mają charakteru sakralnego: najlepszy zresztą dowód w tym, że nic nie stanęło na przeszkodzie, żeby jej do-

konał Tisserant. Wreszcie swój telegram pożegnany z samolotu zaadresował „Do Prezydenta Szazara w Tel-Awivie”. Znowu sprawa praw Izraela do Jerozolimy: ale o ile pierwszy numer był odegrany jeszcze w rękawiczkach, o tyle ten z całą możliwą w takich wypadkach brutalnością. Wszystko to stało się jednego dnia: 6 stycznia 1964. Jakby tego jeszcze było mało, trzy tygodnie później nastąpiło coś jeszcze: jakaś eulogia o „ukochanym narodzie niemieckim”, która w innej sytuacji mogłaby ująć, ale w tym kontekście dopełniała miary goryczy.

Trudno mówić o winie papieża: formalnie rzecz biorąc, był turystą, i jako taki miał prawo mówić i robić, co mu się żywnie podobało w granicach zakreślonych przez prawo Izraelskie. Żaden z jego aktów pogwałcenia tego prawa nie stanowił. Winny był natomiast rząd Izraela, że do czegoś podobnego dopuścił. To zdanie przeważało w niekończących się dyskusjach na temat powodów postępowania papieża, w jakich wtedy w Jerozolimie brałem udział. Wysuwano przypuszczenia najfantastyczniejsze: pamiętam, jak ktoś powiedział, że papież obraził się na naczelnego rabina za jego odmowę wzięcia udziału w ceremonii powitalnej. Osobiście skłaniam się do przekonania, że Paweł VI po prostu dał się ponieść emocjom. Wszystko go musiało od tego kraju odstręczać. Izrael jest krajem, w którym w niedawnych badaniach opinii publicznej co czwarty respondent (z próbki reprezentatywnej dla populacji żydowskiej kraju tzn. ok. 90% populacji globalnej) deklaruował, że jest zupełnym ateistą, a nadto prawie co drugi, że jest religijny w minimalnym tylko stopniu. Jest to więc prawdopodobnie najmniej religijny kraj świata. Nadto jest to chyba jedyny kraj świata, w którym opinia publiczna jest w przeważającej części Chrześcijaństwem, a specjalnie Katolicyzmowi wyraźnie i otwarcie wroga, w którym chrzest jest potocznie uważany za coś haniebnego, w którym misjonarze chrześcijańscy, choć korzystają z pełni swobód demokratycznych, natykają się wciąż na upokorzenia i wrogość ludzką, i skazani są na pracę

4. Nie chciałbym w tej interpretacji postępowania papieża pozostawić jakieś możliwości nieuwzględnionej: stąd parę słów wyjaśnienia, dlaczego to przypuszczenie uchylam, jako zupełnie nieprawdopodobne. Otóż przede wszystkim naczelnym rabinem w Izraelu tylko i wyłącznie urzędnikiem państwowym. Instytucja naczelnego rabinatu została stworzona ok. r. 1900 przez władze tureckie, celem uporządkowania spraw stanu cywilnego: instytucja nie ma więc żadnego źródła sakralnego. Naczelnym rabinem — przynajmniej formalnie — nie ma żadnej władzy religijnej i w ogóle reprezentuje tylko i wyłącznie własną osobę. Jest on w dodatku urzędnikiem państwowym rangi na tyle niskiej, że — tak podała prasa — nawet nie przekonsultowano z nim sposobu powitania papieża, tylko kazano mu się stawić na miejsce; urzędnik popełnił jednak niesubordynację i nie stawił się. Po tym incydencie rozeszła się po Jerozolimie pogłoska, że rząd go postanowił za tę niesubordynację „wykończyć”. Jeśli to prawda, to prawdopodobnie uratował go artykuł mocnego wtedy jeszcze Ben Guriona, który się z jego czynem solidaryzował. W świetle tych faktów można śmiało odrzucić, jako zupełnie nie dające się utrzymać.



przy pomocy jakichś metod pokątnych w rodzaju anonimowego rozsyłania swoich wydawnictw drogą pocztową. Dodajmy jeszcze, że (Arabski) biskup Haify, Chakim, memoriał z jakimiś żalami na traktowanie Katolików przez rząd Izraela papieżowi wręczył. Nie znam tekstu tego memoriału, więc nie mogę ocenić, ile w nim było prawdy. Jeśli się to wszystko weźmie pod uwagę, to naprawdę trudno oczekiwać, żeby papież czuł do Izraela jakąkolwiek sympatię. A dochodziła jeszcze — jak to z zachowania się papieża wynika — sprawa sabotowania przez Izrael uchwały ONZ o umiędzynarodowieniu Jerozolimy.

Nie chcę się nad tą skomplikowaną sprawą rozwodzić, ale parę słów niech mi wolno będzie o niej powiedzieć. Sprawa ochrony miejsc świętych wygląda zupełnie inaczej z perspektywy ONZetu i z perspektywy Watykanu. Przede wszystkim dla ONZetu istniała sprawa miejsc świętych wszystkich zainteresowanych wyznań, a dla Watykanu miejsc świętych tylko jednego wyznania. Po wtóre — ważniejsze — ONZ nie mógł „skrzywdzić” jednej strony kosztem drugiej, i dlatego musiał domagać się umiędzynarodowienia całego miasta bez względu na czynnik rozlokowania tych miejsc po mieście. Natomiast Watykan powinien się interesować właśnie ich rozlokowaniem: co go mogły obchodzić np. dzielnice w całości wybudowane po r. 1948? Teraz fakt zasadniczy: z jednym jedynym wyjątkiem nie ma na dobrą sprawę w Izraelskiej części Jerozolimy żadnych chrześcijańskich miejsc świętych: wszystkie są po stronie Jordańskiej. Ten jeden wyjątek to miejsce Ostatniej Wieczerzy, położone niecałe sto metrów od granicy; poza tym są dwa czy trzy zabytkowe średnio-wieczne kościoły, ale takie kościoły są wszędzie, i nikt z tej racji nie domaga się umiędzynarodowienia terenu, na którym one stoją. Jestem osobiście przekonany, że w sprawie eksterytorializacji miejsca Ostatniej Wieczerzy i dostępu do tego miejsca rząd Izraelski poszedłby na daleko idące ustępstwa w zamian za uzyskanie analogicznych praw dla Muru Płaczu (znowu sto czy dwieście metrów, tylko po drugiej stronie granicy) a nawet chyba i bez tego ekwiwalentu. Konsekwentnie jestem głęboko przekonany, że Watykan dla uregulowania interesującej go sprawy absolutnie nie musi się trzymać schematów wytyczonych przez ONZ. Jakkolwiek by więc oceniać opór Izraela przed podporządkowaniem się decyzji ONZ, sprawa ta dla Watykanu nie powinna mieć na dobrą sprawę żadnego znaczenia.

Tymczasem Paweł VI, jak na to wyraźnie wskazuje jego zachowanie, wystąpił w roli egzekutora uchwały ONZ o umiędzynarodowieniu Jerozolimy. Chyba się tym ośmieszył, zwłaszcza w zestawieniu z zapewnieniami, że jest pielgrzymem, i że cel jego podróży jest wyłącznie religijny. Znowu formalnie był w porządku: ostatecznie każdy turysta ma prawo do zmiany celu swojej podróży już w jej toku. Ale jego pobyt w Izraelu miał charakter ostentacyjnie polityczny. Poza odegraniem tej roli Paweł VI dokonał bowiem na terenie Izraela jeszcze dwóch innych aktów politycznych: mam na myśli jego obronę Piusa XII oraz przyję-

cie memoriału Chakima, który mógł przecież równie dobrze być wysłany pocztą do Rzymu.

W prasie całego świata było mnóstwo sentymentalnych opowieści o pielgrzymce papieża z ilustracjami i bez, ale chyba najbliższa prawdy była nacjonalistyczna prasa arabska, gdy pisała, że Paweł VI miał w Izraelu okazję się przekonać, że ten kraj jest zakałą ludzkości. Podróż Pawła VI była niewątpliwie arabskim sukcesem prestiżowym: bądź co bądź w Jordanii do niczego podobnego jak w Izraelu nie doszło. W ten sposób w ten cały arabsko-izraelski interes Paweł VI przez swój brak rozwagi, nieopanowanie i dawanie ujścia emocjom zaangażował się po uszy. Niech mi wolno będzie zakończyć paroma słowami charakterystyki, jak ta sprawa obecnie wygląda. Już parę miesięcy po wizycie Pawła VI odbywała się w Kairze konferencja szefów rządów państw Arabskich. Syria zażądała wojny z Izraelem natychmiast; inne państwa przeciwstawiły się wnioskowi syryjskiemu, argumentując, że wojna powinna wybuchnąć „we właściwym czasie”. Do opinii publicznej przedostała się przy tym wiadomość, że w intencji uczestników konferencji „właściwy czas” to rok 1966. Slogany o „zepchnięciu Izraelczyków do morza” nie pozostawiają wątpliwości, jaki los gotują zwycięzcy pokonanym. Izrael nie pozostał dłużny i też zagroził Arabom wojną w przypadku realizacji planów odwrócenia wód Jordanu, które dla Izraela oznacza katastrofę ekonomiczną i wygłodzenie, a Syrii żadnych korzyści nie przynosi: jakkolwiek to oceniać, ta izraelska groźba na pewno nie uczyniła interesu śmierdzącego pachnącym. Oczywiście żadna ze stron nie jest wszechmocna: i wiele możliwych okoliczności mogłoby wybuch powstrzymać. Ale takich okoliczności w tej chwili przynajmniej ja osobiście na scenie polityki międzynarodowej raczej nie dostrzegam: a rok 1966 się rozpoczął. Można w obronie Pawła VI powiedzieć, że nie mógł konferencji Kairskiej przewidzieć, i że chociaż musiał wiedzieć, że bliskowschodni interes polityczny jest zawsze interesem śmierdzącym, mógł nie przypuszczać, że jest aż tak przeraźliwie śmierdzący. Ale Pius XII też nie mógł przewidzieć, jak się skończą śmierdzące interesy jego czasów, a potrafił trzymać się od nich z daleka.



Nie chcę, żeby obraz aktów jednej osoby popełnionych w ciągu jednego dnia przesłonił cały skomplikowany proces zmiany stosunku Kościoła do Żydów. Czynny Paweł VI z dnia 6 stycznia 1964 dowodzą moim zdaniem tylko, że w tym procesie wciąż jest jeszcze coś tajemniczego i niepokojącego. Ale stanowią one tylko jeden epizod, który w końcu fali przemian nie odwraca.

Myszę, że wielu czytelników „Kultury” interesowałaby odpowiedź na pytanie, jak od strony żydowskiej wyglądają szanse na pełne pojednanie z katolicyzmem. Nie wiem: prawdopodobnie część światowej opinii żydowskiej wyciągnęła rękę podjąć, a druga część zostanie nieprzejednana. Ale ogólnie można tu powiedzieć, że ta wyciągnięta ręka trafia na grunt bardzo trudny.



Żydowską opinię publiczną charakteryzuje niesłyszana pamiętliwość i uporczywe trzymanie się kategorii przeszłości. Pamiętliwość dobrego i złego: zastanawiający umiar propagandy anty-arabskiej, utrzymywanie się szalonego poczucia winy wobec Arabów, szczególnie na lewicy — te rzeczy też pochodzą chyba ze wspomnień przeszłości, kiedy żyło się z Arabami w gruncie rzeczy tak dobrze, a tylko w chrześcijańskiej Europie tak strasznie źle. Pojednanie z Arabami jest ze strony izraelskiej psychologicznie niesłyszane łatwe; ono jest tylko technicznie nie do wykonania, bo Izrael naprawdę nie może przyjąć uchodźców ani cofnąć się do granic ONZetu. Z Kościołem, i tym bardziej z Niemcami jest odwrotnie. Technicznych przeszkód do takiego pojednanie nie ma, natomiast psychologiczny opór, zderzany przez pamięć przeszłości jest szalony. Jednym z przejawów tego oporu jest całkowicie irracjonalna postawa *damned-if-you-do-and-damned-if-you-do-not*, która zupełnie dominuje w żydowskim myśleniu o obecnych Niemczech, i która została tu i ówdzie zamaniestrowana w reakcjach na Dokument Żydowski. Ale ten sam opór przejawia się w inny jeszcze sposób, który już irracjonalnym nazwać nie można. Mam na myśli uporczywe domaganie się neutralności jako warunku minimalnego, uporczywe twierdzenie, że jeśli ten minimalny warunek spełniony nie jest, to wszystko pozostaje po staremu. Należałem do tych, którzy uważali, że sprawa uczonych niemieckich w Egipcie została rozdęta zupełnie nieproporcjonalnie do jej rzeczywistego znaczenia. Ale rozumiem, dlaczego tak zareagowano: bo sprawa rzucała cień na to, czy Niemcy są naprawdę neutralne. I wobec tego powiedziano, że wszystko pozostaje po staremu. Być może tutaj, w tej wypowiedzi, przesadziłem znaczenie zachowania się Pawła VI w Izraelu. Z tego samego powodu. Padł cień wątpliwości, czy Watykan jest rzeczywiście neutralny w tragicznym konflikcie, w obliczu zapowiadanej wojny i zapowiadanego ludobójstwa.

#### DOPISEK

Moja odpowiedź na ankietę była pisana w sierpniu 1965 r. Od tego czasu zaszły następujące fakty, które rzucają nowe światło na poruszane przeze mnie zagadnienia:

(1) Konferencja szefów państw Arabskich w Casablance przyniosła, jak się zdaje, pewne złagodzenie napięcia w rejonie Bliskiego Wschodu. Przynajmniej w tym sensie, że obecnie wymienia się rok 1970 raczej niż 1966 jako moment planowanej wojny z Izraelem.

(2) Moją opinię na temat nieprzyjaznego stosunku Pawła VI do Żydów i do Izraela wyrażałem w poczuciu zupełnego odosobnienia. Obecnie mam poczucie, że mam za sobą *consensus*. Prasa żydowska pisze ostatnio o tej sprawie zupełnie otwarcie, specjalnie po jakimś kazaniu Pawła VI, w którym nawrócił on demonstracyjnie do tradycyjnej interpretacji *deicidium*. Ze źródeł katolickich padają niekiedy podobne konstatacje: zob. np. wrześniowy *Harper's Magazine* (str. 111), gdzie katolicki publicysta

ukrywający się pod pseudonimem F. E. Cartus czyni Pawła VI osobiście odpowiedzialnym za wyjąłwienie „Dokumentu Żydowskiego” z wszelkiej treści.

(3) Ukazała się książka Christophera Sykesa „Crossroads to Israel”. Książka zawiera ciekawy opis tzw. sprawy Rutenberga z lat trzydziestych w Palestynie. Była to zwyczajna afery kryminalna: taka, jaka się może zdarzyć, i faktycznie zdarza pod każdą szerokością geograficzną. Tym niemniej ta afery stała się oficjalnym powodem opowiedzenia się administracji Piusa XI przeciwko syjonizmowi i przeciwko idei Państwa Żydowskiego. Poruszam tę sprawę dlatego, że fakty podane przez Sykesa pośrednio wzmacniają moje przypuszczenie, którego z braku dostatecznych danych nie ośmieliłem się wypowiedzieć w mojej odpowiedzi ankiety: przypuszczenie, że na politykę żydowską Watykanu praktyczny wpływ wywiera średniowieczna doktryna, że obecność Żyda profanuje obiekty sakralne. (A cóż dopiero mówić o suwerenności Żydów nad tymi obiektami!) Wciąż uważam, że nie ma dostatecznych dowodów na to, że ta konsyderacja grała rolę w postępowaniu Pawła VI w Izraelu. Ale uważam takie założenie za prawdopodobne, gdyż dobrze ono tłumaczy istniejące fakty. Chcę przy tym wyraźnie się zastrzec, że ta doktryna dotyczyłaby tylko Żydów, a nie byle jakich „niewiernych”: suwerenność muzułmańskiej Jordanii nad Grobem Chrystusa i Via Dolorosa nigdy nie wywoływała ze strony Watykanu żadnych odruchów protestu, czy choćby niezadowolenia.

(4) Umarł Paul Tillich, teolog wywierający potężny wpływ na rzesze czytelnice Stanów Zjednoczonych. Jego śmierć była dla jego wyznawców okazją do wzmocnienia aktywności, przynajmniej propagandowej. Doktryna Tillicha wyraźnie trafiała na podatny grunt społeczeństwa łaknącego ekstazy religijnej: atmosfera, która nastąpiła po jego śmierci była jeszcze jednym objawem renesansu religii w Stanach Zjednoczonych, o którym wspominałem w punkcie I/1. Jednocześnie dla niewierzących doktryna Tillicha niesie ze sobą akcenty złowrogie. Jakikolwiek były intencje Tillicha, kiedy wypowiadał swoje obficie cytowane tromtadracje w rodzaju „There is no possible atheism” albo „There is no wall between the religious and the nonreligious” (W kraju, w którym przynależność do jakiegoś kościoła jest naczelną cechą dzielącą ludzi na skali prestiżu społecznego!). Jest to również reakcyjne i konserwatywne, jak powiedzenie, że nie ma muru pomiędzy biednymi i bogatymi, przeniesione na grunt praktycznej polityki, tromtadracje te, zważywszy ich niebywałą popularność, mogą znaczyć tylko jedno: przekreślenie szans na uznanie odrębnej *identity* i odrębnego statusu prawnego ateistów amerykańskich, i konsekwentnie przekreślenie szans na zwalczanie istniejącej dyskryminacji ateistów w zatrudnieniu. A więc po śmierci Tillicha wyraźniej niż kiedykolwiek, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, istnieje realna groźba zupełnego zaduszenia ateizmu przez religię, a nie na odwrót, jak to zdają się sugerować pytania pierwszej części ankiety.



## Józef PŁOSKI

Zastrzeżenie: Wartość ankiety jako sposobu badania opinii zależy nie tylko od przedmiotu (sprawy wymierzalne i konkretne bardziej nadają się do tego typu badania, niż o wiele bardziej skomplikowane sprawy duchowe), ale w dużej mierze od sposobu postawienia pytań. W moich odpowiedziach na poszczególne pytania, będę się starał to wykazać.

Nie podoba mi się tytuł ankiety i rubryki. Prawdziwie kulturalni ludzie, bez względu na to, czy są wierzący, czy niewierzący, o religii mówią poważnie, czyli z namaszczeniem.

Ad. 1. O rzekomej dechrystianizacji świata mówi się najczęściej w krajach protestanckich, zwłaszcza anglosaskich i skandynawskich (i tam, gdzie istnieją pewne elity pozostające pod protestanckim wpływem umysłowym jak we Francji). Do tego grona należy także Toynbee, polihistor efektowny, ale płytki (vide jego bzdury na temat Wschód-Zachód). Religii chrześcijańskiej od zarania wypowiedziano wojnę i zapowiadano śmierć, a nie tylko żyje, ale cieszy się dziś może większym autorytetem, niż kiedykolwiek w historii. Wpływa ona nawet na koła zdechrystianizowane, a mimo upadku Europy, poprzez kulturę europejską (z gruntu chrześcijańską) wywiera wpływ cywilizacyjny na resztę świata — Rosji i Chin nie wyłączając. Na pewno nie zmierzch. Czy kryzys? Chryścjanin, pamiętny na słowa Chrystusa, co czeka Jego uczniów, nie ma wątpliwości, że do końca świata Kościół będzie przeżywał kryzys w permanencji. To leży w samej naturze rzeczy.

Ad 2. Pytanie sugerujące, że taki konflikt istnieje. Sformułowanie świadczące, że autor, czy autorzy ankiety żyją jeszcze w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Konflikty tego nigdy nie było, choć niektórzy znani pisarze go głosili. Dziś propagator teorii o projekcji staroperskiego mitu astralnego w postaci historii Jezusa naraziłby się na jeszcze większą śmieszność, niż wtedy, gdy wykazując naiwność tych teorii wyśmiano go, parafrazując historię Napoleona jako mit astralny. O rzekomej sprzeczności wiedzy i religii mówią tylko najbardziej zacofani i zakuci w przebrzmiałych doktrynach propagandzisci ateistyczni Moskwy.

Ad 3. Materializm niewątpliwie jako filozofia jest w upadku. Żaden poważniejszy filozof go dziś nie wyznaje. Triumfuje natomiast zmaterializowanie życia. Pewny siebie racjonalizm wieku XVIII i XIX bardzo spuścił z tonu, niewątpliwie także dzięki odkryciu ponurych głębi ludzkiej nieprawości. Wielu poważnych uczonych z dziedziny astronomii, astrofizyki i chemii ma tak pokorny stosunek do rozumu ludzkiego i jego możliwości, że bliski on jest postawie religijnej. Wielu z nich jest ludźmi głęboko wierzącymi w prawdy chrześcijaństwa. Wydaje się, że

to się będzie nadal pogłębiać. Im dalej sięga „wzrok” człowieka w makrokosmos i mikrokosmos, tym jego postawa jest bardziej chrześcijańska i pokorna wobec Stworzyciela.

Ad 4. Chrześcijaństwo nie jest „ideologią”. Dla chrześcijaństwa komunizm jest jednym z tych zjawisk duchowych, których już Kościół wiele widział — począwszy od gnozy, agnostycyzmu, ateizmu i nihilizmu. Chrześcijaństwo nie „współzawodniczy” z komunizmem. Ono tylko służy Bogu, którego komunizm zwalcza.

W obecnym stanie rozwoju cywilizacyjnego Kościół najchętniej widzi ustroje demokratyczne, jako najbardziej odpowiadające chrześcijańskiemu pojęciu wolności człowieka, choć nie opowiada się konkretnie za żadnym ustrojem politycznym i toleruje każdy, który nie narusza wolności sumienia religijnego i pozwala na pełny duchowy rozwój człowieka. Totalizm wszelki (nie tylko komunistyczny). Kościół musi zwalczać, jeśli narusza on prawo do wolności wyznawania i praktykowania religii i swobodnego jej nauczania.

Czy jest nią istotnie? Co? Pytanie źle zbudowane. W moim przekonaniu Kościół jest zbyt poważną instytucją, by używać „deklamacyjnych fasad”. Poszczególni ludzie zaś niewątpliwie czasami deklamują o tym, w co nie bardzo wierzą, a jeszcze mniej praktykują. Ale to inna sprawa.

Ad 5. Piszący wierzy we wszystko, co nauczał Chrystus Pan i Jego Kościół. Z obserwacji ludzi (i rachunku sumienia własnego) sądzi, że główną przyczyną utraty „wiary”, jest nadmierna wiara we własny rozum, czyli grzech pierworodny — pycha. „Będziecie mądrzy jako bogowie”. Ona jest u podstawy wszystkich innych grzechów.

## II

Ad 1. Dla Kościoła pontyfikat Jana XXIII w moim przekonaniu był szkodliwy, bo w ciągu paru lat podważył wszystko, co zbudowały wieki. Dla świata ludzi niewierzących był olśnieniem, bo pokazał mu papieża, który więcej mówił o sobie, niż o Bogu. Muszę prosić Boga, by mi darował te nieco złośliwe uproszczenia. Czym będzie dzieło Soboru Watykańskiego II, za wcześniej jeszcze mówić.

Ad 2. Jeżeli Kościół naucza „ex Cathedra”, ma na pewno rację. Gdy daje zarządzenia administracyjne, katolik będzie się do nich stosował, ale wolno mu mieć taki stosunek krytyczny do jego słuszności, jaki mają niektórzy „reformiści” czy „progresiści” do postanowień soborów poprzednich. Mniemam, że to się obowiązkowi posłuszeństwa nie sprzeciwi.

Za najbardziej wątpliwą uważam, „reformę” liturgiczną polegającą na nadmiernym rugowaniu łaciny. Jako jeżdżący po różnych krajach ubolewam nad zmienionym odczuciem powszechności Kościoła przez zaprowadzenie języków miejscowych do Mszy św. Wszystko, tylko nie to!



a) Pełniejszy udział wiernych we Mszy świętej uważam za wielką rzecz. Ale czy tego samego nie można było osiągnąć przy pozostawieniu łaciny? Jestem we wszystkim nacjonalistą, ale nie w religii.

b) Zbliżenie do innych wyznań religijnych Kościół Katolicki może, żeby nie sprzeciwić się swej misji, czynić tylko w duchu prawdy. A to niestety nie przybliży. Wszelkie rozważanie chrześcijaństwa ani nie wzmocni Kościoła, ani nie przybliży innych. Krytycznie patrzę na działalność kard. Bei, którego podejrzewam o to, że chce, świadomie czy nieświadomie, przerzucić winę narodu niemieckiego wobec Żydów na Boga ducha winny Kościół.

c) Odpowiedź na pytanie poprzednie jest już częścią odpowiedzi na pytanie obecne. Autorzy ankiety przede wszystkim zakładają błędnie, że Kościół zmienił stanowisko wobec Żydów. Drugie, wywodzą antysemityzm z postawy religijnej. Nie przesądając głosowania Soboru w tym przemianie mam nadzieję, że Sobór nie wykreślił z Pisma św. słów opisujących stosunek Żydów do Chrystusa (i Jego uczniów). Sobór zajmuje stanowisko religijne, nie polityczne. Zjawisko antysemityzmu (czy to słuszna nazwa bo nigdy nie słyszałem, by „antysemita” zwalczali semickie plemiona arabskie) jest bardzo stare i bardziej skomplikowane, niż to się redaktorom „Kultury” wydaje. Katolicyzm słusznie szedł w parze z „antysemityzmem” tam, gdzie ci „semici” byli szerzycielami rozkładu moralnego, wielbicielami wrogich ościennych mocarstw i ich ideologii i t.p. Ostatecznie nic w nauce chrześcijańskiej nie zabrania obrony *środkami moralnie godziwymi* wartości religijnych i patriotycznych. Bardzo przepraszam p. Jeleńskiego za to stwierdzenie!

Ad d) Indeks ulegał i będzie ulegał zmianom stosownie do czasów. To leży w samej naturze ostrzeżenia. Kościół i organizacje katolickie muszą walczyć w obronie wartości moralnych prawdą i tylko prawdą. Każdymi moralnie godziwymi środkami. Zwłaszcza, że przeciwnicy czynią to *per fas et nefas*. Z „Kulturą” włącznie. W krajach katolickich paradoksalnie zwykle jest dużo większa swoboda twórczości artystycznej i kulturalnej, niż w krajach „liberalnych”.

Ad e) Zgodnie z Objawieniem i nauką Chrystusa Kościół musi być zawsze za życiem a przeciw śmierci. Gdyby dozwolił *sztucznie* ograniczyć życie, sprzeniewierzyłby się Swej misji. Ludzie od wieków prawo naturalne łamali i będą łamali. Ale Kościół tego aprobować nie może. Choćby miał się tym nawet narazić redaktorom „Kultury” *et tutti quanti*.

Ad 3. Żadnych sprzecznych z nauką katolicką.

Ad 4. Dogmaty są prawdami religijnymi. Można je badać i rozwijać. Nie może Kościół im zaprzeczać czy je zmieniać. „Współczesny” człowiek niczym nie różni się od niewspółczesnego. Trudności zrozumienia i akceptacji dogmatów były i pozostaną te same na przestrzeni wieków. Tylko dawniej mniej było drukowanego papieru.

Ad 5. U ludzi wierzących kult Maryjny na pewno nie ma cech wielobóstwa ani bałwochwalstwa. U ludzi niedokształconych religijnie, bez względu na to czy się obnoszą ze swoją kulturą i „Kulturą”, czy nie, miewa czasami te cechy. Ale to nie wina Kościoła. Z pewnością!

Dlaczego w pytaniu słowo maryjny napisano małą literą? Skoro piszemy do byle durnia „Szanowny Panie”, to chyba wypada pisać słowo pochodzące od imienia najpiękniejszej moralnie niewiasty napisać z dużej litery. Grzeczność to kultura („Kultura”?).

Ad 6. Pacyfizm tak jak ekumenizm może opierać się tylko na prawdzie i sprawiedliwości. Pacyfizm doktrynalny, zamykający oczy na sprawiedliwość, jest ciężkim wykroczeniem przeciw prawom moralnym. Czyżby redaktorom „Kultury” (chyba Polakom?) trzeba to było tłumaczyć?

Ad 7. Oczywiście społeczne doktryny Kościoła zależne są od warunków czasu. Aż zanadto oczywiście świadczą o tym encykliki „Rerum Novarum”, „Quadragesimo Anno”, allokucja „O ładzie wewnętrznym” Piusa XII i encyklika „Pacem in Terris”. Czy miały wpływ na świat? „Nie śmiesz mnie, nie śmiesz, bo się zatnę”. Aż przykro, że redaktorzy ankiety wykazują ignorancję tych spraw przez takie sformułowanie pytania.

Ad 8. Co za naiwność pytających! Czy nie słyszeli nigdy o antyreligijnej działalności socjalizmu i liberalizmu w tych regułach? Autorzy ankiety winni wykazać więcej inteligencji i dostrzegać sytuacje odmienne. W Polsce np. najmniej religijną jest warstwa tzw. inteligencji (w Kraju i w Paryżu), najbardziej właśnie warstwa robotnicza.

Ad 9. Kościół nie „pozyskuje” proletariatu demagogią. Dlatego odciął się od pewnej części tzw. księży robotników, którzy zamiast nawracać marksistów na katolicyzm, sami, stali się (być może nieświadomie) marksistami.

Ad 10. Celibat duchowieństwa nie jest powszechną praktyką Kościoła. Czyżby superinteligentni redaktorzy ankiety nie wiedzieli, że w Kościele Wschodnim (jak najbardziej katolickim) nie ma celibatu? Doświadczenie wiekowe Kościoła uczy, że celibat jest dobry. Ale to nie jest sprawą dogmatyczną i zawsze może być zmienione.

### III

Ad 1. Trudno ocenić proces dechrystianizacji, bądź chrystianizacji obecnej Polski, wobec cenzury prasy i ograniczenia wpływu Kościoła. Proces z pewnością nie jest „nieunikniony”, lecz sztuczny.

Ad 2. O skuteczności propagandy ateizmu zmuszony jestem naiwnością autorów ankiety do powtórzenia słów: „Nie śmiesz mnie, nie śmiesz”. Sami ateści przyznają swoją klęskę (mimo pełnego poparcia aparatu przymusu państwowego). Bez tego po-



parcia byłaby tak marginesowa, jak była w latach niepodległości, kiedy „Wolnomyśliciel” czytywali tylko zdecydowani „ciemniacy”.

Ad 3. „Krępowanie” i „szykanowanie” jest tylko jedną z form prześladowania. Prononsowani „liberałowie” z „Kultury” winni chyba to rozumieć? Reżym komunistyczny nie chce stwarzać męczenników za wiarę. Woli stosować metody hitlerowskie ośmieszania wierzących. Mam nadzieję, że redaktorzy „Kultury” odrzucą metody hitlerowsko-reżymowe, i wykażą prawdziwą kulturę polską stając po stronie religii.

Ad 4. Kościół w Polsce walczy tylko o prawdę Bożą. Naszym szczęściem jest, że jest ona także prawdą polską. Niebezpieczeństwo? Grozi ono wiernym w Polsce, nie żyjącym w paryskim dobrobycie autorom ankiety. A Episkopat niebezpieczeństwu temu patrzy w oczy z zaufaniem w Opatrzność Bożą.

Ad 5. Odpowiedź na to pytanie jest zbyteczna. W obronie Kościoła i Jego prawdy nie może być nadmiernych ofiar. Ale przebywając zagranicą nie żądamy od innych męczeństwa. Wystarczy, że zostaną wierni Chrystusowi.

Ad 6. Ścisłe powiązanie katolicyzmu z patriotyzmem polskim wynika z historii. Jest ono siłą jednego i drugiego. Nacjonalizm jako doktrynę filozoficzną, jako nacjonalista-katolik, odrzucam. Jeśli jednak przez nacjonalizm rozumiemy świadomy patriotyzm, postawę taką jak najbardziej aprobuje, bo zgodna jest ona z katolicyzmem.

Ad 7. Płytkość i sentymentalizm polski przejawia się nie tylko w religii ale we wszystkich dziedzinach życia. Katolicyzm polski będzie tym mniej zacofany, im mniej będzie krępowany. Kult Maryjny w Polsce (nie maryjny, jak piszą niekulturalnie autorzy ankiety) nie tylko nie przybrał przesadnych rozmiarów, ale nie osiągnął jeszcze poziomu Lourdes czy Fatimy.

Ad 8. Żadną. Prócz tego, że wprowadzają nieco zamieszania wśród niedokształconych religijnie ludzi kultury (czy „Kultury”?).

Ad 9. Udział jest sztucznie zmniejszony. Wpływ kulturalny publicystów katolickich w wolnej Polsce wzrastał (przepraszam jeszcze raz p. Jeleńskiego, ale on tych rzeczy nieświadom). Nie da się porównywać wpływu prasy wolnej, z silnie ocenzurowaną (pod kątem widzenia dobra doktryny komunistycznej).

Ad 9. W proporcji liczebnej publicystyka katolicka na emigracji („Życie”, „Gazeta Niedzielną”, „Czyn Katolicki”, „Sodalitas”, „Duszpasterz Polski Zagranicą”, „Marianum w Służbie” i inne) przedstawia się całkiem dobrze. Zwłaszcza, że nikt jej nie finansuje, jak pewne koła międzynarodowe finansują inne wydawnictwa. Wartość „Znaku” czy „Tygodnika Powszechnego” nie leży w (pożal się Boże) publicystyce ale w tym, że istnieją, i mimo wszystko piszą. Choćby nawet niezadawalająco. Od prasy katolickiej na emigracji mamy prawo oczekiwać formy doskonałej. Stąd kontrast.

Ad 10. Ditto. Ruch umysłowy istnieje. Odczyty i referaty katolickie z pewnością nie ustępują pod względem kulturalnym odczytom świeckim. Tylko, że są przez „progresistów”, mniej czy

więcej „kulturalnych” ignorowane. Ale i to wytrzymamy.

Ad 11. Religia i Kościół jest jednym z głównych czynników łączących.

Ad 12. Poziom duchowy duchowieństwa jest odwrotnie proporcjonalny do stopnia wolności. Im jej więcej, tym jest wyższy, im bardziej Kościół prześladowany, czy ograniczany, tym niższy. Gdyby Kościół w Polsce od stuleci nie podlegał prześladowaniom, wpływ jego byłby tym większy. Dzięki Bogu, mimo prześladowań, Kościół swoje powołanie w Polsce spełnia.

Wkład polskich Ojców Soboru do prac jest w stosunku do możliwości wypowiedzania się — bardzo wysoki.

Ad 13. Wobec roli Polski katolickiej w świecie i wobec Jej liczebności Polska powinna mieć znacznie więcej kardynałów, niż ma obecnie. Stolicie biskupie: krakowska i wrocławska były tradycyjnie stolicami kardynalskimi. Ale na brak nominacji wpływa ogólna sytuacja Polski, miejmy nadzieję, że na Millennium będziemy mieć co najmniej trzech kardynałów.

Wojciech GNIATCZYŃSKI

#### Pytanie I 1

Dechrystianizacja naszej cywilizacji? Rozważania na ten temat mają to do siebie, że cokolwiek się powie, można to udowodnić. Ale naprawdę sprawdzi się to dopiero za kilkadziesiąt lat, kiedy na naszą epokę będzie można spojrzeć z jakiejś perspektywy, kiedy będzie widać wyraźnie jej skutki i jej wpływy na dalsze losy ludzkości.

Kiedy mowa o dechrystianizacji dzisiejszej Europy, myślę sobie, że gdyby z naszej cywilizacji nagle usunąć chrześcijaństwo, zniknęlibyśmy jak garść prochu. Nasze prawo, nasze stosunki społeczne, nasza psychika, kompleksy, antynomie w myśleniu, przesady, uprzedzenia, skala wartości, poczucie winy, ideały, nasza sztuka — wszystko to tkwi korzeniami w chrześcijaństwie. Nasze malarstwo abstrakcyjne, jakiego nie miała żadna inna cywilizacja, bo gdzie indziej abstrakcjonizm był po prostu zdobniczym — malarstwo abstrakcyjne byłoby nie do pomyślenia bez ontologii tomistycznej. Zdechrystianizować Europę? To tak jakby ktoś chciał wysadzić w powietrze tylko pierwsze piętro drapacza chmur.

Kryzys chrześcijaństwa powstał nie ostatnio, ale w dwunastym i trzynastym wieku, kiedy się skończyła złota era wolności chrześcijańskiej. Punktem najniższym w rozwoju chrześcijaństwa jest zasada *cuius regio eius religio*, uznana przez Kościół, a prze-



cież z gruntu niemoralna, uświęcająca brutalną przemoc. W XII i XIII wieku Kościół zamknął usta dyskusji, ogniem i mieczem wytepił albigensów i zniszczył wspaniałą kulturę Prowansji (dziś nazywamy to ludobójstwem), wprowadził świętą Inkwizycję. Pojawił się święty Bernard z Clairvaux, którego przerażała „bezwstydną ciekawość” (jak to określał) niektórych ludzi. Były to już ostatnie chwile czasów, w których mógł istnieć wielki filozof i teolog, a zarazem sławny kochanek, Abelard, chociaż epilog jego miłości był żałosny, bo wuj jego ukochanej Heloizy nasał na niego opryszków, którzy go wykastrowali. Nadchodziły czasy takiego zwyrodnienia, jakim była kontrreformacja (np. dzieje umysłowe Polski XVII i XVIII wieku).

Ale wydaje się, że dziś krzywa rozwoju Kościoła idzie w górę.

#### Pytanie I 2

Konflikt między wiedzą a wiarą jest moim zdaniem konfliktem werbalnym. Jeżeli *wiem*, to już nie mogę *wierzyć*. Wierzyć można tylko w coś, czego się nie wie na pewno. Gdyby się udało wykazać, że Bóg istnieje, wiara straciłaby sens, a ten, kto mimo wszystko nie wierzyłby w Boga, byłby jak ów człowiek, który patrząc w ogrodzie zoologicznym na żyrafę, powiedział: „Takich zwierząt nie ma”.

Istniał natomiast konflikt między religią a nauką. Wydaje mi się, że dziś konflikt ten już zaniknął, bo Kościół nie obstaje już przy naukowości Pisma Świętego. Nie ma dziś już też naukowych, które by Kościół potępiał.

#### Pytanie I 3

Nie akceptuję tezy o dechrystianizacji, chociaż zgodzę się bez wahania z twierdzeniem, że odbywa się proces laicyzacji i deklerykalizacji, proces polegający na tym, że księża tracą wpływ na życie człowieka.

Czy cofa się racjonalizm i materializm? Trudno o bardziej mgliste pytanie, bo można tomy napisać o tym, co to jest racjonalizm i materializm, i czy racjonalizm i religia się nawzajem wykluczają.

O ile rozumem intencję autorów ankiety, powiedziałbym, że „cofanie się racjonalizmu” polega z jednej strony na upadku dziewiętnastowiecznej wiary w możliwość rozwiązania wszystkich problemów za pomocą nauki, a z drugiej — na sukcesie i niezwykłej sile tak fideistycznego i religianckiego systemu, jakim jest komunizm.

Czy umacnia się przekonanie w ograniczoność możliwości nauki? Przekonanie to jest ugruntowane naukowo, na przykład przez teorię nieoznaczoności Heisenberga. Nauka obaliła determinizm w świecie atomu, wprowadziła relatywność w makrokosmosie,

wykazała, że próby dokładnego opisanie świata prowadzą się do konstruowania modeli.

#### Pytanie I 4

To chyba nie chrześcijaństwo rywalizuje z komunizmem, ale na odwrót. W każdym razie komunizm posługuje się — z rozmysłem czy nie — koncepcjami i zdobyczami religii. Komunizm ma swoje pismo święte, proroków, świętych, wiernych, męczenników, heretyków, niebo („komunista nie umiera!”), swoje piekła, ma okres takich samych wypaczeń jak inkwizycja, ma spowiedź, Index librorum prohibitorum, i td.

Nie należy identyfikować chrześcijaństwa z demokracją ani żadnym innym ustrojem. Chrześcijaństwo powinno być za sprawiedliwością, za sprawiedliwością absolutną, dla każdego człowieka, a sprawiedliwość jest możliwa i równocześnie zagrożona w każdym systemie. Inna sprawa, że w demokracji człowiek jest najbezpieczniejszy.

Kościół nie powinien się zajmować polityką. Polityka jest amoralną dziedziną działania. W polityce liczą się skutki, rezultaty. Ten, kto jest *successful*, ma rację. Komu powinęła się noga, jest zły. Kiedyś Kościół był mocarstwem, państwem, i wtedy może nie miał wyboru, musiał się zajmować polityką i to było jego słabością. Dzisiaj może i musi być tylko, *tylko* autorytetem moralnym, i w tym leży jego cała siła. Na roztropność nie ma miejsca, kiedy trzeba stawać w obronie moralności, podstawowych zasad. Pius XII myślał politycznie, a tymczasem trzeba było wstać i wołać wielkim głosem, potępić zbrodniarzy, faszyzm i hitleryzm, stanąć w obronie Żydów i innych prześladowanych. Kościół, który nie staje w obronie słabych i prześladowanych, jest niczym. Kościół powinien osądzać polityków z punktu widzenia moralności, a może by zapewnił słabym sprawiedliwość. W walce z komunizmem trzeba było naprzód, głównie i przede wszystkim stanąć w obronie tych tysięcy, milionów ludzi, którzy gnili w łągach, w obronie umierających chłopów ukraińskich, a dopiero potem się troszczyć o czystość doktryny. Trzeba było potępić i przekląć tych działaczy Akcji Katolickiej, którzy zastrzelili Lorkę i tylu innych niewinnych Hiszpanów.

#### Pytanie I 5

Jestem w zasadzie niepraktykujący, chociaż bywam w kościele. Praktyki katolickie uważam za pociągające. W katolicyzmie jest dla mnie nie do przyjęcia dogmatyka (to znaczy kanon dogmatów, wyłożonych w odpowiednich podręcznikach), z jej idiotyczną argumentacją, mającą wykazać rzekomą racjonalność wierzeń. Byłbym gotów dogmaty te przyjąć ale bez argumentów.



## Pytanie II 1

Pontyfikat Jana XXIII był chyba punktem zwrotnym w dziejach Kościoła. Kontrast między Janem a Piusem XII jest charakterystyczny. Po długim i nudnym panowaniu surowego, białego, sztywnego, antypatycznego Piusa XII nagle okazało się, że papież jest też człowiekiem, że jest zdolny do ludzkich uczuć, że bynajmniej nie musi być politykiem, dyplomatą ani mężem stanu (nawiasem mówiąc są to postacie odpychające; zupełnie nie mogę zrozumieć mentalności amerykańskich dzieci, które marzą o tym, żeby zostać prezydentem), okazało się, że papież do tłuściutkiej piersi potrafi przygarnąć cały świat, a przede wszystkim więźniów, chorych, tych najgorszych, najniezwyklejszych, śmierzdzących, najbardziej ludzkich. Niepokalana czystość, asceza, uduchowanie, nadziemskość Piusa XII były jego wadami. „Kto nie dotknął ziemi ni razu, / Ten nigdy nie może być w niebie”.

Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy drugi sobór watykański ma jakiegokolwiek znaczenie. Pewnie się to okaże za kilkadziesiąt lat.

## Pytanie II 2

(a) Jako kompletny laik uważam, że reforma liturgii jest niepotrzebna. Ale może w pracy duszpasterskiej księży była konieczna.

(b) Ekumenizm. Dogmatyka utrzymuje, że poza Kościołem nie ma zbawienia. Nie mam absolutnie nic przeciwko braciom odłączonym, jeżeli tylko nie chcą, bym uwierzył w tak śmieszne formy chrześcijaństwa, jakie istnieją w Stanach Zjednoczonych, ale chciałbym wiedzieć, co się stanie z tym dogmatem. Czy zostanie odwołany? Sprawa ekumenizmu jest niezmiernie skomplikowana. Jeszcze nie tak dawno mój znajomy ksiądz upierał się, że nawet z moim rodzonym bratem, ponieważ jest rozwodnikiem drugi raz ożenionym, nie powinienem utrzymywać bliskich stosunków. Czy więc wolno na przykład z luteraninem, albo z adwentystą dnia siódmego, a nie wolno z ożenionym rozwodnikiem? Czy też zasada ekumenizmu oznacza obalenie całego tego kompleksu myślowego i rozpoczęcie w tej dziedzinie od nowa? Ekumenizm nasuwa mi wiele pytań, na które nie znam odpowiedzi.

(c) Uważam, że antysemityzm jest zjawiskiem socjologicznym a nie religijnym. Zmiany w formułkach kościelnych, dotyczących Żydów (czy żydów? Chodzi o wyznanie czy o narodowość?) są tylko gestem, zresztą jak najbardziej pożądanym.

(d) Cenzura jest nie do przyjęcia w żadnej formie ani żadnego rodzaju. Jedynym prawowitym cenzorem jest umysł (sumienie), który odrzuca to, co uważa za złe, a akceptuje to, co uważa za dobre.

*Index librorum prohibitorum* w obecnej formie kompromitu-

je Kościół, a zresztą jest tylko zupełnie wyjątkowo przestrzegany przez katolików. Znam tylko może pięciu katolików, którzy przed przeczytaniem książki, umieszczonej na indeksie, proszą czynniki kościelne o pozwolenie ich przeczytania. Swego czasu Kościół umieścił na indeksie wszelkie publikacje komunistyczne, włączając w to gazety z Polski. Kto tego przestrzegał? Czy ten zakaz został cofnięty? Któż potrafi na to odpowiedzieć?

Jest jednak jasne, że Kościół musi się wypowiadać na temat moralności i z tego punktu widzenia oceniać książki, filmy i t.d. Indeks powinien się stać wykazem książek, przed którymi Kościół przestrzega, ale nie powinien książek zakazywać. Kościół ma obowiązek ostrzec wiernych, że jakiś film jest niemoralny, ale nie może zakazać wiernym jego oglądania, po pierwsze dlatego że może się mylić w swej ocenie, a po drugie dlatego że każdy ma prawo zobaczyć, co chce.

Kiedy mowa o moralności, zaznaczam, że chodzi mi o moralność w najszerszym tego słowa znaczeniu, a nie tylko o moralność seksualną. Tymczasem działalność Kościoła (księży) w dziedzinie moralności najczęściej sprowadza się do spraw seksu.

W sprawie seksu Kościół stanowiska nie potrzebuje i nie może zmieniać, ale powinien zupełnie inaczej rozłożyć akcenty. W sprawie Oświęcimia Kościół nie miał wiele do powiedzenia. Ale niech tylko gdzie się pokaże dekolcik, kolanko, nie mówiąc już o biuściku — a Kościół zaraz wytacza swoją najcięższą artylerię i wali z armat często do much. Poważnie na „toplessy” zareagował tylko Kościół. Wszyscy inni z politowaniem wzruszyli ramionami i odwrócili się w drugą stronę.

Księża muszą zrozumieć, jeżeli nie chcą „utracić kontaktu z rzeczywistością”, że są rzeczy ważniejsze niż całość błony dziewiczej przed zamążpójściem. Literatura religijna jest pełna pieśni na cześć dziewictwa, a gdy w tak zwanych nowoczesnych książkach katolickich dla młodzieży na temat seksu pisze się o *love making* (że też w polszczyźnie nie ma na to określenia), to opisuje się to jako unię mistyczną i tym podobne bzdury. Literatura katolicka na ten temat jest apsycho logiczna, bo dziewczętom nierozbudzonym nie ma co mówić o pokonywaniu zwierzęcej chuci, ponieważ one tego nie mogą zrozumieć, a do dziewcząt już rozbudzonych trzeba by przemawiać zupełnie innym językiem.

Dużą winę Kościół (i w ogóle chrześcijaństwo) ponosi za to, że dla wielu kobiet zamężnych łóżko jest przez całe życie stołem operacyjnym, że tyle kobiet z powodu wychowania chrześcijańskiego cierpi na zahamowania seksualne aż do waginizmu włącznie. W takim wychowaniu celują szkoły, prowadzone przez zakonnice, gdzie dziesięcioletnim dziewczętom zabrania się spacerować po dwie, albo objętym w pół, gdzie panienki idą do wanny w koszuli, gdzie lusterka są wyklete, a księża w czasie spowiedzi pytają dziesięcioletki, czy się nie onanizują. Tak prowadzone są szkoły internatowe zakonnice z krajów śródziemnomorskich.



## Pytanie II 4

Nie miałbym żadnych trudności w uwierzeniu np. w Tróję Świętą albo Niepokalane Poczęcie i td. Oburzają mnie natomiast próby rozumowego przekonania mnie, że wszystko to jest racjonalne.

## Pytanie II 5

W kulcie maryjnym nie widzę niczego, co należałoby zmieniać. Razi mnie tylko nazywanie Marii imieniem Maryja. Kobiety, noszące imię Maria, zostały tak nazwane na pamiątkę właśnie Matki Boskiej, więc próby nadawania Marii Pannie nowego, innego imienia uważam za niemądre.

Łączy się z tym sprawa tonu, jakiego używają księża w wypowiedziach oficjalnych. Niedawno włączyłem radio i usłyszałem głos Polaka, który mówił o jakichś sprawach technicznych, ale po dwóch słowach stało się dla mnie jasne, że słucham kazania. Ten ton kazalniany jest potworny, zupełnie nie do zniesienia, i stosowanie imienia Maryja dla Matki Bożej stanowi tego drobnego przykład. Księżom wydaje się, że to brzmi jakoś pobożniej. Z pewnością wielu wiernych podziela ten pogląd, ale jest to właśnie dziedzina, w której Kościół powinien prowadzić, a nie iść za wiernymi, nie zniżać się do poziomu najprymitywniejszych z nich. Kościół powinien pokazywać, że istota religii nie polega na tym nadętym, napuszonym, sztucznym, rzekomo pobożnym tonie.

## Pytanie II 6

Pacyfizm chrześcijański pojmuję jako potępienie stosowania przemocy, ale nie obrony własnej. *Better red than dead* uważam za doktrynę antychrześcijańską. Zaprzecza ona na przykład sensowi męczeństwa za wiarę. Człowiek powinien płacić każdą cenę za wartości, które uważa za podstawowe. Jest to postawa moralna. Zastanawianie się, czy nie lepiej jest zrezygnować z tych wartości, jeżeli cena jest bardzo wysoka, to postawa amoralna, polityczna.

## Pytanie II 7

Niewątpliwie do społecznych doktryn Kościoła można by to dodać, a tamto z nich ująć, i specjaliści powinni tym się zajmować. Ale ogólnie biorąc uważam je za wyjątkowo przejrzyste i sprawiedliwe.

## Pytania II 8, 9, 10

Nie uważam za udowodnione, by Kościół stawał się instytucją bogatych. Nie widzę także, dlaczego Kościół powinien się specjalnie starać o pozyskanie sobie jakiegokolwiek klasy czy grupy ludzi. Księża powinni się zajmować sprawami religii i swymi wiernymi. Wątpię, by w ich życiu było dość czasu na pracę zarobkową albo na małżeństwo.

## Pytanie III 1, 2

Znowu moim zdaniem nie należy mówić o dechrystianizacji, ale o laicyzacji. Laicyzacja w Polsce nie tylko nie jest faktem, ale przeciwnie, wpływy kleru są wyjątkowo silne. Kościół w Polsce dostarcza dziś jedynej możliwości manifestowania opozycji wobec rządu. Z tego powodu nawet ludzie niereligijni jednoczą się wokoło kleru przeciwko władzy państwowej. A szkoda, bo nowoczesne państwo nie jest możliwe bez rozdzielenia Kościoła od państwa, bez laicyzacji. Propaganda antyreligijna w Polsce ma skutek przeciwny niż zamierzony. Myśl religijna w Polsce zawsze stała na najniższym poziomie, dlatego też polska literatura religijna odrzuca od wiary, a antyreligijna — do niej przybliża. Wypowiedzi antyreligijne w Polsce są tak samo koszarne jak religijne.

Religijności Polaków trudno czymkolwiek zaszkodzić. Katolicyzm Polaków jest właśnie religiancki, antyintelektualny, dewocyjny, prymitywny, zabobonny. Jedyne nadzieja, że w starciu z komunizmem trochę się to poprawi. Spotkania z młodymi księżmi, wychowanymi w Polsce już Ludowej, wskazywałoby na to, że poziom kleru się podnosi.

## Pytanie III 5

Nie rozumiem, jak można godzić katolicyzm z komunizmem. Chyba że do komunizmu nie należą zbrodnie Stalina i Mao Tse-tunga, mordowanie i zsyłka do Związku Sowieckiego polskich akowców i tp. Ale jeżeli tak, to co to jest komunizm? Czy tylko wizja nowego, wspaniałego świata, czy też cała jego przeszłość?

## Z. S. SIEMASZKO

## I Chrześcijaństwo

W ciągu wieku XIX i XX miało miejsce wiele faktów, które



stwarzają pozory zmierzchu chrześcijaństwa. W pierwszym rzędzie zawrotny rozwój nauk ścisłych i techniki doprowadził do tego, iż zaczęto wierzyć, że metodą naukową rozwiąże się wszystkie problemy tego świata i niedługo znajdzie się odpowiedzi na wszystkie pytania. Jednocześnie zaczęto w sposób naukowy krytykować Ewangelię, a w szczególności opis stworzenia świata i końca świata. Tego rodzaju poglądy obecnie przemijają. Ambitna wiara w nieograniczone możliwości człowieka obdarzonego naukowymi środkami zanika.

Teraz świadomość tego jak mało naukowcy i technicy wiedzą o zjawiskach fizycznych, które potrafią może nawet eksploatować, staje się coraz bardziej wyraźna i nie widać możliwości dotarcia metodą naukową do sedna sprawy, tzn. do początku wszechrzeczy. Technicy nawet na bardzo przeciętnym poziomie zdają sobie z tego sprawę, że prawdziwe poznanie zjawisk jest właściwie niemożliwe, że można je jedynie zmierzyć i określić w pewnym przybliżeniu, zaledwie wystarczającym do praktycznego użytkowania. Jednocześnie okazało się, że początek świata opisany w Księdze Rodzaju jest z punktu widzenia naukowego prawdopodobny, a koniec świata nie musi koniecznie być powolny (malenie entropii), jak naukowcy udowadniali uprzednio, ale może być nagły, tak jak opisano w Ewangelii.

Obok mitu naukowości powstał mit maszyny, a właściwie dwa mity maszyny. Jeden, popularny wśród entuzjastów rozwoju technicznego, uważał, że maszyna dokona wszystkiego, potrafi za człowieka myśleć i decydować. A drugi, popularny wśród wrogów rozwoju technicznego, uważał, że maszyna jest źródłem wszelkiego zła w nowoczesnym świecie i może nawet człowieka zniszczyć.

Teraz już staje się jasne, że maszyna to jest jedynie idealny niewolnik, który potrafi, jeżeli mu człowiek w tym nie przeszkadza, wykonać dokładnie (tzn. ze znanym błędem), szybko i sprawnie (bez zmęczenia) pewne zadania, potrafi wykonać pewne określone przez człowieka funkcje, ale nie posiada ona woli i nie potrafi samowolnie zdecydować, nie potrafi też narzucić sobie zadania. Narzucenie zadania i decyzja na podstawie wyników dostarczonych przez maszynę może być podjęte tylko przez człowieka. Należy wyjaśnić, iż istnieją maszyny, które pozornie decydują same (np. optymalne automatyczne urządzenia kontrolne), ale decydują one w sposób narzucony przez człowieka i jeżeli otrzymają bodziec 'a', to zawsze powezmą decyzję 'A', a nie 'A', 'B' lub 'C' jak to potrafi człowiek.

Drugi mit maszyny powstał wśród ludzi z humanistycznym wykształceniem, którzy techniki nie znają i nie chcą się z nią zapoznać. Z biegiem czasu humaniści, którzy kiedyś przewodzili ludzkości, zasklepili się we własnym świecie i skłóceni, rozbici krążą w labiryncie swoich wąskich zaułków. Nie mają już sposobu przemówienia do ludzi nie będących w ich kręgu zainteresowań, ich poezja jest niezrozumiała, powieści często patologiczne, malarstwo i nawet muzyka dostępna tylko dla wtajemni-

czonego grona. Język ich jest niezrozumiały, słowa bez pokrycia, a wizja człowieka karłowata. Ponieważ duchowieństwo wszystkich wyznań chrześcijańskich dotychczas jest ściśle związane z humanistycznym wykształceniem, a więc i z humanistyczną metodą myślenia (duchowni często potępiają technikę jako zło moralne, w czym nie mają racji), rozbicie humanistów stwarza pozory kresu chrześcijaństwa.

W niektórych krajach duchowieństwo różnych wyznań związało się zbyt silnie z zamożną warstwą i przestało być ogólnospołeczne. W innych krajach hierarchie pewnych wyznań utożsamiły się zbyt silnie z władzą świecką, która w pewnych wypadkach skompromitowała się w oczach społeczeństwa. Zjawiska te nie wpłynęły dodatnio na żywotność chrześcijaństwa.

Dalszym czynnikiem prowadzącym do obecnego kryzysu chrześcijaństwa stał się protestantyzm, ten protestantyzm, który w swoim czasie przyczynił się waleśnie do ożywienia chrześcijaństwa po obu stronach barykady, tzn. katolickiej i protestanckiej. Większość wyznań protestanckich popełniła karygodne błędy. Zatraciły one uniwersalizm, stały się religiami narodowymi, a w niektórych wypadkach państwowymi. Jednocześnie poszły one na kompromis moralny i dążyły do dostosowania kanonów postępowania moralnego do zasad wygodnego i niefrasobliwego życia. Do tego doszło rozbicie w interpretacji słowa objawionego nie tylko w poszczególnych wyznaniach, ale nawet w ramach tego samego wyznania. Czynniki te doprowadziły do tego, że w niektórych krajach protestanckich w rękach kościołów pozostały jedynie funkcje towarzyskie i oficjalne ceremonie państwowe.

Zawrotny rozwój techniki spowodował powstanie bardzo licznej klasy robotników przemysłowych. Ta grupa ludzi ma silne tendencje do obojętności religijnej. Główną przyczyną tego zjawiska jest to, że ingerencja boska w ich warunkach bytowania jest o wiele mniej uchwytana niż dajmy na to w warunkach bytowania robotników rolnych. Robotnik przemysłowy odnosi powierzchowne wrażenie, że cały świat otaczający go (warunki pracy, narzędzia, powodzenie lub niepowodzenie poszczególnych operacji przemysłowych i td.) jest kontrolowany przez człowieka. Robotnik przemysłowy nie sięga dalej, nie zastanawia się nad tym co stoi poza człowiekiem i jakie jest źródło wszech rzeczy. Nie słyszałem nigdy kazania (polskiego lub angielskiego), w którym starano by się wyjaśnić obecność boską w czynnościach i narzędziach przemysłowych, ba, obecność boską w maszynie.

Ciekawe będzie obserwować jak automatyzacja, a co za tym idzie skrócenie godzin pracy, zlikwidowanie monotonnych czynności wykonywanych przez robotników i zastąpienie systemów robotnik-maszyna, systemami bez porównania lepszymi, z których robotnik zostanie wyeliminowany, wpłynie na stosunek robotników przemysłowych do religii.

Ale spójrzmy na te zagadnienia z innego punktu widzenia. W sferze kuli ziemskiej znajdującej się pod wpływami kultury europejskiej istnieją trzy uniwersalne wizje świata, to znaczy



take wizje, które mogą przemówić do każdego człowieka niezależnie od koloru skóry i miejsca zamieszkania i jednocześnie próbujące dać całkowity, kompletny obraz świata. A mianowicie chrześcijaństwo, a ściślej mówiąc katolicyzm, bo znaczna większość wyznań protestanckich zatraciła pierwiastek uniwersalności, komunizm i trzecia wizja, której właściwie nie można określić jednym słowem, wymaga ona szerszego omówienia, nazwijmy ją wizją eksperymentalną.

W wielkim skrócie. Katolicyzm opierając się na wierze w Boga, na słowie objawionym i na uzyskaniu kompetentnego szczęścia w życiu pozagrobowym rozwija harmonijną i kompletną wizję świata. Ustala zależności Bóg-człowiek, człowiek-człowiek i człowiek-natura (włączając w to cały postęp techniczny, o czym księża często zapominają).

I znów w wielkim skrócie. Komunizm, wynik mitu naukowości, opierając się na wierze w nieistnienie żadnych sił nadprzyrodzonych i w nieistnienie życia pozagrobowego i na rzekomo naukowo uzasadnionej możliwości zmiany natury (podkreślam — natury) człowieka na skutek zmiany warunków otoczenia rozwija względnie harmonijną i kompletną wizję świata i obiecuje przyszłym pokoleniom szczęście tu na tej ziemi. Ustala zależności człowiek-człowiek i człowiek-natura. Zależności Bóg-człowiek ma się rozumieć nie ma.

Trzecia wizja jest najślabiej zdefiniowana. Jest to wizja czysto eksperymentalna. Chodzi tu o to, żeby nie zastanawiać się nad żadnymi sprawami odległymi, natomiast układać warunki życia jak najwygodniej i jak najsprawniej, przy względnie małym wysiłku. Cieszyć się, śmiać się, nie mędrkować i osiągnąć jak największe zadowolenie. Stosunek Bóg-człowiek jest określony wzruszeniem ramion, stosunek człowiek-człowiek względną tolerancją i ograniczonym wykorzystaniem, stosunek człowiek-natura wykorzystaniem przez człowieka wszelkich możliwości jakie daje natura. Człowiek jest widziany jako stwór wyższego gatunku, który dużo konsumuje i wyżywa się w seksie.

Na Zachodzie ta wizja eksperymentalna ma wielu zwolenników wśród humanistów, robotników przemysłowych i techników, którym wpajają w zakładach naukowych różnego rodzaju, że jedynie te czynniki, które dadzą się udowodnić matematycznie lub eksperymentalnie należy brać pod uwagę. (W systemach komunistycznych uczą ich również marksistowskiej filozofii). Wizja ta ma również silne poparcie w przedsiębiorstwach przemysłowych i reklamowych, które pragną zwiększyć konsumpcję.

Te trzy wizje zwalczają się wzajemnie w mniejszym lub większym stopniu. Katolicyzm atakuje i komunizm i wizję eksperymentalną. Niektórzy katolicy twierdzą, że nie komunizm, a wizja eksperymentalna, z której wynika obojętność religijna, jest największym niebezpieczeństwem. Komunizm jednakowo stara się wypełnić katolicyzm i nie dopuścić do wpływów wizję eksperymentalną. A wizja eksperymentalna powoli, bez szumnych słów, draży i jedno i drugie i wydaje się zbierać na znaczeniu. Za-

chodzi pytanie, czy możliwe jest życie społeczeństw bez ideologii, bez zasad, oparte na poszukiwaniu od wypadku do wypadku najłatwiejszych rozwiązań?

Za komunizmem stoi duża siła ekonomiczna i militarna. Komunizm odgrywa decydującą rolę w zakresie tych sił, a poza tym zakresem ma w wielu krajach zachodniej demokracji swobodę działania. Katolicyzm ma za sobą niezdefiniowane i raczej ograniczone siły fizyczne. W zasięgu demokracji zachodnich ma on całkowitą swobodę działania, a w zasięgu komunizmu ograniczone możliwości, ale istnieją. Byłoby błędem sądzić, że systemy zachodniej demokracji i katolicyzm (czy nawet chrześcijaństwo) to dwie siły działające równolegle. Natomiast te systemy demokratyczne z wysoką stopą życiową i uprzemysłowieniem stwarzają dogodne warunki dla rozwoju wizji eksperymentalnej.

I kto zwycięży, kto opanuje mentalność ludzkości, czy komunizm swoją siłą i atrakcyjnością szczęścia na tej ziemi, czy katolicyzm mocą swej odwiecznej mądrości, czy też ci, którzy jedynie chcą produkować i konsumować?

Jest jeszcze za wcześnie by na pytanie to odpowiedzieć definitywnie. Należy przypuszczać, że jeszcze długo będą istniały wszystkie trzy wizje, a ich wpływy będą rosły lub malały z biegiem czasu. Zresztą trudno oczekiwać decydującej przewagi jednej z tych sił, bo dopiero na końcu świata ma być „jedna owczarnia i jeden pasterz”.

W najbliższym czasie na ścieranie się tych trzech wizji będą miały wpływ cztery czynniki. Dociekania naukowców, którzy zwątpiwszy w mit naukowości, stanęli przed wielkim pytaniem celu i sensu ich własnych osiągnięć i poszukują odpowiedzi. Naturalne dążenie ludzi do istoty nadprzyrodzonej, co obecnie najsilniej przejawia się w Rosji. Reformy w Kościele katolickim wprowadzane przez obecny sobór. I zmiana warunków bytowania robotników przemysłowych na skutek wprowadzanej automatyzacji.

Nie ulega wątpliwości, że wpływy ateizmu i obojętności religijnej wzrosły poważnie w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat, ale mówienie o erze „po-chrześcijańskiej” jest jeszcze stanowczo przedwczesne.

### III Sprawy polskie

#### Kraj

Przejdźmy z kolei do spraw czysto polskich i zastanówmy się jak przedstawiają się wpływy trzech wizji świata omówionych poprzednio. Bezsprzecznie w dalszym ciągu wpływ katolickiej wizji świata, chociaż malejący, jest najsilniejszy. Ilość zwolenników komunistycznej wizji świata poważnie wzrosła, ale gdyby nie siła, na której się ta grupa opiera, to znaczenie ich byłoby wielokrotnie mniejsze. Wizja eksperymentalna w takim sensie



jak na Zachodzie nie ma wśród Polaków, wychowywanych na takich, czy innych ideologiach jako kanonach postępowania, wielkich szans powodzenia, szczególnie dopóki stopa życiowa jest niska.

W Polsce występuje jeszcze jeden czynnik prawie nieznan na Zachodzie, a mianowicie inteligencja, która przyswoiła przywileje i obowiązki dawnej szlachty, przypisuje sobie rolę przywódczą i jako bożka wysuwa patriotyzm.

Od dawna o rządy nad duszą narodu polskiego zabiega Kościół katolicki i inteligencja, a ostatnio do tego współzawodnictwa dołączył komunizm. Współzawodnictwo pomiędzy Kościołem i inteligencją było ukryte, podjazdowe, czasami dochodziło do bliskiej współpracy, a niekiedy do prób podporządkowania Kościoła celom partriotycznym. I tak Dmowski zdołał Kościół wykorzystać, Piłsudski wolał z Kościołem nie walczyć, a Piasecki dąży do podporządkowania Kościoła. Nie chciałbym nikogo urazić takim zestawieniem nazwisk, ale między wojnami aspiracje inteligencji reprezentowane były przez zwalczające się obozy Piłsudskiego i Dmowskiego, a obecnie aspiracje te reprezentuje Piasecki.

Kościół katolicki ma tak potężne wpływy, że komuniści (z rozkazu Moskwy lub nie) popierają Pax w celu wspólnego zwalczania Kościoła. Komuniści działają od zewnątrz ograniczając Kościół wszelkiego rodzaju przepisami prawnymi, co można by nazwać bezkrwawym prześladowaniem, a Pax działa od wewnątrz buntując katolików przeciwko hierarchii i jej metodom. Można by oczekiwać o wiele lepszych skutków tego osaczenia niż te, które oglądamy.

Na czym więc polega siła Kościoła? Wydaje się, że odgrywają tu rolę trzy czynniki, z których dwa istniały od dawna, a mianowicie wiara i reprezentowanie polskiej ciągłości, a trzeci, manifestacja antykomunistyczna, doszedł ostatnio.

Wiadomo, że katolicyzm polski jest płytki i sentymentalny, wiadomo, że Polacy mają niewielu świętych i że przez kilka ostatnich wieków nie odegrali większej roli w życiu powszechnym Kościoła, ale jednak czynnika wiary nie należy lekceważyć, szczególnie, jeżeli występuje on jako ruch masowy.

W ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat wszystko się zmieniło, przemijają slogany niepodległościowe, nastaje drętwa mowa, dwie wojny czynią spustoszenia, to samo pokolenie Polaków musi przeżyć dwa psychiczne szoki wzlotów i upadków, zabory, niepodległość, niepodległość-PRL, a Kościół katolicki jest stale ten sam, te same pieśni, tacy sami biskupi i proboszczowie, te same procesje i obrazy i ta sama treść, mniej lub bardziej rozumiana, z nimi związana. Hierarchia katolicka jest jedyną polską organizacją, która istnieje bez przerwy już przez tysiąc lat. Katolicyzm w Polsce spełnia podobną rolę do monarchii w Anglii.

Tradycja to wielka rzecz i ciekawe, że ci, którzy sięgają po duszę narodu (inteligencja, czy komuniści) wydają się nie doce-

niać jej znaczenia. A może i doceniają, ale cóż, na utworzenie innej tradycji i innej ciągłości trzeba kilku pokoleń. Ciągłość i tradycja mają jeden wybitny aspekt praktyczny, a mianowicie sprawność administracji. Z pewnością Kościół katolicki w Polsce miał i ma bardziej sprawną administrację niż administracja władz państwowych przed, czy po maju i przed, czy po październiku.

Czy to utożsamienie polskiej ciągłości i Kościoła jest dla Kościoła korzystne trudno stwierdzić. Prawdopodobnie zjawisko to osłabia nieco wiarę, ale z drugiej strony daje Kościołowi o wiele większe możliwości i wpływy.

Kościół w Polsce nie rezygnuje z zadań narzuconych przez sytuację i właściwie nie może zrezygnować. Zabiega on o ożywienie religijne i jednocześnie hamuje sowietyzację w imię nie tylko zasad wiary, ale i zachowania ciągłości polskiego oblicza. Te dwa cele są tak ze sobą wymieszane, że trudno jest ocenić do jakiego stopnia drugi cel przyszkadza pierwszemu.

Trzecim czynnikiem wspierającym obecnie Kościół jest demonstracja antykomunistyczna. Bodajże jedynym sposobem publicznego wyrażania swego niezadowolenia z rządów komunistycznych jaki Polakom pozostał jest udział w imprezach katolickich (msze, procesje i td.). Wielu ludzi niewierzących korzysta z tej możliwości. Chociaż demonstrującym daje to pewną satysfakcję, to jednak należy przyznać, że z punktu widzenia Kościoła zjawisko to nie jest pożądane, gdyż ta bierna postawa demonstrantów wcale nie przyczynia się do pogłębienia religijności, a jedynie niepotrzebnie rozwściecza władze komunistyczne.

W tej zawikłanej sytuacji powstają paradoksalne zjawiska. Komuniści przystępują do komunii w parafiach, gdzie ich nikt nie zna. Paxowcy modlą się żarliwie i nazywają siebie działaczami katolickimi, chociaż przecie jasne jest, że Pax działa na szkodę Kościoła. Niewierzący wysłuchują niedzielnej mszy św. i kazania. A katolicy są członkami partii. Te zjawiska podwójnej moralności nie wpływają dodatnio na psychikę Polaków. Może byłoby lepiej, gdyby katolicy nie należeli do partii, komuniści nie przystępowali do komunii, niewierzący nie chodzili na mszę, a paxowcy przestali mienić się katolikami.

Ale sytuacja taka mogłaby zaistnieć jedynie w wypadku, gdyby komuniści rządili w Polsce w sposób ciągły (bez październików) przez co najmniej parę pokoleń i zdołali stworzyć nową polską tradycję. Wówczas przy Kościele zostaliby tylko ludzie wierzący, a Pax byłby już komunistom niepotrzebny. Jednak podstawowym warunkiem do osiągnięcia tego rodzaju sytuacji jest popieranie systemu komunistycznego przez poważny odsetek Polaków, a tymczasem w kraju rozbrzmiewa hasło „system do nas nie pasuje”. Więc cóż się stanie?

Jak zwykle, czas robi swoje. Na skutek propagandy komunistycznej i ograniczonych możliwości kontrpropagandy katolickiej coraz więcej ludzi odchodzi od Kościoła (tak w sensie wiary jak i w sensie ciągłości polskiej tradycji), którego wpływy powoli



maleją. Proces ten, głównie dotyczy młodszych pokoleń. Ma on negatywne skutki z punktu widzenia tak katolicyzmu, jak komunizmu i Paxu, gdyż w większości wypadków ludzie ci oddalając się od Kościoła nie stają się zwolennikami systemu komunistycznego (choćby nawet zapisali się do partii), ani też paxowskiego systemu supremacji elity inteligenckiej, a zawisają w ideologicznej próżni. Cechuje ich rozgoryczenie i cyniczne nastawienie do życia. Dążą oni do wygodnego urzędzenia się bez względu na sposób, ignorując wszelkie zasady moralne i interes społeczeństwa. Jest to zjawisko nowe w polskim życiu i można by je uważać za polską odmianę eksperymentalnej wizji świata (o której była mowa), ale bez porównania bardziej smętną, a może nawet ponurą niż na Zachodzie.

O ile wizja eksperymentalna na Zachodzie gotowa jest przyjmując większość przykazań dekalogu, z wyjątkiem trzech pierwszych (dotyczących wiary) i szóstego (Nie cudzołóż), o tyle jej polska odmiana właściwie jest przygotowana zachować tylko jedno przykazanie: — Nie zabijaj.

Zastanawiając się nad sprawami krajowymi dochodzi się do wniosku, że źle się dzieje, iż przez 20 lat partia nie zdołała skupić dookoła siebie ludzi, którzy, w ramach dozwolonych przez system komunistyczny, potrafiliby stworzyć bardziej praworządne i sensowne warunki życia i przez to ograniczyć deprawację Polaków. Może paxowcy potrafiliby to osiągnąć, ale oni mogą dojść do władzy tylko w wypadku kompletnej dezintegracji partii, a na to się nie zanoszono. Kościół katolicki przeciwdziała deprawacji, ale mając ograniczone możliwości nie jest w stanie podołać temu zadaniu.

### *Emigracja*

Przejdźmy z kolei do spraw emigracyjnych. Katastrofa zakończenia wojny zastała Polaków na Zachodzie zupełnie nieprzygotowanych do sytuacji jaka się wytworzyła. Nie zabezpieczono egzystencji emigracyjnej (a możliwości były), nie stworzono polskiego szkolnictwa, czy funduszków na cele kulturalne, czy też sensownej reprezentacji politycznej. Pewną rolę odegrało to, że pesymistom wydawało się, iż klęska koncepcji niepodległościowej, po tak licznych ofiarach spowoduje, że polskość przestanie być atrakcyjna i tysiące Polaków pozostających na Zachodzie rozpląną się i wsiąkną w szybkim tempie. A optymiści byli pod wrażeniem, że sytuacja jest przejściowa i za parę lat powrót do kraju będzie możliwy. Ci, którzy próbowali zorganizować długodystansowe życie emigracyjne należeli do rzadkich wyjątków.

Hierarchia katolicka do tych wyjątków nie należała i dlatego nie zorganizowała solidnego duszpasterstwa emigracyjnego. Duszpasterstwo wojskowe, które niedwuznacznie podlegało arcybiskupowi

powi Gawlinie, zlikwidowano, a opiekę nad Polakami objęły polskie misje katolickie w poszczególnych krajach. Misje takie w niektórych wypadkach istniały już przed wojną, ale ze względu na małą ilość Polaków w poszczególnych krajach miały one ograniczone możliwości działania. Po wojnie ilość Polaków wzrosła wielokrotnie, a w poszczególnych misjach nie przeprowadzono zasadniczych zmian.

Sprawa podległości poszczególnych misji jest wybitnie skomplikowana. Rektorów misji wyznacza polski prymas, ale jurysdykcyjnie podlegają oni lokalnym arcybiskupom w poszczególnych krajach, z wyjątkiem Niemiec, gdzie rektor misji polskiej podlega bezpośrednio Watykanowi. Rola arcybiskupa Gawliny, mianowanego opiekunem emigracji, została ograniczona jedynie do funkcji doradczych, opartych na jego osobistym autorytecie i popularności wśród byłych żołnierzy.

Hierarchia katolicka w kraju miała zbyt wiele problemów lokalnych, żeby zainteresować się poważnie zagranicznymi misjami, arcybiskup Gawlina zaczął się zajmować wielkimi sprawami Kościoła, a arcybiskupom w poszczególnych krajach wcale nie zależy na tym, żeby polskie misje na ich terytorium sprawnie funkcjonowały. Z ich punktu widzenia, czym prędzej się ten polski dziwoląg skończy tym lepiej. W tej sytuacji rektorzy poszczególnych misji, praktycznie rzecz biorąc, mieli wolną rękę i mogli lawirować pomiędzy Watykanem, Warszawą i lokalnym arcybiskupem.

Zorganizowanie emigracyjnego duszpasterstwa, w którym chodzi głównie o to, żeby rektorzy misji byli odpowiedzialni przed polskim biskupem skupiającym w swoim ręku całokształt spraw emigracyjnych, nie jest rzeczą prostą w ramach istniejących przepisów kościelnych, ale wydaje mi się, że zaraz po wojnie zadanie to można było rozwiązać lepiej, niż to uczyniono. Zresztą nie jest to problem nowy, tylko rozmiar o wiele się zwiększył. Kardynał Hlond jeszcze przed wojną stwarzając specjalny zakon Chrystusowców, który miał się opiekować Polakami poza krajem, wskazał jak należy podejść do tego zagadnienia.

Większość polskich księży (przynajmniej w Anglii) rekrutuje się spośród kapelanów wojskowych albo ex-kacetowców, sterynych fizycznie, a czasem i psychicznie.

Tak jak we wszystkich innych dziedzinach życia emigracyjnego tak i w Kościele dominowała starość. Świeżo wyswięconych księży w Rzymie czy w Paryżu rozsyłano po całym świecie (między innymi do Polski), a w Anglii przez kilkanaście lat młoda twarz przy ołtarzu była wyjątkowym zjawiskiem. Wszystko było nastawione na powolne zamieranie.

W międzyczasie rozpoczął się ruch oddolny. Zaczęły rozwijać się komitety parafialne, szkoły sobotnie, harcerstwo. Ruch ten opiera się głównie na pokoleniu, które wyjechało z kraju w wieku młodzieńczym, poniosło najcięższe ofiary wojenne i nie zostało dopuszczone do żadnych wpływów. Teraz są to ludzie stateczni, dobrze sytuowani, obciążeni rodziną, domem, samochodem i



od dawna naturalizowani, za co ich w swoim czasie piętnowała góra emigracyjna.

Centralne organizacje są w dalszym ciągu obsadzone ludźmi wyłącznie starymi. Jedyne wyłom nastąpił ostatnio w Kościele katolickim. Po śmierci arcybiskupa Gawliny na stanowisko opiekuna emigracji powołano czterdziestokilkoletniego biskupa Rubina. Chociaż nie dano mu władzy nad misjami w poszczególnych krajach, to jednak powiał nowy wiatr i odnosi się wrażenie, że duchowieństwo polskie (w Anglii przynajmniej) zaczyna się powoli odmładzać.

Zjawiają się młodzi, energiczni księża z odpowiednim przygotowaniem do pracy w Anglii. Podobno istnieje możliwość objęcia duszpasterstwa w poszczególnych krajach przez zakony, jest to myśl godna pochwały. Starym wysłużonym księżom należy się jakiś dom podobny do Antokołu albo miejsce w domach zakonów, które obejmą ich funkcje. Miejmy nadzieję, że biskupowi Rubinowi nie zabraknie siły perswazji i proces odmłodzenia duchowieństwa będzie się kontynuował. Miejmy również nadzieję, że centralne organizacje emigracyjne pójdą śladami Kościoła.

Warto wspomnieć o pewnej dodatkowej trudności polskich katolików w Anglii, gdyż sprawę tę przeważnie się przemilcza. W parafiach istnieje niechęć księży katolickich angielskich (przeważnie Irlandczyków) do polskiej działalności katolickiej. Co gorsza, niechęć ta jest często oparta na zazdrości o tacę. Tam, gdzie Polacy korzystają z kościołów angielskich lokalni proboszczowie każą sobie płacić wysokie procenty (niekiedy 100%) od zebranych na polskich mszach pieniędzy. Toteż nie dziwnego, że polskie kaplice i kościoły w Anglii mnożą się jak grzyby po deszczu. A trzeba przyznać, że Polacy, jeżeli widzą konkretny cel, dają na tacę o wiele więcej niż Irlandczycy, np. w kościele św. Andrzeja Boboli od czterech lat, bez upomnień, jedynie na rozbudowę kościoła pada od 60 do 80 funtów tydzień w tydzień. Polacy coraz bardziej usamodzielniają się. Prawnie właścicielem nabytych posiadłości jest polska misja co utrudnia zawładnięcie posiadłości przez nagielskich katolików w wypadku wygasania polskich komitetów parafialnych.

Na szczęście nie zanoszą się na to, żeby w Anglii powstał polski kościół narodowy, jak to miało miejsce w U.S.A. między wojnami na tle zatargów pomiędzy polskimi parafiami i katolickimi władzami amerykańskimi.

O ile emigracyjne życie parafialne nie wykazuje tendencji zamierania, o tyle umysłowy ruch katolicki na emigracji właściwie nie istnieje, pomimo heroicznego wysiłku indywidualnych, jak np. wydanie po polsku Summy św. Tomasza z Akwinu. Chyba, że do ruchu umysłowego zaliczymy istnienie wydawnictwa katolickiego „Veritas”.

Należy przyznać, że zaraz po wojnie ruch taki powstał i co ważniejsze, zainteresował się młodzieżą akademicką, co w ówczesnych czasach było wyjątkiem. Mam tu na myśli Polskie Katolickie Stowarzyszenie Uniwersyteckie Veritas. Niestety ruch

ten, z wyjątkiem kilkunastu polskich małżeństw wśród członków i sympatyków, nie wiele pozostawił po sobie znaków widzialnych, a wpływ tej organizacji na osobistą religijność jej członków trudno jest ocenić.

Tak się złożyło, że najbardziej dynamiczna inteligencja katolicka na emigracji w okresie powojennym, ta, która zorganizowała Veritas, miała przedwojenne obciążenia polityczne. Ludzie ci byli związani z grupami nacjonalistycznymi, a w szczególności z Obozem Narodowo-Radykalnym, czyli wywodzili się oni z tego samego środowiska politycznego, z którego wywodzą się paxowcy. Z powodu politycznej przeszłości ludziom tym brakowało giętkości, szerokości poglądu, a może nawet tolerancji. Ludzie ci wierzyli w kierownictwo odgórne (wodzowstwo) i byli zdolni dać jedynie pozory samostanowienia młodszemu pokoleniu (studentom). Ludzie ci wierzyli również w zasady elitarne i starali się skupić wokół siebie głównie jednostki wybitne. Niby nic w tym nie ma złego, jednak kiedy o doborze członków zaczął decydować snobizm, P.K.S.U. Veritas stał się stowarzyszeniem młodzieńców i panien z tzw. dobrych domów, i na tym się skończyło.

P.K.S.U. Veritas nie pozostało też wolne od popularnej wśród aktywnych katolików różnych narodowości choroby, która polega na tym, że dochodzą oni zbyt wcześnie do wniosku, że sami kwalifikują się na wieczne zbawienie, a inni, nie należący do ich grupy, na wieczne potępienie.

Późniejsze próby zorganizowania akademików nie dawały poważniejszych wyników głównie z powodu braku odpowiedniego księdza. Od czasu do czasu powstają małe grupki dyskusyjne, ale nie mogą one odegrać poważniejszej roli.

Obecnie, kiedy *College'e* londyńskie zapełnione są powojennymi rocznikami młodzieży, która w poważnym stopniu poczuwa się do wspólnoty z polskością, nie ma księdza, który by się nimi zajmował, a przecież nie jest tajemnicą, że dajmy na to ojcowie Marianie mają nadmiar młodych księży. Już najwyższy czas na odmłodzenie i zreformowanie duszpasterstwa polskiego w Anglii.

Polskość kroczy w parze z katolicyzmem nie tylko w kraju. W Anglii sytuacja jest identyczna, działalność polska skupia się dookoła parafii. I w tym czasie, kiedy organizacje centralne stopniowo maleją, działalność organizacji lokalnych, tzn. parafii z przyległościami, chyba nawet wzbiera na sile.

Wprowadzenie języków narodowych do liturgii odegra w Anglii podwójną rolę. Tam gdzie skupiska Polaków są małe przyspieszy to wynarodowienie, ale tam gdzie skupiska są większe i odprowadzane są polskie msze, frekwencja na tych mszach wzrośnie, co wpłynie hamująco na wynarodowienie.

Ilość ludzi i atmosfera na dorocznych festynach w Fawley Court, czy Pitsford świadczą chyba najlepiej o masowym zjawisku łączenia katolicyzmu z polskością na emigracji w Anglii, a sposób w jaki centralne organizacje emigracyjne (z „Dzienni-



kiem Polskim" włącznie) reagowały na pierwsze wizyty w Anglii nowomianowanego biskupa Rubina dowodzi, że przywódcy emigracji podzielają to nastawienie mas.

## B. MIECZKOWSKI

Dane osobiste: wiek 40 lat, profesor uniwersytetu, niewierzący, wychowanie katolickie. Agnostykiem stałem się na uniwersytecie w Londynie 17 lat temu.

I. 1) Wydaje mi się, że wступujemy w wiek synkretyzmu, pod wpływem szerszego dostępu do religii niechrześcijańskich i pod wpływem wzmoczonego racjonalizmu. Chrześcijaństwo może posiadać pewne pozytywne tradycje, tolerancja religijna jednak do nich nie należy. Ogólnie pojawiające się więc głębsze zrozumienie pozycji innych ludzi — podstawa tolerancyjnego ustosunkowania się — podkopuje wpływ chrześcijaństwa, a szczególnie zapalczywego katolicyzmu z jego tendencją wścibstwa w sprawy osobiste. Wolność osobista jest obecnie bardziej ceniona niż w wiekach średnich, od regulowania urodzin do chodzenia do kościoła i postów oraz czytania książek bez uwagi czy są czy nie na indeksie. Katolickie zakusy na tę wolność osłabiają więc wpływ tej religii. Przychylam się do poglądu na zmierzch chrześcijaństwa — może ono istnieć jeszcze długo ale forma jego będzie z pewnością inna niż obecnie, tak jak obecne chrześcijaństwo nie jest tym samym jakim było w 17 stuleciu.

2) Pozornie istnieje pewno złagodzenie konfliktu między wiarą a wiedzą. Pogłębiająca się wiedza poważnie podkopuje jednak pozycje religijne i zmienia nastawienie ludzi z religijnego na racjonalne.

3) Materializm rozszerza się wśród mas, intelektualne grupy społeczne wydają się jednak od niego odchodzić. Racjonalizm wzrasta.

4) Nie widzę współzawodnictwa wprost między chrześcijaństwem a komunizmem — dla mnie są to dwie wiary przeznaczone do zaspokajania różnych potrzeb, często tych samych ludzi. Katolicyzm współzawodniczy z komunizmem w dziedzinie swoich instytucjonalnych ambicji, które wybiegają poza sferę wiary. Po zetknięciu się osobistym z jednym z katolickich uniwersytetów w Am. Półn. nie widzę dużej różnicy między kościołem kat. a partią komunistyczną. Duża ilość profesorów-kolegów dzieli moje poglądy, nawet ci z nich, którzy zachowali wiarę (zwykle stają się tylko wierzącymi antyklerykałami). Utożsamiać demokrację z chrześcijaństwem byłoby krzywdzące dla demokracji. Ze względów taktycznych działacze chrześcijańscy dążą do takiego utożsamiania dla uzyskania tzw. „free ride” i zwiększenia swoich wpływów. Nie widzę żadnych podstaw do takiego upolityczniania przekonań religijnych. Czyżby buddyści byli totalitarni?

5) Zostałem agnostykiem nie widząc filozoficznych podstaw takich czy innych wierzeń. Praktyki katolickie uważam za pierwotne i tłumiące samodzielne myślenie, za dążące do indoktrynacji i zbiorowego mesmeryzmu — co spostrzegłem w innych religiach i sektach. Odpycha mnie szczególnie od katolicyzmu jego zakłamanie, rozbieżność między głoszonymi *hasłami* a praktyką. Osobiście zaobserwowałem np. kłamstwa i nieuczciwość, pijaństwo i przynajmniej ukryte zbrocenia wśród Jezuitów — nie mówiąc o potwornej głupocie, mierzaniu wypowiedzi ortodoksja, stosowaniu indeksu (jeden z ele-

mentów totalitaryzmu) i tragedii osobistych gdy ludziom zbyt późno otwierają się oczy zaklejone brewiarzem.

II. Większość odpowiedzi nakreślona powyżej, część przeznaczona jest dla wierzących. Kościół traci masę robotniczą ponieważ jest z gruntu konserwatywny — *rerum novarum* etc. były zwykle 50-100 lat poza postępowymi prądami, tak jak np. katolickie nastawienie do integracji w Stanach Zjednoczonych, przy czym w szkołach parafialnych *nie ma* prawie wcale Murzynów! Dla mnie jest to dwulicowość.

III. 3) Część „szykan” Kościoła w Polsce jest po prostu zbliżeniem do sytuacji na Zachodzie, jak np. usunięcie religii ze szkoły. Część jednak jest krępowaniem go. 12) i 10) Niski poziom intelektualny katolickich księży ogranicza ich do działalności wśród sfer robotniczych na emigracji, i to zwykle ludzi starszych bardziej tradycyjnie katolickich. Najtrwalsze wydaje mi się ugruntowanie patriotyzmu polskiego na tradycji kulturalnej. Łączenie go z katolicyzmem potęguje element czysto emocjonalny i może łatwo prowadzić do załamania patriotyzmu, przy czym stanowi obrazę dla Polaków-niekatolików i przyczynia się do ich alienacji. Jednocześnie podnosi ono parafialne nastroje patriotyzmu, co tak ostro występuje wśród Irlandczyków.

Osobiście, trudno by mi było uważać się za człowieka intelektualnie uczciwego gdybym pozostał katolikiem. Szanuję jednak uczucia i poglądy katolików, tak długo jak są konsekwentne i uczciwe, i tak długo jak nie prowadzą do uszczuplenia mojej własnej osobistej wolności.

Jan KUTA

Chicago, 30 listopada 1965.

Pozwoliłem sobie dołączyć swoje skromne trzy grosze w sprawie ogłoszonej przez Pana ankiety.

Pytania dotyczą chrystianizmu, a przede wszystkim religii rzym.-kat. Pytanie, czy nadchodzi zmierzch chrystianizmu — moim zdaniem tak; powód: przytoczę tylko kilka: po pierwsze wszystko ma swój okres rozkwitu, dojrzewania i zmięczenia — wielka idea chrystianizmu odegrała w swoim czasie dodatnią rolę lecz z biegiem czasu różni kierownicy Kościoła spaczyli tę ideę tworząc różne nowe dogmaty, często mając na celu dobro własne, jak np. świętość i nieomylność papieża i wiele innych. W pewnych okresach czasu hierarchia Kościoła doszła do wielkich wpływów na politykę i rządy państw świeckich, stała na stanowisku niedopuszczania niższych klas do oświaty i hamowała postęp wiedzy, choćby tylko sprawa z teorią Kopernika, Galileusza, albo takie okresy jak inkwizycja, palenie domniemyanych herezyków lub czarownic. Idea chrystianizmu w pierwszym wydaniu głosiła miłość bliźniego, ubóstwo, skromność — czy te cechy są przestrzegane przez hierarchię Kościoła? Widzimy, że czym wyższa ranga — okazalszy pałac, drogocenniejsze szaty, chęć bogacenia się, pycha, pęd użycia, głosząc innym, że ich to czeka kiedyś. Nic dziwnego, że łódź Piotrowa się chwieje przy takim kierowaniu. Zrozumiał to papież Jan XXIII i poczynił nieśmiały krok w celu samoobrony, ale czy nie za późno? Nasuwa się pytanie, co dalej? Ludzkość się miota jak łódź bez steru na wzburzonych falach, potrzebuje znów jakiejś odpowiedniej wielkiej idei, która by wskazywała kierunek i cel ludzkości. Stworzona przez Marksa idea komunizmu w praktyce okazała się fiaskiem dając miast wolności niewolnictwo fizyczne i du-



chowe. A jednak miejmy nadzieję, że jakaś wielka idea musi się zrodzić, bo jest to koniecznością.

Zastanówmy się, czy wiedza zagraża religii? Myślę, że nie, bo chociaż wiedza już zdetronizowała różnych bogów z przeszłości, to jednak prawdą jest, że to co dotąd osiągnęła wiedza jest kroplą w morzu w porównaniu z tym co pozostaje tajemnicą, a człowiek lęka się tajemnic, tworzy bóstwa od zarania ludzkości. W tym stanie rzeczy mając dziś setki różnych religii, których jednak wspólnym punktem jest Bóg, jedynym wyjściem — moim zdaniem — byłoby zjednoczenie wszystkich religii w jedną powszechną, która by głosiła wiarę we wszechmoc jedyne Boga bez żadnych innych dodatków aby pożytkiem Bogu uczynić ludzkie serca miast gmachów kościelnych. Obowiązki wyznawców: miłość bliźniego i dobre uczynki i świat byłby piękny i chciałoby się żyć długo.

## Dyskusja z Mieroszewskim

Antoni POSPIESZALSKI

Czy wolno mi, zamiast odpowiedzieć na ankietę „Kultury”, odpowiedzieć krótko na artykuł J. Mieroszewskiego pt. „Religia i polityka”? Na ankietę nie odpowiadam z tego prostego powodu, że odpowiedzenie choćby na wybrane pytania z jako takim uzasadnieniem wymagałoby napisania książki. W pewnym sensie również odpowiadanie na tę ankietę mija się z celem. Pytania same na nią odpowiadają; są one tak sformułowane, że skłaniają do odpowiedzi faworyzujących *aggiornamento*, rewizję sformułowań dogmatycznych, otwarcie Kościoła na świat, dialog wszelkiego rodzaju, prymat sumienia, a ze spraw szczegółowych na przykład rewizję sztywnych przepisów dotyczących regulacji urodzin i td. Wystarczy zatem powiedzieć, że z grubsza mówiąc jestem za tym wszystkim.

Mieroszewski też jest za tym wszystkim. A jednak między stanowiskiem Mieroszewskiego i moim jako przeciętnego katolika istnieje oczywista przepaść.

Rzecz jasna, że dajemy inne odpowiedzi na pewne konkretne zagadnienia chociaż nie to jest najważniejsze. Np. Mieroszewski nie może się pogodzić z istnieniem piekła, a ja akceptuję piekło. Akceptuję bardzo niechętnie: wolałbym oczywiście, aby każde indywidualne życie ludzkie mogło mieć tylko jeden ostateczny rezultat — pozytywny. Niestety, muszę się pogodzić z faktem, że moje życie, jak każde inne, może również mieć ostateczny rezultat diametralnie przeciwny, że mogę moje życie przegrać. W przeciwnym razie moje życie nie byłoby grą, w której o coś na prawdę chodzi — czyli nie miałyby sensu. Nie potrzebuję chyba dodawać, że akceptując możliwość ostatecznego przegrania życia które nazywam piekłem, nie jestem bynajmniej zmuszony do akceptowania np. dantejskiej wizji piekła.



Autor artykułu podpisuje się pod bardzo rozpowszechnioną dziś tezą że wszelkie zastrzeżenia Kościoła wobec anty-koncepcji są tylko przestarzałym nawykiem zasuszonych teologów, nie wiedzących nic o życiu. Osobiście (i to nie jako posłuszny syn Kościoła, ale jako człowiek próbujący uczciwie myśleć w zgodzie ze swoim sumieniem) mam poważne obawy, że sex biegnący luzem, bez obciążenia, może być bardzo niebezpieczną bestią, która może się okazać równie trudną do opanowania jak eksplozja ludnościowa. Wobec tego w rewizji naszych dotychczasowych pojęć w sprawie moralności seksualnej (również w małżeństwie) opowiadałbym się za pewnym umiarkowaniem. Osobiście jestem za dopuszczeniem anty-koncepcji w pewnych wypadkach na zasadzie mniejszego zła, przy równoczesnym uznaniu, że antykonceptcja jako taka nie przestaje być złem. (Szczegółowsze uzasadnienie tego poglądu dałem w dwóch artykułach na łamach „Kontynentów” w ramach zainicjowanej przez to pismo dyskusji (Nr 73-78, styczeń-czerwiec 1965).

Ale, jak powiedziałem, nie te różnice w konkretnych sprawach są najważniejsze. Najważniejszą różnicą między stanowiskiem Mieroszewskiego a stanowiskiem przeciętnego katolika jest to, że przeciętny katolik wierzy, natomiast p. Mieroszewski wie. Albo tak by przynajmniej wynikało z dogmatycznego tonu jego wypowiedzi. Mimo bardzo chwalebego motta, które mówi że wolny jest tylko ten, który nie wie na pewno, p. Mieroszewski zdaje się wiedzieć na pewno. W rezultacie jest on (obawiam się) zamknięty na wszelką perswazję. W przeciwieństwie do tego stanowiska, pewnego swych wniosków, katolik jako człowiek wierzący nic nie wie na pewno — i dlatego właśnie jest otwarty na działanie Łaski i Objawienia. Zdaję sobie sprawę, że p. Mieroszewskiemu wyda się to odwróceniem kota ogonem. Zdaję sobie sprawę, że katecheci i kaznodzieje zbyt często podawali i podają prawdy wiary, jak gdyby *wiedzieli*, że są to prawdy na pewno. *Nostra culpa*. Choć równocześnie podkreślali też aż do znudzenia tę oczywistą różnicę między wiedzą a wiarą. Dla mnie — jeśli słowa znaczą to co zdają się znaczyć — wiara jest przede wszystkim ufnym otwarciem siebie na wszystko co jest poza mną i nade mną, co jest dobre, sensowne, wyższe i większe niż ja. Absolutnym prerokwizytem wiary jest ciemność, poczucie głębi i tajemnicy istnienia. Tylko w tej ciemności i w tym poczuciu jest możliwe autentyczne otwarcie siebie. Następnym zaś każdego autentycznego otwarcia jest absolutne zaangażowanie, rzucenie całego siebie na szalę otrzymanego objawienia.

Nikt z nas, tzw. wierzących czy niewierzących, nie potrafi doskonale wierzyć. Każdy z nas wierzy tylko więcej lub mniej. P. Mieroszewski też wierzy, np. w ludzki rozsądek i w naukę, którą słusznie nazywa ludzkim objawieniem. Wierzy nawet w religię i w Boga. Ale stawia zaporę przed religią zorganizowaną. Rozumiem motywy, dla których Mieroszewski postawił sobie arbitralnie takie *thus far and no further* — przypuszczam, że katecheta z gimnazjum miał z tym wiele do czynienia i że biedny

katecheta odpowie za to przed Bogiem. Katecheta widocznie potrafił skutecznie zamknąć autora artykułu (i nie jego jednego) na objawienie jakie jest w stanie dać zorganizowane chrześcijaństwo. Jest to straszliwa strata dla autora artykułu (nie mówiąc już o stracie dla chrześcijaństwa), bo to zamknięcie zdaje się być odpowiedzialne za generalną płyciznę stosunku autora zarówno do religii jak i do nauki i prowadzi go do absurdalnej tezy, że chrześcijaństwo, jeśli ma przeżyć, powinno uznać „prymat nauki jako głównego środka poznania prawdy”. Ślepy by zauważył, że gdyby tak miało być, to chrześcijaństwo jak i każda inna zorganizowana religia nie miałyby na świecie nic do roboty i powinny zamrzeć. To właśnie twierdzą marksiści — ze swego punktu widzenia (i Mieroszewskiego) słusznie. Na szczęście nauka ma inne zadania i religia ma inne zadania. Nauka potrafi nam powiedzieć bardzo wiele o świecie, zwłaszcza fizycznym, i jestem jak najbardziej za tym, by Kościół Katolicki wyrzucił za burzę tę część swego metafizycznego bagażu, która wywodzi się nie z Ewangelii, ale z filozofii Arystotelesa. Tu Kościół powinien uznać „prymat nauki”. Ale to jeszcze nie robi z nauki „głównego środka poznania prawdy”. Bo nauka, jak wiadomo, nie wygłasza nigdy sądów wartościujących. Wszelkie poznanie wartości jest dla nauki, jako nauki, absolutnie niedostępne i dlatego wszelka „etyka naukowa” na przykład jest *contradictio in adiecto*. Może nam coś o wartościach ludzkich i o sensie życia ludzkiego powiedzieć sztuka, wydaje mi się jednak że ostatecznym źródłem wszelkich wartości ludzkich jest wiara, w znaczeniu jakie starałem się powyżej określić, a taka wiara jest zawsze w istocie swej wiarą religijną. Taka wiara leży nawet u podstaw nauki i bez niej także działalność naukowa nie miałaby sensu.

Ale czy do tego potrzeba zorganizowanej religii? Sądzę że tak. Wydaje mi się, że właśnie długoletni (jak przypuszczam) brak kontaktu autora ze zorganizowaną religią, brak owych głębokich intuicji jakie daje kontemplacja dogmatu (np. w Piśmie św. albo w Liturgii), jest odpowiedzialny za ten beztroski, „humanistyczny” galimatias, jaki nam Mieroszewski w swoim artykule zaprezentował. Jeśli w XX-tym wieku uznawane są pewne wartości humanistyczne, to zawdzięczamy je w pierwszym rzędzie upartemu trwaniu zorganizowanego chrześcijaństwa — mimo wszystkich jego niedociągnięć i błędów. Śmiem twierdzić, że gdyby nie zorganizowane chrześcijaństwo, które poprzez wieki przekazało nam Ewangelię, nie byłoby dzisiaj ani Oxfam’u ani ONZ.

Nie zgłaszam pretensji do drugiej części artykułu, gdzie autor mówi dużo słusznych rzeczy o wzajemnym stosunku religii i polityki w Polsce. Tylko nie bardzo widzę, jaki to ma związek z pierwszą częścią artykułu.



## Marian KRZYŻANIAK

Houston, Texas, dn. 30 października 1965.

Szanowni Państwo,

W artykule zatytułowanym „Religia a Polityka” w bieżącym numerze „Kultury” pan Mieroszewski zajmuje się problemem religii w nowoczesnym świecie. Nie wszystko co on porusza jest mi równie dobrze znane. W sprawach, w których orientuję się lepiej, nie mogę się z nim pogodzić.

W szczególności pan Mieroszewski przypisuje nauce i jej prawom cechę, których nauka nie ma i nie ma podstaw sobie rościć; mianowicie przypisuje on zdolność do poznania prawdy. A że nie może być dwu prawd odnośnie tego samego przedmiotu, według pana Mieroszewskiego religie powinny skapitulować przed udokumentowanym poglądem naukowym. Kwestia tylko co się rozumie pod udokumentowanym poglądem naukowym. Pomijam tu fakt, że w ogromnej ilości problemów albo brak takiej dokumentacji w tej chwili, albo taka dokumentacja nigdy nie będzie możliwa.

Co pan Mieroszewski uznaje za naukę nie jest całkowicie jasne. Z pierwszych jego uwag wnioskuję, że zalicza on do nauki matematykę i logikę, a więc nauki dedukcyjne i dodaje do tego nauki hipotetyczno-eksperymentalne jak fizykę, biologię czy nawet ekonomię w sensie zachodnim. Natura poznania w tych dwu gatunkach naukowego myślenia jest zupełnie odmienna. W dalszych wywodach pan Mieroszewski koncentruje swe spostrzeżenia na naukach hipotetyczno-eksperymentalnych. One to mają być źródłem „nowego” objawienia. Pracując w jednej z tych nauk, ekonomii, podnoszę protest. Te nauki nie odkrywają prawdy, nawet stopniowo. One tylko eliminują fałszywe hipotezy, teorie czy prawa. Nie gwarantuje, że eliminacja fałszywych hipotez musi doprowadzić do hipotez „prawdziwych”. Nikt jeszcze nie udowodnił, że tylko skończona liczba takich hipotez jest możliwa.

Powyższy argument można bronić na różnych szczeblach myślenia. Po pierwsze już logika uczy nas, że z prawdy wynika prawda, a z fałszu albo prawda albo fałsz. Jeśli więc wnioski z pewnej hipotezy nie sprawdzają się, można ją odrzucić jako fałszywą (co najmniej trzeba hipotezę poprawić). Jeśli jednak takie wnioski spełnią się, nie ma pewności czy ta hipoteza jest prawdziwa czy nie. Tylko negacja jest twierdzeniem wiążącym. Pan Mieroszewski jednak chciałby traktować hipotezę, której wnioski sprawdziły się w przeszłości, za objawienie.

Po drugie przyjrzyjmy się bliżej metodzie poznania w naukach hipotetyczno-eksperymentalnych. Wpierw buduje się model i między jego częściami składowymi (zmiennymi) a otaczającym nas światem ustala się jednoznaczność (one to one correspondence). Teoria pomiarów pozwala tu łączyć ilości mierzone z wartościami zmiennych modelu. Następnie rozważa się dane determinujące i z nich w ramach modelu wnioskuje się o danych determinowanych. Jeśli obserwacja potwierdza, że podobne stosunki zachodzą w otaczającym nas świecie, przyjmujemy model, jeśli nie, odrzucamy model, albo co najmniej go modyfikujemy.

Żeby to zrobić całkiem zrozumiałe, mam zwyczaj na pierwszym wykładzie teorii ekonomii wskazać na następującą analogię. Małe dziecko bawi się w pokoju kolejką elektryczną. Za oknem widać stację kolejową z lokomotywą Diesla pchającą wagony. Zabawka i lokomotywa mają wiele cech podobnych, a co najmniej można powiązać cechy jednej z cechami drugiej jednoznacznie. Na tych podstawach wiele operacji lokomotywy jest całkowicie odtworzone przez tę kolejkę elektryczną. Zgodnie z panem Mieroszewskim należałoby twierdzić, że na stacji mamy lokomotywę elektryczną, ale takie „objawienie”

nie jest prawdą. Ta zabawka to naukowy model, to dziecko to naukowcy, a świat rzeczywisty jest za drzwiami, bezpośrednio nierozpoznawalny.

Po trzecie argument pana Mieroszewskiego, nawet gdyby był słuszny, nie ma znaczenia jeśli prawa jakie naukowiec odkrywa nie są deterministyczne a tylko statystyczne. W istocie naukowiec formułuje swe prawa jako deterministyczne tylko w przybliżeniu. Przedstawiają mu one systematyczną stronę jego zmiennych. Statystyczne zmienne są częściowo eliminowane przez branie pod uwagę większej ilości podobnych obserwacji. W następstwie należy się liczyć, że:

1) gdzie liczba obserwacji jest skończona, statystyczne zmienne są tylko częściowo wyeliminowane, każdy więc wniosek odnośnie jakiejś hipotezy zawiera nieznaną z góry błąd;

2) nie ma również dowodu, że Bóg stworzył świat deterministyczny a nie statystyczny. W tym ostatnim wypadku nawet nieskończona liczba obserwacji nie będzie mogła wyeliminować błędów.

Statystyczność praw i hipotez naukowych ma ważne znaczenie dla teorii poznania naukowego. Rzućmy kostkę 10 razy. Przypuśćmy, że 10 razy spada ona na ścianę z sześciu punktami. Kwestia jest czy ta kostka jest uczciwa, to znaczy wszystkie jej strony ważą jednakowo, czy też nieuczciwa: strona z sześciu punktami waży więcej niż pozostałe strony. W świecie statystycznym nie ma „prawdziwej” odpowiedzi. Ta kostka jest być może uczciwa, ale zaszedł mało prawdopodobny wypadek, albo nieuczciwa i wypadek jest więcej prawdopodobny. Naukowiec rozstrzyga tę wątpliwość przyjmując hipotezę jeśli prawdopodobieństwo przekracza pewną wartość (1 procent, 5 procent czy 10 procent); jeśli prawdopodobieństwo jest mniejsze hipoteza będzie odrzucona. Jakakolwiek jest jego decyzja, musi się on liczyć z popełnieniem dwu rodzajów błędów, albo on przyjmie hipotezę fałszywą, albo odrzuci hipotezę prawdziwą. W statystycznym rozumowaniu nie ma mowy o znalezieniu „prawdy”.

Pan Mieroszewski kusi naukowców, by ogłaszali wyniki swych badań za objawienie. To by było intelektualnie nieuczciwe. Nie, dzięki panie Mieroszewski. Wprawdzie mojej metodzie teologia nie może przepisać co ja przyjmę a co odrzucę za teorię czy prawo, a tak samo jednak moja metoda nie ma niczego do powiedzenia teologii czy etyce. Operujemy na różnych piętrach i nie ma komunikacji między piętrami.

Prawdą jest, że naukowa metoda ma za sobą duże sukcesy, równie dużo jest też niepowodzeń. Czy religie osiągnęły swe cele czy nie, nie umiem powiedzieć. Nie wiem jaki byłby świat bez religii. Mam jednak wrażenie, że wiara człowieka nie chwieje się z tego powodu. Wiara doznała porażki, gdy chciała się stać arbitrem nauk. „A jednak się porusza” — zdanie przypisywane Galileuszowi przed sądem Inkwizycji mściło się i może wciąż się mści osłabieniem wiary. Pan Mieroszewski chciałby byśmy popełnili błąd podobny lecz w przeciwnym kierunku. Obawiam się, że jak każde uroszczenie, to tylko wstrzyma rozwój nauki i spacy religię. Metodami nauk hipotetyczno-eksperymentalnych nie można rozwiązać wielu problemów ludzkich. W tym zakresie jest ogromne pole dla religii, systemów etycznych i tp. Arogancja i pycha uczonego jest nie mniej grzechem śmiertelnym.

Marian KRZYŻANIAK  
Associate Professor of Economics  
Rice University

P.S. Proszę wybaczyć błędy. Upłynęło co najmniej 15 lat od czasu gdy pisałem swe myśli w języku polskim. Mam wrażenie, że nawet styl już się zamerykanizował.



Ewa GIERATOWA

Bronxville, N.Y., 25 października 1965.

Drogi Panie Juliuszu,

Pewno jest to „plus de poufance que de znajomance”, ale mam wielką ochotę napisać do Pana, chyba mi wolno? Już dawno miałam ten zamiar, cieszę się bowiem, że się Pan interesuje Teilhardem, cybernetyką, w ogóle ewolucją i przyszłością; że Pan w całej pełni „wykorzystuje myślowo” materiały, których trochę starałam się Panu po cichu dostarczyć. Może zresztą dostawał je Pan i bez mojego pośrednictwa. Teraz podniecił mnie Pan artykułem „Religia i polityka” — tytuł nie najlepszy, nie widzę co tam politycznego, ale artykuł doskonały. Zadowolona jestem że wysłałam swoją odpowiedź na ankietę zanim wyszedł ten numer, bo można by podejrzewać, że zwrznięłam od Pana swoje odpowiedzi, a w każdym razie że to z Pańskiej inspiracji! Ogromnie się zgadzam z Pana szerokimi myślami, ale... martwię się, że ten szkolny prefekt czyli instytucjonalny katolicyzm (w dodatku polski) zamknął Panu to jakieś „trzecie oko”, czyli pogląd i odczucie chrześcijaństwa jako misterium tremendum. Odnoszę wrażenie, że sprowadza je Pan wyłącznie do kategorii socjalnych, psychologicznych, organizacyjnych, historycznych. Mówi Pan, że wyłącznie przez naukę można poznać Boga, że jest On większy i wspanialszy niż Bóg teologów. Mnie się wydaje, że jest również znacznie nadzwyczajniejszy niż Bóg naukowców. Kilkakrotnie stawia Pan zarzuty „chrześcijaństwu” zamiast stawiać je katechizmowi, jakiego nas uczono, a to wielka różnica. Tu i ówdzie przeciwstawia Pan sobie dwie sprawy, tak jakby się wykluczały; ale jeśli je postawić na różnych płaszczyznach i w innym od naszego pojęciu czasu, nie tylko że się nie wykluczają, ale się godzą. Żeby zacząć kilka punktów: fakt że ludzkość ewoluuje nie przeczy faktowi stworzenia; niezależnie od Ewowego jabłka, jest na ogół faktem, że coś w nas „nie gra” i że postępujemy gorzej choć chcielibyśmy lepiej; Bóg jest oczywiście jeden i ten sam dla Ziemi, Marsjan, czy jakichkolwiek świadomych stworów, ale sposób dojścia do Niego może być inny skoro jest inny punkt startu. Wycinek religii dotyczący wcielenia Chrystusa jest oczywiście tylko ziemski i ludzki. Natomiast formułka: Bóg-miłość, jest kosmiczna a jednocześnie jest sednem chrześcijaństwa, które objawia (NIE na drodze naukowej!) życie wewnątrz Boga, słowo, świadomość, jako osobę, miłość jako osobę (ów pogardzany gołąbek Duch Święty). — Nie chcę jednak bawić się w amatorską teologię, może po prostu usiłuję pocieszyć Pana i siebie, że nie jest aż tak źle z tym chrześcijaństwem jak się nieraz nam wydaje. Ale jednocześnie ubolewam niezmiernie, więcej niż to Pan wyraził, że obecna problematyka w katolicyzmie zdaje się ograniczać tylko do powierzchni, a mianowicie: co i jak można powiedzieć, jak wyrazić, aby nie wycofywać się zbyt jaskrawo z dotychczas zajmowanych pozycji i aby nie wyłamywać się z kościelnego posłuszeństwa i aby nie być poświadczanym o komunizm. Może to nieuzasadniony pesymizm, w momencie gdy po 400 latach coś się ruszyło w Kościele we właściwym kierunku. Ale niestety nie mogę cieszyć się całą duszą, bo mi to zbyt blado jakoś przedstawione. Nieraz mi się wydaje, że ci wszyscy biskupi nie dają Duchowi Świętemu żadnych szans, tak Go pętają swymi ciasnymi nawykami myślowymi, że On zupełnie nie ma którejdy przemawiać. A my też Mu nie dajemy szans, bo się nie interesujemy i nie gadamy na te tematy. A więc: wiwat Ankieta Kultury, wielce chwalebna! Natomiast my laicy, wierni czy niewierni, oczywiście upraszamy sprawę i np. za omal-że jedyne kryterium postępu uważa-

my przepisy populacyjno-seksualne; czasem ma się wrażenie, że gdyby sobór ogłosił „wszelkie pigułki i plastikowe fidrygałki są najwspanialszym uszczęśliwieniem ludzkości, a bezpłatne skrobanki i sterylizacja dobrodziejstwem państwowym” — to byśmy *ipso facto* ocenili sobór jako mądry i podążający z „duchem czasu”. O ile „duch czasu” oznacza hodowlę ludzi i była na tych samych zasadach, wedle opłacalności, ilościowego zapotrzebowania?

To taka pogawędka „na marginesie wszystkiego”, dookoła Ankiety. Serdecznie pozdrowienia — właśnie obmawialiśmy Pana u Jurków Radziejowskich.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## ODPOWIEDŹ KRYTYKOM

W związku z moim artykułem pt. „Religia i Polityka” („Kultura” Nr 10(216)). — napłynęło sporo listów zarówno do Redakcji w Paryżu jak i na mój adres londyński. Tych listów jest zbyt wiele bym mógł podjąć dyskusję indywidualną z każdym korespondentem. Listy jakie nadeszły w tej sprawie podzielić można na trzy kategorie: „za”, „przeciw” i „oburzone”. Na listy trzeciej kategorii nie zamierzam odpowiadać.

Najpierw uwaga ogólna. Jedną z moich korespondentek, która doradza mi przestudiowanie podręcznika pt. „Teology for Beginners” — (cytuując autora, wydawcę i cenę) — zapewnia mnie, że doktryna o piekle jest nieobowiązująca. Inna korespondentka wysuwa spokojnie tezę, że na używanie pewnych środków antykonceptyjnych można dostać „dyspensę”.

Znam praktykującą katoliczkę, która stosowała środki antykonceptyjne, lecz nigdy się z tego nie spowiadała. Dlaczego? Nie spowiadała się ponieważ — jak oświadczyła — w swoim sumieniu nie uważała tego za grzech.

Otóż jeżeli się chce dyskutować na temat określonej religii — nie dość jest ją wyznawać czy odrzucać. Trzeba ją jeszcze znać.

Osobiście otrzymałem w tej dziedzinie staranne wychowanie i wykształcenie. M.in. w Chyrowie u oo. Jezuitów. Interesowałem się religią całe życie, bo z wszystkich problemów ten jest najistotniejszy. Na podstawie moich wieloletnich doświadczeń stwierdzam, że praktykujący katolicy niechętnie podejmują dyskusje na tematy religijne, a wciągnięci do dysputy wykazują niezmiernie często niezajomość swojej własnej religii. Jest to tym dziwniejsze, że w odróżnieniu od wyznań i szkół teologicznych protestanckich — doktryna rzymsko-katolicka jest jasna, zwarta i świetnie skodyfikowana.

Jeden z moich wujów gdy tylko padło słowo „religia” — wygłaszał nieodmiennie następującą sentencję: „do kościoła chodzę, sakramenty przyjmuję — na tematy religijne nie dyskutuję”.



To jest bardzo typowa postawa dyktowana lękiem, że dyskusja czy nieodpowiednia lektura — mogą wzbudzić wątpliwość i zburzyć spokój sumienia. Struś, który chowa głowę w piasek pragnie również uratować spokój i komfortowe samopoczucie.

Kilku korespondentów oskarża mnie o propagowanie „mordowania polskich dzieci” a jeden dodaje uwagę, że pomiędzy mordowaniem dzieci w łonie matek a mordowaniem dzieci w obozach zagłady, jak robili to hitlerowcy, nie ma żadnej różnicy.

Wychowałem się na wsi. Do dziś dnia jestem jak Anglicy mówią *countryman*, człowiekiem ze wsi. W naszym sadzie w latach wielkiego urodzaju obrywało się niedojrzałe jabłka — zwłaszcza wielkie, zimowe — by uchronić delikatniejsze gałęzi od złamania. Dla każdego człowieka wsiowego jest oczywiste, że ratuje się jabłoni a nie jabłka, ponieważ jabłoni owocuje co roku.

Jeżeli w określonym wypadku ciąża zagraża życiu kobiety — należy ją przerwać, ponieważ kobieta po wyzdrowieniu może jeszcze urodzić kilkoro dzieci. Dlatego kobiety mamy gorzej traktować niż jabłonie?

Wierzący i praktykujący katolik może ubolewać, że Kościół nie zezwala na stosowanie środków antykoncepcyjnych, lecz zwalczając postulat ograniczania urodzin może tylko szalenie lub całkowicie ignorant.

Weźmy jeden z licznych przykładów. Robert Cook, prezydent „The U.S. Population Reference Bureau” — w wywiadzie udzielonym niedawno przedstawicielowi British United Press stwierdził, że nie Indie i nie Chiny, jak się ogólnie przypuszcza, lecz północny pas południowej Ameryki stanowi najczynniejszy wulkan populacyjny świata. Ludność tej strefy licząca 121.000.000 mieszkańców pomnaża się o 3,2% w stosunku rocznym i ulegnie podwojeniu w roku 1986. Przyczyną owej eksplozji ludnościowej jest zachwianie równowagi pomiędzy cyfrą urodzin a cyfrą zgonów. Cyfra urodzin na 1000 mieszkańców (rocznie) wynosi 41,50, podczas gdy cyfra zgonów na 1000 mieszkańców (rocznie) waha się pomiędzy 10 a 15. W rezultacie, niemal połowa ludności cytowanej strefy składa się z dzieci poniżej lat 15-tu.

Pigułki zwalczające choroby i zmniejszające wydatnie śmiertelność są przez kościół dozwolone — natomiast pigułki które zmniejszyłyby wydatnie cyfrę urodzin, są przez kościół niedozwolone.

Robert Cook, wielki autorytet w tej dziedzinie — w cytowanym wywiadzie oświadczył, że dopóki prawidłowa równowaga pomiędzy cyframi urodzin i zgonów nie zostanie przywrócona — wszystkie plany gospodarcze i społeczne omawianych krajów są marnotkami nie do zrealizowania.

Innymi słowy, podstawowy problem, który w danym wypadku uniemożliwia postęp gospodarczo-społeczny — w ramach ideologii katolickiej jest nie do rozwiązania. Ten sam problem w ramach ideologii marksistowskiej jest do rozwiązania.

Jeżeli wolno zabijać miliony ludzi w tzw. „słusznej wojnie”, jeżeli wolno zabić człowieka w obronie własnej, czy w obronie

blźniego — o ileż bardziej logiczny wydawałby się pogląd, że wolno nie dopuścić do zawiązania się (nieistniejącego jeszcze) nowego życia w obronie już urodzonych i głodnych.

Zwalczanie głodu i niedostatku w skali światowej wymagać będzie planowania i kontroli nie tylko w sferze ekonomicznej lecz i populacyjnej. Jeżeli w tych dziedzinach krajom niedorozwiniętym a przeludnionym nie dopomoże Zachód — uczynią to komuniści, którzy nie mają skrupułów ani w wyborze metod startu przemysłowego ani w metodach gospodarowania materiałem ludzkim.

Odrębną grupę stanowią korespondenci „filozofujący”. Oto klasyczny przykład „filozofowania”: „p. Mieroszewski pisze, że nie może być dwóch prawd — religijnej i naukowej — ponieważ prawda jest jedna. Lecz co jest prawdą?”

Tego typu pytania można mnożyć w nieskończoność. Ponieważ nikt nie jest w stanie dostarczyć obiektywnie ścisłej i wyczerpującej definicji Boga — całą teologię i naszą ankietę można by uznać za nonsens. Temu pogładowi hołdują „logiczni pozytywiści” — jest jednak dziwne, gdy analogicznymi argumentami operują katolicy.

Prof. A. J. Ayer — czołowy reprezentant logicznego pozytywizmu w Anglii — w jednym ze swych autobiograficznych szkiców w następujących słowach podsumował swe wnioski z lektury Wittgensteina:

*„What I extracted from the book was the conviction that metaphysical statements were neither true nor false but literally nonsensical; since they were neither tautologies like the propositions of formal logic, nor empirially verifiable, they failed to satisfy the conditions which were required for any statement to be congenitively meaningful. Metaphysics being thus done away with, the only function remaining for philosophy was to analyse and clarify the concepts of science and of common sense”.*

Osobiście zgadzam się z większością opinii prof. Ayera z wyłączeniem jednego punktu: wiary w Boga. Jest moim głębokim przekonaniem, że wiara w Boga nie tylko nie jest sprzeczna z *common sens*’em — lecz bierze swój początek ze „zdrowego rozsądku”. Gdyby teizm był sprzeczny ze „zdrowym rozsądkiem” już dawno by nie istniał. W odczuciu przeciętnego człowieka kierującego się od kolebki do grobu *common sens*’em — wszechświat bez Boga jest nonsensem. W ludzkim „zdrowym rozsądkiem” i rozeznaniu zawarty jest załączkowy system „teologii naturalnej”. Gdyby było inaczej — żadna religia nie mogłaby powstać. Ludzie wierzący przyjmują „objawienie” ponieważ „zdrowym rozsądkiem” akceptują Boga. Gdyby ludzki „zdrowy rozsądek” wykluczał koncepcję Boga — nikt w żadne objawienie nigdy by nie uwierzył.

Nauka jest oświeconym i poszerzonym „zdrowym rozsądkiem” i dlatego nie ma żadnej sprzeczności pomiędzy nauką a wiarą w Boga. Sprzeczności mogą (choć nie muszą) występować po-



między nauką a dogmatami czy przepisami zorganizowanych religii. „Zdrowy rozsądek” i uczciwość intelektualna każą nam opowiadać się za prawdą nawet wbrew dogmatom religijnym. Prawdą dla przeciętnego człowieka, który kieruje się w życiu *common sens'em* — jest pogląd podlegający udowodnieniu i sprawdzeniu. W tym sensie prawdą jest, że ziemia obraca się wokół słońca a nie słońce wokół ziemi — prawdą jest, że człowiek nie został stworzony oddzielnie tylko wraz z całym światem zwierzęcym wyewoluował z pierwotnych form życia organicznego i td. i td.

Tym, którzy powołują się na pisma Starego czy Nowego Testamentu — należy przypomnieć, że w oparciu o teksty Kościoła odrzucał przez długi czas kopernikański model świata i w oparciu o teksty zwalczał dosłownie do wczoraj ewolucyjny pogląd na pochodzenie człowieka. A dziś kościół rzymski pogodził się zarówno z kopernikańskim obrazem nieba jak i z ewolucyjnym poglądem na pochodzenie człowieka.

Jest coś ciemnego i upokarzającego w budowaniu z ignorancji głównego szańca obrony ortodoksji. W kilku listach moich korespondentów powtarza się teza, że ludzie nigdy nie odkryją „tajemnic życia” i wskutek tego nauka będzie zawsze w porównaniu z religią czymś ułomnym i nie całkowitym.

Z powyższego należałoby wnioskować, że gdyby jutro czy za rok uczeni odkryli „tajemnicę życia” wiara religijna utraciłaby swą podstawę.

O ile nie wysadzimy naszej planety w powietrze — „tajemnica życia” zostanie kiedyś odkryta ponieważ Bóg nie zakreślił sztywnych granic ani naszej ewolucji ani naszemu poznaniu. Jestem przekonany, że w przyszłości — może bliższej niż dziś skłonni jesteśmy przypuszczać — nauka, a w szczególności astronomia i fizyka, rozstrzygną problem powstania kosmosu i wbudują obiektywny fundament w teistyczny pogląd na świat.

P.S. Już po napisaniu powyższej noty otrzymałem z Redakcji „Kultury” artykuł p. A. Pospieszalskiego, który jest polemiką z moim artykułem i zasługuje na kilka słów odpowiedzi.

Pospieszalski akceptuje piekło ponieważ uważa, że „życie można przegrać”. Gdyby życia nie można było przegrać „życie nie byłoby grą”.

Powyższy pogląd i słowne jego ujęcie wydają mi się nie chrześcijańskie. Życie nie jest „Bingo” — życia nie można przegrać. Proces życiowy jest ewolucją. Dążenie do doskonałości — o czym mówią wszystkie wielkie religie — jest również ewolucją. Piekło jest koncepcją anty-ewolucyjną, która zagradza drogę do doskonałości.

Chciałbym jeszcze raz podkreślić punkt, który w tej całej sprawie uważam za najistotniejszy. Koncepcja piekła przekreśla ideę chrześcijańskiego zbawienia. Akceptując piekło nie można mówić o niebie — bo niebo nie byłoby wówczas niebem.

Jeden z moich znajomych Jezuitów zapytał mnie kiedyś co bym zrobił, gdybym po śmierci przekonał się, że katolicy mają

rację z piekłem włącznie. Odpowiedziałem, że jeżeli byłbym nadal podmiotem mojej woli i umysłu — protestowałbym i wówczas. To jest system z którym uczciwy człowiek ani na tym ani tamtym świecie nie może się pogodzić.

Pospieszalski powtarza frazes: „co innego jest wiara — co innego jest wiedza”.

W moim artykule chciałem podkreślić, że nawet człowiek wierzący przyjmuje objawienie poprzez naukę. Każdy z nas jest uwarunkowany poglądem naukowym i w ramach tego poglądu a nie poza jego ramami akceptuje objawienie. Objawienie ewangeliczne w ostatnich 150 latach nie uległo zmianie, a przecież nikomu dziś do głowy nie przyjdzie twierdzić, że ziemia została stworzona 4 tysiące lat temu. Wiemy również, że człowiek nie został ulepiony z gliny lecz mozolnie i skromnie ewoluował z niższych form zwierzęcych. Edmund W. Sinnott wyraża pogląd, że duch-dusza-*mind* — nie zostały „tchnięte w człowieka” tylko stopniowo ewoluowały w harmonii z ciałem (Edmund W. Sinnott „Cell and Psyche, The Biology of Purpose”).

Nie można więc twierdzić — jak czyni to p. Pospieszalski — że wiara jest co innego, a nauka jest co innego. Wiara jest nie tylko uwarunkowana lecz i ustawicznie modyfikowana postępem nauki. I ów proces modyfikacji będzie trwał. Nauka jest głównym reformatorem kościoła i interpretatorem wiary. Bo co to jest kościół? Kościół to są ludzie danej epoki uformowani poglądem naukowym swego czasu.

Pospieszalski sądzi, że tzw. wartości i etyka są nie do pomyślenia poza religią. Sokrates był agnostykiem — nie uznawał panującej w owym czasie w Atenach religii, a równocześnie był jednym z najbardziej etycznych ludzi jakich nosiła ziemia.

W moim artykule pt. „Religia i Polityka” starałem się podać zwięźle, na kilku stronach pisma maszynowego, powody, które uniemożliwiają mi pogodzenie intelektualnej uczciwości z lojalną przynależnością do jednej z chrześcijańskich religii. Interesowałem się zawsze tymi zagadnieniami i w literaturze przedmiotu szukałem pomocy w rozwikływaniu tych zagadnień. Uzbierałem z latami dość pokaźny księgozbiorek z tej dziedziny.

Niestety żaden z moich katolickich krytyków nie wykazał obiektywizmu i *charity*, jakże charakterystycznych dla autorów „Objections to Christian Belief” — choć żaden z moich korespondentów wiedzą teologiczną nie dorasta do autorów cytowanej książki.

Otrzymałem wiele listów prywatnych i telefonów z wyrazami uznania dla mojego artykułu. Lecz na zewnątrz, w sferze oficjalnej — oburzenie, obelgi i połajanki. To jest typowo polskie.

W sumie wypada stwierdzić, że żaden z krytyków nie odparł rzeczowo ani jednego z moich argumentów i to jest fakt, który bynajmniej nie napełnia mnie radością. Widzę bowiem z tego, że na moje „Objections to Christian Belief” za mojego życia prawdopodobnie nie będzie odpowiedzi.



## KOMUNIKAT

W związku z artykułem Michała Borwicza pt. „Medal im. Ossietzky'ego”, który ukazał się w nrze 11/217 „Kultury” (listopad 1965 r.) w dziale „Książki” — p. Józef Wulf zawiadomił nas, że życzy sobie udzielić odpowiedzi na ten artykuł. Odpowiedź p. Wulfa ukaże się w następnym, tj. kwietniowym nrze „Kultury”.

REDAKCJA

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

\$ = 72 zł.      £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO  
BANKU P.K.O.



Tel: FRE. 7888

**HASKOBA LTD**

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.  
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO  
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:  
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

## Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CXX

MIKOŁAJ ARŻAK

# ODKUPIENIE

I INNE OPOWIADANIA

Zbiór opowiadań sowieckiego pisarza, którego arbitralne aresztowanie jest od szeregu tygodni światowym skandalem.

Opowiadania te były drukowane w „Kulturze” na przestrzeni ostatnich lat.

Str.128

Cena 9 F (dol. 2,00 ; 13/6).

TOM CXXI — Seria "Archiwum Rewolucji"

ARTHUR KOESTLER

# FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

Historia rozczarowań i powodów odejścia od komunizmu  
wybitnego pisarza.

Str. 240

Cena 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)

TOM CXXII — Seria "Archiwum Rewolucji"

MICHEL GARDER

# AGONIA REŻYMU W ZSSR

Przełożyła z francuskiego Zofia HERTZ

Str. 144

Cena 9 F (dol. 2,00; 13/6)



# SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski  
Poznań, Półwiejska 1  
A. Pomorski

Imię i nazwisko chorego

Rp.  
Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)  
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)  
Persantin 75 dragées (NIEMCY)  
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)  
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)  
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Nato Poznań 2.1.1966  
Dr. Med. K. Kratowski  
Podpis i stempel lekarza

*P.S. Doradzam załatwić  
przez TAZAB w Londynie, bo  
wykona natychmiast!*

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

© Copyright by Institut Littéraire, 1966.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI  
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal 1<sup>er</sup> trimestre 1966.



# KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliothek, godz. 19-21).	145 szyl. a.		280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetinga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél.: 35-5584.	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiakowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	6,00 Kor.	30,00 Kor	58,00 Kor.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV Stockholm.			
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107 Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 101, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27. Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta  
2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,  
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56



## Nowości

**BIBLIOTEKI « KULTURY »**

**TOM CXXIII PIOTR GUZY**

### **KRÓTKI ŻYWOT BOHATERA POZYTYWNEGO**

Rewelacyjna powieść, malująca psychologiczny portret oficera Bezpieki. Zarówno zupełnie nowa forma literacka jak i pasjonujący temat sprawiają że książkę tę czyta się jedynym tchem.

Str. 160.

Cena 10 F (dol. 2,25; 15 sh.)

**TOM CXXIV - Seria "Dokumenty"**

### **DIALOG POLSKO - NIEMIECKI**

W ŚWIETLE DOKUMENTÓW KOŚCIELNYCH

(Zawiera pełne teksty Orędzia Biskupów Polskich, Odpowiedź Biskupów Niemieckich oraz Memoriał niemieckiego Kościoła Ewangelickiego. Wstęp Juliusza Mieroszewskiego).

Str. 80.

Cena 6 F (dol. 1,25; 9 sh.)

**TOM CXXV - Seria "Zeszyty Historyczne"**

### **ZESZYT DZIEWIĄTY**

Luty 1966

zawiera m.in. prace:

- K. Okulicza: *Ostatni akt dramatu J. Piłsudskiego*
- K. Popiela: *Wybór prezydenta I. Mościckiego*
- T. Rudnickiego: *Konferencja Teherańska*
- G. Soro: *Upadek Polski*
- St. Mackiewicz: *Stulecie urodzin Wł. Studnickiego*

oraz działy

OSTATNIA WOJNA A POLSKA — W OBCYCH OCZACH —  
WSPOMNIENIA O LUDZIACH — KSIĄŻKI — POLEMIKI  
I LISTY.

Str. 240.

Cena 15 F (dol. 3,00; 22 sh.)

**Cena 5,00 F**